



MAGDA KNEDLER

GRUDNIOWY
DOM

Tajemnica, miłość
i szansa na nowy start.
Wyjątkowa powieść
na zimowy wieczór!



MAGDA KNEDLER

GRUDNIOWY
DOM




OTWARTE
KRAKÓW 2023



ROZDZIAŁ 1

O domu mojej babki mówiło się zawsze „grudniowy dom” albo „dom szeptów”. Nie był to jedyny w okolicy ceglany ponemiecki budynek ze spadzistym dachem, ale tylko on doczekał się własnej legendy. Wszystkie inne po prostu istniały, wtopiły się w pejzaż, ktoś w nich żył i ktoś umierał. W jednym zawalił się komin. Tamte domy z pewnością także miały przeszłość i swoje historie. Tamte domy także zbudowali Niemcy, postawili ściany, zawiesili obrazki i firanki, gotowali wodę na herbatę, kosili trawę i naprawiali płoty. A później przysłała wielka historia i nikogo już nie obchodziła niczyja herbata. Niemcy spakowali firanki, zdjęcia, część ubrań i może kilka łyżek. Zabrali tyle, ile mogli unieść. Zostawili parę kiepskich landszaftów, letnie sukienki, stare sandały, garnki, talerze i kubki. W szopie widły i siekiere. Kiedy przysłała tu moja babka, w okolicy mówili, że już się tym domem zajęli szabrownicy, jak każdym innym zresztą. Jeśli więc było coś cennego, to pewnie trafiło do Wrocławia, na taki wielki plac, gdzie różne rzeczy po Niemcach można kupić. Nie, nie, że kradzione, skąd. Wzięte po prostu. A kto im kazał wojnę zaczynać?

Krótko po przybyciu na Dolny Śląsk moja babka oduczyla się zadawania pytań. Głównie milczała i pilnowała, by był chleb. Wojnę spędziła na robotach w Saksonii, gdzie nauczyła się gotować, doić krowy i mówić po niemiecku. Dom po raz pierwszy zobaczyła w grudniu, był wtulony – jak mówiła – w ośnieżone drzewa, spodobało jej się to. I dlatego „grudniowy”. Grudniowy dom. W kredensie znalazła imbryk w czerwone grochy, zadumała się nad nim, powiodła palcem po wieku, lekko ścisnęła ucho. Potrząsnęła głową, bo zapiekły ją powieki, a kiedy piekły powieki, należało szybko się na coś wściec. Babka wołała się wściekać niż płakać.

– Cholerny świat – mruknęła.

Dom babki nazywano również „domem szeptów”. Tej historii nie znam zbyt dokładnie, choć dotyczy mojego własnego dziadka, który pewnego dnia tak jak inni przywędrował tu z innego świata. Nie mówił. Słyszał dobrze, ale do nikogo nie odzywał się słowem. Był spokojny, zaradny, silny i miał spore uzdolnienia manualne. Wyremontował dom, pomalował ściany, pocerował zdobyczne zasłony, postawił płot, odnowił i pięknie ozdobił stare meble. Jadł wszystko, co mu się podało, dziękował skinieniem głowy, sprzątał po sobie, mył naczynia, prasował i rąbał drewno. Każda z tych czynności w milczeniu. Babka szybko uznała, że to chodzący ideał. Dziadek zniknął, kiedy mój ojciec był jeszcze dzieckiem. Pewnego dnia po prostu już go w domu nie było. Moja babka przygotowała obiad i czekała, aż jej syn wróci ze szkoły, a później powiedziała: „Musiał iść”.

Tylko tyle. Taką wersję wydarzeń poznałam. Babka opowiedziała mi tę historię jeden jedyny raz, zwięźle, w zdaniach oznajmujących i bez zbędnych słów, jak gdyby jasno dawała do zrozumienia, że to nie jest coś, z czego czerpiemy przyjemność, żadna z baśni szeptanych nocą przy bladym świetle lampki. Mój ojciec miał do tych wydarzeń podobne podejście. Nie unikał co prawda tematu, ale podejmował go zawsze znużonym tonem, skrętnie maskując wszelkie emocje. Kto wie, może naprawdę ich nie czuł. Może nic już nie czuł, przestał, nie chciał. Nie ekscytował się. Kręcił głową i pytał, po co znowu do tego wracać. A ja wracałam, musiałam. Nieustannie od nowa zadawałam pytania, na które nigdy nie otrzymywałam wyczerpujących odpowiedzi. Nie rozumiałam, że człowiek może tak po prostu zniknąć i nikt go nie szuka.

Kiedy dziadek odszedł, babcia nie wyglądała ponoć na zaskoczoną ani na smutną. Zachowywała się jak ktoś, kto od dawna się tego spodziewał. Mój ojciec nie zadawał wtedy pytań, zjadł obiad, odrobił lekcje, spotkał się z kolegami, a później jak zwykle czytał przed snem. Niewypowiedziane słowa na zmianę puchły w jego głowie i kurczyły się, choć nigdy nie znikwały. Przyglądał się mojej babce i każdego dnia próbował się odezwać. Przeżuwał pytania, jedno za drugim, po czym połykał je i milczał nadal, bo to był właśnie taki dom – dom, w którym się milczało albo szeptało. Dziadek nie wracał, babcia nie wspominała o nim słowem, poza tym jednym razem, kiedy ja sama dorosłam na tyle, by domagać się opowieści. W końcu także nauczyłam się, że o pewnych sprawach po prostu się milczy. Do czasu. Zawsze jest jakieś „do czasu”.

I jeszcze ten szept. Trochę tak, jak gdyby odzywał się dom, jak gdyby snuł historię bez konkretnej fabuły, pełną metafor i niedopowiedzeń, historię złożoną ze słów, obrazów, dźwięków i kolorów, ale bez wstępu i zakończenia, bez poczucia, że dokądś się zmierza. Za każdym razem, kiedy tu jestem, słyszę. Babka powiedziała mi pewnego dnia, że w takim domu można oszaleć, jeśli się nie jest wystarczająco silnym. Po tych słowach poszła do kuchni i wyciągnęła z kredensu niemiecki imbryk w grochy.

– Cholerny świat – mruknęła.

Jej szept także teraz słyszałam. Gdy wychodziłam na ganek i spoglądałam na trawę pokrytą szronem. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio byłam w tym domu całkiem sama. Nie wiedziałam też, czy byłam zadowolona z tej nieoczekiwanej samotności. Prawdopodobnie byłabym, gdyby nie historia, którą właśnie poznawałam i która rozwijała się wbrew moim oczekiwaniom. Babka umarła dwa tygodnie temu. Miała sto lat, wciąż była w dobrej formie, wciąż najbardziej lubiła milczeć. Pewnego ranka po prostu się nie obudziła. I dopiero teraz to robi. Dopiero teraz do mnie mówi.

ROZDZIAŁ 2

Z początku myślałam, że wszystko zaczęło się od wizyty mojego ojca, ale to nieprawda. Zaczęło się dużo wcześniej, od szeptów i niewypowiedzianych słów, i nie tylko. Były jeszcze rzeczy po moim dziadku, które czasem oglądałam, głównie wtedy, kiedy babka nie patrzyła. Wiedziała, że to robię, ale i tak wołała nie patrzeć. Za każdym razem sprawdzała jednak, czy wszystko odłożyłam na miejsce. Dotykała spodni dziadka, koszuli, chustki do nosa, a później zamykała szuflady i wracała do swoich zajęć, bo zawsze były jakieś zajęcia.

Miała swój sad, robiła dżemy, marmolady i konfitury, nalewki i likiery, owoce w rumie i w wódce, wytwarzała rozmaite sery, masło, śmietanę, kefiry i maślanek. Ktoś jej w tym zawsze pomagał, ale babka i tak wszystko w razie konieczności potrafiła zrobić sama. Nie pamiętam, by kiedykolwiek odpoczywała. Umiała zarabiać pieniądze i dobrze je wydawać. Nigdy się nie stroiła, nie kupowała nowych sprzętów, póki stare się nie zepsuły, i wiecznie naprawiała meble po Niemcach. Nie jeździła na wakacje, w ogóle prawie nigdzie nie jeździła, chyba że musiała. To ja na lato pojawiałam się u niej. By odetchnąć świeżym wiejskim powietrzem, jak mówił ojciec, i trochę się opalić. Po całym roku w mieście byłam ponoć blada jak trup i chorobliwie chuda, wiecznie się garbiłam i psułam oczy nad nutami. Wiedział, że taka już po prostu jestem i wieś nic tu nie pomoże, ale powtarzał to i tak. Przywoził mnie do babki pod koniec czerwca i odbierał w połowie sierpnia, wtedy kiedy on i matka brali urlop. Później była szybka przepierka, zakupy i wyjazd gdzieś za granicę, włoski kurort nad morzem albo Chorwacja. Rodzice nic na urlopie nigdy nie czytali. Ani jednej strony, ani słowa. Jako tłumacze z wiecznie rozgrzebanymi tekstami na biurkach ustalili między sobą niemożliwą do złamania wakacyjną zasadę – żadnych książek. Chyba że przewodnik turystyczny. A poza tym odpoczynek czynny, zwiedzanie, spacer, pływanie, rower. Byle nie siedzieć. Ja także więc po blisko dwóch miesiącach spędzonych u babki, która codziennie przeganiała mnie po sadzie, kazała oglądać drzewa, zabezpieczać owoce, ubijać masło, kosić trawę i piec chleb, biegałam po rzymskich ruinach i średniowiecznych kościołach, nurkowałam w Morzu Tyrreńskim i wspinałam się na Olimp. Z jednego świata płynnie przechodziłam w drugi. Po tym wszystkim najtrudniejszy był zawsze powrót do szkoły.

Babcia, jak to ona, niewiele ze mną rozmawiała. Niewiele ze mną rozmawiała o rzeczach faktycznie ważnych. Żadnych zwierzeń. Jeśli już, mówiła coś o jabłkach i gruszkach albo o okolicznościach, w jakich psują się sery. O rodzinie, o dziadku – nic. Próbowalam oczywiście pytać, tak jak nieustannie pytałam ojca, ale poddawałam się za każdym razem, zderzona z jej cichym uporem. Nie powiedziała, że mam nie pytać. W ogóle nic nie mówiła. Zajmowała się nagle bardzo pilnym parzeniem herbaty, obieraniem ziemniaków albo składaniem prania. W takich sytuacjach prędzej czy później każdy się wycofa. Wiedziałam, że nie wytrąsnę z niej słów. Nie na ten temat. Jeśli chciałam, by mówiła, musiałam prosić o inne historie, takie, których nigdy mi nie odmawiała. Uśmiechała się wtedy, kiwała głową, piekła ciastka, gotowała kakao i snuła różne zmyślane opowieści, najczęściej niepokojące czy wręcz przerażające. Na przykład o ponurych lasach, w których drzewa pękają od środka, o wielkich nietoperzach, złowrogim zielonkawym niebie, szkielecie ubranym w koronkową sukienkę. O wietrze, który może cię porwać, i o roślinie, po której wspina się wielki robak. W każdej z tych historii był bohater z nieczystym sumieniem, była jakaś wina, próba jej naprawienia i wielkie zagubienie w świecie. Happy end wyglądał inaczej niż w książkach dla dzieci. Bohater nie żenił się z księżniczką, nie otrzymywał pałacu i bogactw. Czasem jednak ktoś się do niego na przykład uśmiechał. Albo mu przebaczał. A niekiedy chodziło po prostu o drogę do domu, promień słońca lub jedno dobre słowo. Po takiej opowieści inaczej wyglądał las, otulony mgłą poranny sad czy tonące w ciemności schody na strych. Tajemniczo i strasznie. Ale i tak to uwielbiałam. Świece, ciepło, ciszę. Chwile, w których babka mówiła przez dłuższy czas i mogłam bez przeszkód słuchać jej głosu, niskiego i zachrypniętego od papierosów. Zupełnie inaczej wtedy wyglądała, miała inną twarz, łagodniejszą, młodszą. Jadłam ciastka, piłam kakao, później obowiązkowo szorowałam zęby i szłam do łóżka, gdzie nakrywałam się kołdrą po czubek nosa i próbowałam ignorować skrzypienie podłóg, stukające okiennice, wycie wiatru, szmery, szepty.

*

O śmierci babki poinformował mnie ojciec. Zjawił się niezapowiedzianie, z torbą podrózną na ramieniu i bardzo zatroskanym wyrazem twarzy. Sądziłam, że przyjechał po prostu w odwiedziny, bo nie chciał być sam. Po rozwodzie z moją matką, która na zajęciach z ceramiki poznała innego mężczyznę i zakochała się

w nim bez pamięci, głównie siedział w domu, tłumaczył teksty, czytał książki, oglądał seriale dokumentalne o starożytnym Egipcie i dziwaczał. Wpuściłam go do mieszkania i jak zwykle zaczęłam przeproszać za bałagan, ale nagle umilkłam. Ojciec pokręcił głową. Nie umiem powiedzieć, skąd wiedziałam, że chodzi o babkę. Nie chorowała przecież, nie oswajaliśmy się z tą myślą, że niebawem odejdzie. Owszem, przeżyła prawie cały wiek, a jednak... zawsze była. Babcia zawsze była.

– Pani Wiolka ją znalazła. Przyszła rano.

Ojciec rozłożył ręce i zauważyłam w tym geście coś żałośnie bezradnego. Nie był człowiekiem, którego w takich chwilach klepało się po plecach albo przytulało, więc poszłam zaparzyć kawę i zrobić coś do jedzenia. Pani Wiolka. Wyobraziłam sobie, jak najpierw puka do drzwi, a później otwiera je własnym kluczem, już pełna złych przeczuć. Wiele lat temu babka założyła własną działalność gospodarczą, a Wiolka odpowiadała za jej księgowość. Robiła to nadal, mimo że babka pozwoliła sobie w końcu na emeryturę. Wciąż jednak coś było do załatwienia. Jakiś dawny klient, stare kontrakty, trochę pracy nadal wykonywanej od czasu do czasu w gospodarstwie, by „nie zgnuśnić”, ludzie, których zatrudniała do pomocy. Poza tym Wiolka przychodziła co rano na śniadanie i przynosiła z piekarni świeże bułki. Babka czuła się dobrze jak na swoje sto lat, ale nie miała już siły wybierać się po nie sama. Pozwalała więc Wiolce kolejno na wyręczanie jej w zakupie bułek, parzeniu kawy, stawianiu talerzy na stole, wreszcie także na smarowaniu pieczywa masłem i zmywaniu. Powtarzała tylko, że nie pozwoli się karmić, ale sama widziała swoje coraz bardziej drżące dłonie, które z trudem unosiły kubek do ust.

Ugotowałam makaron, zaparzyłam kawę i wróciłam do salonu. Ojciec stał przed regałem i wpatrywał się w grzbiety książek.

– Zawsze miałś w nich nienaganny porządek. Jak we wszystkim zresztą – powiedział.

Rozejrzałam się i skrzywiłam na widok rzuconego byle jak na kanapę koca. Dla mnie to już był bałagan, za który czułam się w obowiązku przeprosić, ale dla innych ludzi niekoniecznie.

– Jesteś jak babcia, u niej też zawsze wszystko na błysk, choćby świat się walił.

Ojciec usiadł przy stole i zaczął nieskładnie mówić o pogrzebie, rzeczach, które trzeba załatwić, o jakiejś papierkowej robocie związanej z firmą. Dopiero teraz pomyślałam o tym, że przecież jest jej interes, który należało ostatecznie zamknąć i najpewniej zatrudnić do tego Wiolkę, bo ani ja, ani ojciec nie mieliśmy do takich rzeczy głowy. I dom. Dom szeptów. Grudniowy dom. Co za ironia, że akurat teraz także zaczynał się ten miesiąc.

– Jedz, tato, bo wystygnie.

– Nie jestem głodny.

– Chociaż trochę.

– Zachowujesz się jak...

– Jak ona, wiem.

– A w kwestii nagrobka...

– Zajmę się tym – odparłam szybko.

Tę kwestię miałyśmy już z babcią omówioną dawno temu. Nigdy nie zmieniała zdania na temat mojego zawodu i zawsze powtarzała, że „to dziwne” i „chyba można było wybrać inaczej”, ale doceniała zarówno mój talent, jak i przedsiębiorczość. Od czasu do czasu zdarzało jej się powiedzieć, że ostatecznie w „smutnej branży” praca zawsze będzie. „Nie prowadzę zakładu pogrzebowego”, odpowiadałam wówczas, ale wiedziałam, że dla babci prowadzenie firmy kamieniarskiej i projektowanie nagrobków to również smutna branża. A jednak „interes zawsze będzie się kręcił, bo skoro ludzie się rodzą, muszą też umierać”, dodawała. Nigdy nie umiałam stwierdzić, czy w końcu jest ze mnie zadowolona, czy też nie. Aż wreszcie pewnego dnia powiedziała, że chciałyby mieć nagrobek z płaskorzeźbą przedstawiającą pięciolinie, nuty i klucz wiolinowy. Spojrzałam na nią z wyrzutem. Wiedziała, że to dla mnie wyjątkowo trudne do realizacji zamówienie. A jednak nie odmówiłam. Złożyłam obietnicę.

Ojciec patrzył na mnie przez chwilę, po czym przysunął sobie talerz. Mamrotał coś o tym, że dziwnie tak zamawiać sobie nagrobki za życia, a później dogryzał mi, że nawet w pracowni kamieniarskiej mam nienaganny porządek, że jestem zupełnie jak ona, zupełnie. Wreszcie umilkł.

Dzióbnięłam widelcem makaron, ale ja też nie byłam głodna. A ojciec nie do końca miał rację. Owszem, byłam pedantyczna jak babka, dokładna, uparta i dociekliwa, czym doprowadzałam absolutnie wszystkich do szału. Jednocześnie jednak miałam w sobie więcej z hedonistki. Lubiłam się bawić, dobrze wyglądać i od

czasu do czasu spontanicznie wydać na coś pieniądze, czego babka nie robiła nigdy. I lubiłam rozmawiać. Mówić. Niekiedy wydawało mi się, że lubię to trochę na przekór jej i ojcu, który tak łatwo zaakceptował milczenie w swoim życiu.

– Pomogę ci ze wszystkim – powiedziałam. – Mama wie?

– Nie odebrała telefonu, pewnie lepi jakiś garnek na Kanarach.

Roześmiałam się mimowolnie, a ojciec niezdarne próbował spiorunować mnie wzrokiem.

– Dwa lata po rozwodzie. Już ci powinno przejść – zauważyłam.

– Nigdy mi nie przejdzie.

Westchnęłam teatralnie.

– Wiesz dobrze, że model rodziny, w której z biegiem lat nie zachodzą żadne zmiany...

– Nie nawijaj mi na uszy swojego pseudopsychologicznego makaronu, bardzo cię proszę.

– To zjedz trochę tego normalnego.

Przewrócił oczami i ponownie pogrzebał widelcem w talerzu.

– A może ty byś zadzwoniła do matki?

Pokiwałam głową. Wiedziałam, że dokładnie tak to się skończy.

– Zostaniesz ze mną na trochę?

Wskazałam torbę podróżną, z którą tu przyszedł.

Ojciec przez chwilę uważnie obserwował gołębia spacerującego po parapecie. Był skupiony i wydawał się bardzo na coś zdecydowany. Prawdopodobnie szukał słów, by mi o tym czymś powiedzieć. Zauważyłam, że przybyło mu zmarszczek i siwych włosów.

– Nigdy nie byłem na Haiti – wymamrotał, a mnie przyspieszyło tętno.

– Słucham?

Unikał mojego wzroku, chwycił łyżeczkę do kawy i zaczął się nią bawić.

– Na Haiti – powtórzył. – Nigdy tam nie byłem, a chciałem pojechać, odkąd przeczytałem...

– *Królestwo z tego świata* Carpentiera, wiem.

– Pomyślałem, że po pogrzebie... Rozumiesz, teraz nie będę się już martwić, czy w razie czego babcia sobie poradzi. No wiesz, gdyby Wiolka nie mogła przyjść albo co.

– Zatrudnilibyśmy kogoś do opieki. Albo ja bym do niej pojechała.

– Uważasz, że nie powinienem zniknąć tak od razu po pogrzebie? Że to może źle wyglądać?

– Źle wyglądać dla kogo? Przejmujesz się, co pomyślą sobie ludzie, których widzisz raz na kilka lat?

Nie o to mi chodzi. Pytam, czy naprawdę zamierzasz pojechać tam sam, bo nie podejrzewam, żebyś planował kogoś ze sobą zabrać. Chyba że się mylę?

– Uważasz, że jestem za stary?

– Nie. Tak. Nie wiem! A voodoo?

Spojrzelśmy na siebie i parsknęliśmy śmiechem. Wiedziałam, że jeśli ojciec coś sobie postanowił, to i tak zrealizuje swój plan. Nie miałam zresztą nigdy śmiałości zwracać mu uwagi, zawsze musiałam pokonywać wewnętrzny opór, zanim wyraziłam na jakiś temat własne zdanie, które akurat było sprzeczne z jego opinią. Ojciec nigdy nie narzucał mi poglądów, ale miał charyzmę i siłę charakteru, których mu zazdrościłam. I był uparty jak ja. I jak babka. A trudno być bardziej.

– To nie jest nagła decyzja, prawda? – zapytałam, choć domyślałam się odpowiedzi.

– Nie. Znudziło mi się odkładanie wszystkiego na później.

– Ale nie jesteś na nic chory ani...

– Twoja matka już do mnie nie wróci – wszedł mi w słowo. – Naprawdę nie wróci. Nie będę więc czekał, aż pojedzie tam ze mną. Bo nie pojedzie.

Ojciec urwał, a ja pomyślałam o mamie. Wiedziałam, dlaczego ojciec nie może się pogodzić z jej odejściem. Matka była doskonałą tłumaczką, świetną rozmówczynią, godną zaufania partnerką i przyjaciółką, wzorowym rodzicem, brylowała w towarzystwie, świetnie gotowała, na wszystko znajdowała czas, a na dokładkę udzielała się charytatywnie. Pewnego dnia usiadła jednak na kanapie i zaczęła płakać. Wyrzucała z siebie słowa, że nie daje rady, jest zmęczona, tak potwornie i wiecznie zmęczona, ma dość, wydaje jej się, że za chwilę wszystko się rozsypie, już dosłownie za momencik, niech tylko przestanie kontrolować każdą, absolutnie każdą rzecz w naszym życiu i proszę – katastrofa gotowa. Nie rozumieliśmy jej. Ona sama machnęła wtedy ręką, powiedziała, że już jej przeszło i to tylko chwilowa słabość, nie trzeba się przejmować. Tak

naprawdę wcale jej nie przeszło. Udawała perfekcyjnie, bo wszystko robiła perfekcyjnie. Stwarzała więc pozory, że żyje życiem, które nie jest rozczarowujące. Być może coraz trudniej było jej sprostać oczekiwaniom wobec samej siebie. Niekiedy zamykała się w łazience i puszczała wodę do wanny. Wychodziła pół godziny później, zawsze z zaczerwienionymi oczami. Ale uśmiechała się do mnie, piekła drożdżowe bułeczki, szła do biurka, tłumaczyła fragment tekstu, a potem sprawdzała moje zadania domowe i ponownie wracała do tekstu. Następnie czytała na głos, trochę kłęła, że brzmi sztucznie, że ciągle nie czuje frazy, i szła po kieliszek czerwonego wina. I tak latami. Kiedy na studiach wyprowadziłam się z domu, ona jeszcze w nim została, na całą dekadę. Aż w końcu wpadła na pomysł, by zapisać się na zajęcia z ceramiki, i wtedy zmieniło się dla niej wszystko.

– Czasami gadam do siebie – kontynuował ojciec – a to już niedobry znak. Muszę... jakoś się ogarnąć, Kami. Najwyższy czas.

– Ja też tak sądzę, tato.

– Jest jeszcze coś.

Ojciec przyciągnął swoją torbę podróżną i zaczął w niej szperać. Chciałam mu powiedzieć, że w taki sposób łatwo sobie wszystko wygniecie, ale ostatecznie się powstrzymałam.

Na stole wylądowała zaadresowana do mnie mała koperta. Był w niej pendrive.

– To od babci.

Oczywiście. Jeśli babcia coś dla mnie zostawiła, jakieś przesłanie na przyszłość, to na pewno nie w starym pamiętniku z poślizgniętymi kartkami. Nawet się nie łudziłam.

– Zajrzałeś do tej koperty?

– Oczywiście. Ona też wiedziała, że to zrobię. W środku była kartka zaadresowana do mnie, z informacją, że babcia coś ci nagrała i mam tego nie oglądać. I żebyś, jeśli możesz, przyjechała na kilka dni na wieś. Posiedziała w domu. Zresztą sama przeczytaj.

Podsunał mi list od babki, a ja przez chwilę wpatrywałam się w jej pismo, które wcześniej znałam tylko z urzędowych papierów i przepisów kulinarnych. Kilka zdań, informacja, prośba. Zero emocji. Zresztą nie byłam nawet pewna, czy to faktycznie prośba, babka pisała po prostu, że powinnam spędzić kilka dni w jej domu. Od teraz – w moim domu. Sięgnęłam po kopertę z pendrive'em.

– Obejrzałeś?

Pokręcił głową. Wierzyłam mu. Zerknęłam jeszcze raz na list.

– Na drugiej stronie jest jakiś dopisek – powiedziałam.

– To nie dopisek, to nabazgrane luźne dwa słowa, pewnie coś sobie wcześniej notowała.

Zerknęłam. Słowa nie były już zapisane tak starannie, raczej rzeczywiście nabazgrane. Ale tętno i tak mi przyspieszyło. „Imbryk w grochy”.

Imbryk w grochy. TEN imbryk. Bo jeśli nie ten, to który?

Powoli przeniosłam wzrok na ojca, ale on skubał zimny już teraz makaron i wydawał się zupełnie nieporuszony. Uznał ten dopisek za bazgroły, a ja nie mogłam. Babka wiedziała, że zwrócę uwagę na te słowa, i umieściła je tam specjalnie. Zostawiła mi zagadkę. Prawie się uśmiechnęłam.

– Nie wiesz, o co mogło jej chodzić? Z pendrive'em? – zapytałam po krótkim milczeniu.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział. – Pewnie zostawiła ci jakieś przesłanie, wiesz, „na przyszłość”.

– To do niej niepodobne.

– Ale robienie rzeczy, których nikt nie rozumie, bez podawania wyjaśnień, już tak.

– Fakt. – Podniosłam się z krzesła. – Przygotuję ci pokój.

– Mogę spać na kanapie.

– W tym mieszkaniu są trzy pokoje, a ja korzystam z dwóch. W trzecim jest tylko rozkładana sofa i rower stacjonarny, na którym wieszam marynarki.

– Czyli mogę tam bałaganić.

– No...

– Żartowałam.

– Zanim wyjedziesz, przepakujemy twój bagaż.

– Przecież jest dobrze spakowany.

– Tak ci się tylko wydaje.

Wcisnęłam pendrive'a do kieszeni i usilnie starałam się o nim nie myśleć.

ROZDZIAŁ 3

Księżyc świecił mocno i wyraźnie widać było granicę lasu. Drzewa miały teraz bryłowaty, nierealny kształt, a ich ostre wierzchołki wkuwały się w niebo, bardzo rozgwieżdżone, bardzo atramentowe, gdzieś niedaleko rozrzedzone, jak gdyby kroplą wody albo może łzą. F. szedł przez puste pole, a podmuchy wiatru uderzały go w plecy. Może nawet biegł. W dłoni kołysała mu się latarenka, wydobywając z mroku jeszcze więcej kształtów, igły wyschniętych traw, grudki ziemi i wreszcie pnie ściętych drzew. Te ostatnie dopiero co trzeszczały pod naporem siekier, które coraz głębiej wrzynały się w korę, w słoje, w soki. Raz i drugi, i trzeci, i czwarty, i... Walące się drzewo smagało powietrze, wzbijało w górę kurz, zakłócało lot owadom. Pieniek pierwszy i drugi, i trzeci, i czwarty, i...

Wiatr przestał wiać i F. słyszał teraz jęki, jęki i trzaski. Rozejrzył się, ale nic się wokół nie zmieniło, ten sam skraj lasu w oddali, te same pieńki, to samo pole i księżyc. I nikogo poza nim. Żadnej ludzkiej duszy.

Śmiech wdarł się w noc gwałtownie i F. poczuł na plecach zimny pot. Ostrożnie postawił na ziemi latarenkę i patrzył, jak wokół niej tworzy się krąg światła. Jeszcze bardziej złowrogo wyglądała teraz trawa i jego własny cień. Ciałem szarpały dziwne spazmy, gnąc go ku ziemi, to znowu wyprężając ku niebu. F. tkwił w kręgu światła i z jakiegoś powodu wiedział, że nie powinien go przekroczyć. Ściana ciemności wokół wcale nie gęstniała, lecz szarzała, a może nawet srebrzyła się i popielila. I coś ros--ło, na niebie, pod księżycem. Może powstawało z połączenia gwiazd, a może przenikało przez nie jak przez drobinki soli. Wybrzuszało się i kształtowało, formowało w coś, co znał. Gałęziste połamane włosy, prosto wyciosany nos, okrągłe usta i równie okrągłe oczy. Zdziwione albo wściekłe oczy. Zdziwione albo wściekłe usta. Usta krzyczące, wrzeszczące. Tułów niewyraźny, wyrastający z lasu lub przez niego pochłaniany. Dłonie wielkie, palce szponiaste.

Kształt rósł nad nim i wyostrzał się, coraz bardziej wyostrzał, bielił, krzepł. F. miał wrażenie, że naprawdę mógłby go dotknąć, wystarczy wyciągnąć dłoń, tylko wyciągnąć. Gałęziste włosy czesał wiatr, a cała sylwetka wciąż walczyła z lasem, była na krawędzi światów, była zła, a może smutna, wciąż nie wiedział.

Poczuł ucisk w głowie, tak mocny, jak gdyby ktoś łupał mu w czaszkę od wewnątrz. Ucisk i ból. Słyszał w uszach gwizd, dzwonienie, przeciągły pisk. Kształt pochylał się nad nim i teraz F. widział już tylko złość. Wrażenie smutku i żalu gdzieś się ulotniło. Czuł skupioną na sobie nienawiść, paliło go całe ciało, a pisk nasilał się tak bardzo, że F. się zachwiał i osłonił twarz rękoma.

Kształt pochylał się nad nim coraz bardziej. Oczy i usta jak trzy czarne ziejące pustką dziury. Latarenka migotała, krąg światła się zmniejszał, twarz coraz bliżej, otchłanie, szpony, tułów wyszarpywany z lasu, pisk, pisk, pisk...

Ciało F. jak trzcina na wietrze. Uniesione ramiona, zaciśnięte powieki, byle na nią nie patrzeć, byle nie patrzeć na to coś.

Wiedział, że przyjdzie. Nie sądził tylko, że będzie tak ciemno i zimno, że to coś pokona nawet gwiazdy. Mrok. Znał go dobrze, znał go z głębi siebie. Wina i strach. I szukanie, wciąż szukanie wyjścia.

Jak stąd. Szukanie wyjścia stąd. Z kręgu światła, z pustego pola, spod złowrogiej twarzy wściekłego widma.

Pisk, uniesione dłonie, dwa wielkie puste oczodoły.

Szpony. Szpony, nagle blisko, nagle ostre.

Wrażenie, że ciało zastyga i że już nie można się ruszyć.

Że ten las. Że to będzie tu. Już.

ROZDZIAŁ 4

Czasem w ciepłe lipcowe noce stała w kuchni przy oknie i wpatrywała się w dal. Podnosiła dłoń i delikatnie głaskała szybę, a może komuś machała, nigdy nie byłam pewna. Później i ja stawałam w tym oknie, szukałam czegoś, czego nie umiałam nazwać, jakiegoś punktu, który przez chwilę był tylko jej. Widziałam fragment sadu, rozległe pole i skraj lasu, a przed nim pas pni drzew jaśniejących w mroku jak talerze, księżycy w pełni albo naleśniki. Kiedy byłam dzieckiem, średnica takiego pnia zawsze kojarzyła mi się ze skwierczącym na patelni naleśnikiem. Widziałam gwiazdy, zamazane kształty, granatowe niebo. Za każdym razem odchodziłam od okna z lekkim poczuciem rozczarowania. Myślałam jednak, że wreszcie przyjdzie dzień, w którym coś zobaczę. Jakieś niezwykle zjawisko, może tajemniczą postać, może anioła albo ducha.

Na nagraniu babka miała drżące dłonie i przygarbione plecy, ale głos mocny i pewny. Użyła kamery w telefonie komórkowym. Nie rozumiałam, dlaczego zgrała to wszystko na pendrive'a, zamiast po prostu przesłać mi mailem. W tych kwestiach zawsze sobie świetnie radziła, choć na komórkę wciąż patrzyła nieco podejrzliwie. Nie rozumiała, jak można siedzieć z nosem w telefonie, skoro poza telefonem świat jest znacznie ciekawszy. A jednak nigdy nie chciała być w tyle. Cieszyła się nawet, że „owo urządzenie” pozwala jej szybciej odpisywać na maile i dzięki „pikającym” powiadomieniom nigdy o nich nie zapomina. Najwidoczniej babka doskonale wiedziała, jak „owego urządzenia” używać kompleksowo. I nagrała to. Dziwną opowieść, bajkę trochę jak z Kafki, bez początku i końca, taką... bardzo w swoim stylu. W stylu tamtych opowieści do kakao, po których bałam się wyjść spod kołdry. Ubrała się w ulubiony zielony sweter, uczesała, pociągnęła nawet policzki różem. Odtwarzałam jej nagranie raz po raz, wsłuchiwałam się w słowa, śledziłam mimikę. Nie zająknęła się ani razu.

Ta opowieść z czymś mi się kojarzyła. Nie tylko z widokiem zza okna, ze skrajem lasu i ciemnością, choć do tamtego obrazka bardzo by pasowała straszna twarz na niebie. A jednak było coś jeszcze. Nie mogłam pochwycić tego skojarzenia.

Po chwili wahania zapukałam do ojca.

– Śpisz?

– Nawet gdybym spał, to teraz już nie.

Zajrzałam do pokoju i pominęłam milczeniem bałagan, który zdążył zrobić.

– Co z komórką babci? Masz ją może?

– Mam. Zaraz znajdę, gdzieś tu jest.

Wyszperał wreszcie spod sterty ubrań z nierozpakowanej jeszcze torby stary model iPhone'a.

– Dzięki. Dobranoc, tato.

– Będziesz szukać kompromitujących fotek i listów miłosnych?

– Coś w tym stylu.

Wróciłam do siebie. Dochodziła północ i powinnam położyć się spać, rano miałam spotkanie z wyjątkowo wymagającym klientem, który wprowadzał już czwartą serię poprawek do zaprojektowanego przeze mnie nagrobka dla jego ciotki, choć z początku wydawał się na tyle konkretny w swoich oczekiwaniach, że nie spodziewałam się żadnych problemów. A jednak – najpierw zmienił zdanie co do kształtu liter, później nie mógł się zdecydować, czy podawać miejsce urodzenia i śmierci, czy też ograniczyć się do samych dat, jeszcze później zastanawiał się nad zdjęciem zmarłej, czy powinno być takie z młodości, czy raczej jakieś z ostatnich lat. Zapytałam, co jego zdaniem wolałaby sama ciotka, a on odpowiedział, że właśnie nie wiedziała, choć oczywiście analizowała tę kwestię bardzo wnikliwie. Z jednej bowiem strony korzystniej wyglądała na zdjęciach z młodości, kusiło ją więc, by wybrać właśnie takie. Z drugiej strony kłóciłoby się ono z jej wiekiem w chwili śmierci, a fotografia pomarszczonej staruszki jasno komunikuje, że zmarła cieszyła się długim i bogatym w doświadczenia życiem. Wybór nie jest więc wcale łatwy, bo ciotka odeszła z tego świata, nie rozprawiwszy się ostatecznie ze swoim dylematem. Nie wiedziałam, co było bardziej niepokojące – fakt, że przez zdjęcie utkniemy z robotą, czy raczej to, że ciotka klienta w ogóle roztrząsała tę kwestię. Nauczyłam się już jednak niczemu nie dziwić i z niczym nie dyskutować, lecz jedynie sugerować takie czy inne rozwiązania. Poza tym lubiłam porządnie wykonywać swoją pracę.

Ziewnęłam przeciągle i jeszcze raz spojrzałam na zegarek. Wiedziałam, że mimo zmęczenia i tak nie zasnę. Ponownie odtworzyłam nagranie babki i poczułam dziwny skurcz w sercu. Uświadomiłam sobie nagle,

że naprawdę jej nie ma. Z nikim nie będę już tak siedzieć latem w sadzie, z nikim nie będę milczeć o dziadku, o jego ubraniach, przeszłości i zniknięciu, z nikim nie będę tak po prostu patrzeć przed siebie, z filozoficznym namysłem oglądać jabłek, próbować masła i kefiru. Grudniowy dom bez babki nie będzie już grudniowym domem. Nikt nie odnowi starych mebli po Niemcach. Nikt nie zaduma się nad imbrykiem w grochy.

Babka na pewno coś mi zostawiła. Coś poza tym nagraniem. Musiałam tam pojechać, tak jak mnie prosiła, czy też – jak mi poleciła. Nie mogłam jednak zrobić tego zaraz nazajutrz – po pierwsze należało zająć się pogrzebem i formalnościami, po drugie dopiąć na ostatni guzik podróż ojca, bo znając go, zapomniał o połowie spraw, i po trzecie wreszcie zrobić sobie urlop. Po załatwieniu projektu klienta od ciotki i tak planowałam trochę odpocząć. Moja asystentka, księgowa i kamieniarze, których zatrudniałam, wiecznie mi powtarzali, że jeśli od czasu do czasu pozwolę im wykonywać swoją pracę i nie będę się we wszystko wtrącać, firma z pewnością nie upadnie. Wręcz przeciwnie – każdy podreperuje dzięki temu swoje zdrowie psychiczne. Obraziłam się za te słowa tylko raz, później już dałam sobie spokój. Mieli trochę racji.

Jeśli umiejętnie dopnę projekt nagrobka dla faceta od ciotki, pomyślałam, za tydzień będę w domu babki. Razem z zagadką i wskazówkami, z zapachem jabłek, który wciąż na pewno unosi się w powietrzu, ze skrzypieniem schodów, szeptami i twarzą upiora na niebie.

Włączyłam jej telefon i przejrzałam maile. Było ich niewiele, same sprawy urzędowe, firmowe, korespondencja ze schroniskiem dla zwierząt, któremu babka przekazywała datki, i z kardiologiem. Ten ostatni pisał babci, że ma przestać palić. Ona odpisywała mu zawsze to samo – że w jej wieku nie ma sensu zrywać z nałogami. Przewinęłam esemesy. Tych było jeszcze mniej, głównie przychodzące, od ojca, kilka od Wiolki i ode mnie. Zdjęcia – sad, ogródek warzywny, pole, kilka ujęć domu. Całkiem zresztą niezłych. Żadnych filmów. Usunęła więc ten dla mnie. Nie widziałam większego sensu w bawieniu się z pendrive'em, babka musiała przecież wiedzieć, że ojciec może mi równie dobrze przekazać tę komórkę i sama znajdę, co trzeba. Ale jej chodziło o preludium. O stworzenie nastroju dla jednej ze swoich strasznych opowieści.

We własnym mieszkaniu, w piżamie i pod kołdrą, z głośno chrapiącym ojcem za ścianą, nie czułam lęku. Czułam tylko narastającą ciekawość.

*

Miasto tonęło w strugach deszczu i ogromny parasol w ogóle nie ratował sytuacji. Walczyłam z wiatrem, który uparcie próbował wyrwać mi go z ręki, i kiedy dotarłam do pracy, bolało mnie już całe ramię. Oczywiście mogłam pojechać samochodem. Albo tramwajem. Czymkolwiek, co choć na chwilę osłoniłoby mnie od deszczu i pozwoliło nieco przeschnąć. Zawsze miałam jednak żelazną zasadę dotyczącą pokonywania drogi do pracy i z powrotem – uważałam, że ta odległość jest możliwa do przejścia piechotą niezależnie od okoliczności. Babcia na pewno by się ze mną zgodziła. Miała własne żelazne zasady dotyczące codziennej dawki ruchu na powietrzu, ale jej, jako osobie mieszkającej na wsi, było łatwiej. Ponownie poczułam to dziwne ukłucie w sercu – ukłucie na myśl o pustym grudniowym domu, domu bez niej.

Weszłam do pracowni i z ulgą opuściłam parasol. Z Wybrzeża Wypiańskiego na Sępólno, gdzie w pobliżu cmentarza na Smętnej ulokowałam siedzibę swojej firmy, był jednak spory kawałek. W taką pogodę szłam ponad godzinę, choć w sprzyjających warunkach zajmowało mi to niecałe pięćdziesiąt minut.

Poczułam przyjemny zapach kawy i pączków, które dwa razy w tygodniu kupowała Amelia, moja asystentka. Z początku przynosiła je codziennie, dokładnie cztery sztuki, „po dwie na łebka”, jak mówiła, chyba że w biurze miała się pojawić również księgowa – wtedy sześć. Amelia nie przyjmowała odmowy i na wszelkie próby uniknięcia konsumpcji pączka reagowała opowieścią o rodzinnej cukierni, w której rzeczony pączki kupuje i która przez krwiożerczy kapitalizm, wielkie centra handlowe i wegan jest już na skraju bankructwa, o tym, ile składników i prądu trzeba było przeznaczyć na wyprodukowanie jednego takiego pączka i że zbrodnią jest wyrzucać go do śmieci, bo jedzenia się nie wyrzuca, po prostu nie. Nigdy nie reagowała na żadne sugestie, że pączki są niezdrowe, że recepturę można zmienić, choćby pod wegan, i ogólnie wprowadzić rozmaite ulepszenia – „uzdrowienia” – by wypiek odrobinę mniej szkodził żołądkowi, cholesterolowi, tętnicom i sercu. Amelia prychała i jeśli w ogóle odpowiadała na zaczepkę, to tylko słowami „kiedyś wszyscy jedli pączki i żyli”. W pracowni firmy kamieniarskiej Prozerpina wszelkie takie deklaracje brzmiały wyjątkowo osobliwie. Na moją specjalną prośbę Amelia ograniczyła jednak częstowanie nas pączkami do dwóch dni w tygodniu. W pozostałe z miną męczennicy konsumowała na drugie śniadanie sałatkę, pełnoziarniste pieczywo i owoce. Nie rozumiałam, dlaczego swojej potrzeby faszeringowania ludzi

cukrem nie przelała po prostu na naszych mistrzów kamieniarstwa, przyjęliby dar z pocałowaniem ręki. Amelia patrzyła na nich jednak zawsze z lekkim – i niepojętym dla mnie – przerażeniem.

Dziś wyjątkowo cieszyłam się perspektywą pączka i drugiej kawy. Zdążyłam już zapomnieć, że piłam jakąś w domu, nawet jeśli ojciec bardzo się postarał i zaparzył naprawdę dobrą. Ulżyło mi, że nie spytał o pendrive'a. Nie byłam gotowa na tę rozmowę i nie miałam pojęcia, co mu powiedzieć. Nie miałam też pojęcia, co to właściwie była za historia. Po przebudzeniu wciąż o niej myślałam, układałam w głowie słowa i przywoływałam obrazy. Byłam pewna, że babka nigdy wcześniej mi jej nie opowiadała, a jednocześnie czułam, że jest w tym coś znajomego. Wrażenie wciąż się nasilało, jak gdybym... przywoływała jeden ze swoich najdziwniejszych snów.

Minęłam warsztat, w którym pracownicy stukali młotki i szurały dłuta, i weszłam do biura. Musiałam się skupić. Sięgnęłam po notatki leżące na biurku i zerknęłam na szkic nagrobka. Czwarty z kolei szkic, z nowymi literami i przesuniętym w prawo miejscem na zdjęcie – to wciąż jeszcze niewybrane, młode lub stare. Od lat lubiłam rysować ręcznie, zamiast polegać wyłącznie na nieustannie udoskonalanych programach do projektowania. Klienci jednak doceniali symulację nagrobka w 3D, więc sadzałam ich chętnie przed monitorem i bez mrugnięcia okiem na bieżąco nanosiłam każdą sugerowaną zmianę. Czasem jednak zdarzał się ktoś, kto przychodził „porozmawiać o pomysłach” i nie chciał patrzeć na ekran. Wtedy po prostu pozwalałam mu mówić, a sama brałam do ręki ołówek i rysowałam, zainspirowana słowami. Wydawało mi się, że dla niektórych ludzi była to jakaś forma terapii, sposób na wyrzucenie z siebie negatywnych emocji. Nie każdy umiał się zdobyć na wizytę u psychologa po stracie bliskiej osoby. Na takie rzeczy prawie nigdy nie ma dobrego momentu albo dobrego nastroju, zawsze jest coś ważniejszego do zrobienia, jakiś inny wydatek, który trzeba ponieść, jakieś inne miejsce, w którym należy być. Terapeuta może się wydawać wielu zachcianką i fanaberią, nawet jeśli coraz więcej mówi się o potrzebie zadbania o równowagę psychiczną. I że to żaden wstyd. Że nie ze wszystkim można się uporać w pojedynkę. Nie każdy to rozumiał i nie każdy widział konieczność wizyty u psychologa. Ale nagrobek był już koniecznością. Nagrobek się zmarłemu należał, na nagrobkach się nie oszczędzało i nagrobka się nie kwestionowało. A kiedy człowiek przychodził zlecić projekt i wykonanie nagrobka, czasem zaczynał mówić.

Facet od ciotki z dylematem w kwestii zdjęcia lubił na przykład temat „konserwacji jako gwarancji życia wiecznego”. Był historykiem specjalizującym się w starożytności, o Egipcie i faraonach mógł opowiadać w nieskończoność, a czasem wtrącał jedno czy dwa zdania o tym, czym dla niego faktycznie jest utrata. I jeszcze, że „kiedyś to były grobowce”. Jako jeden z nielicznych klientów pytał, dlaczego robię to, co robię, a ja mówiłam mu tylko część prawdy, podawałam wersję oficjalną, spreparowaną dla tych, którym na usta cisnęło się: „taka młoda, a projektuje groby”. Odpowiadałam wówczas, że po pierwsze pracuję w branży ponad dziesięć lat, a po drugie dla mnie pierwszą prawdziwą życiową fascynacją była mumia w wiedeńskim muzeum, które odwiedziłam, będąc w klasie maturalnej. Wiedziałam już oczywiście wtedy, bo zawsze pilnie uczyłam się historii, że starożytni Egipcjanie budowali sobie wielkie piramidy jako wyraz wiary, że będą to ich domy na całą wieczność. W tamtej chwili jednak ciekawe wydało mi się wszystko inne – od rytuału balsamowania po przekonanie, że śmierć jest początkiem kolejnego życia. Że człowiek w pośmiertną podróż zabiera ze sobą tylko swoje serce, które położy na szali przed Ozyrysem, kiedy wejdzie do Sali Dwóch Prawd i stanie przed wagą. Na jednej szali serce, na drugiej Pióro Prawdy. Jeśli przeważy pióro, dusza poprowadzona przez Ozyrysa uda się na Pole Trzcin. Jeśli przeważy serce, bogini Ammit na wieki porwie duszę do siedliska demonów. To właśnie wtedy pomyślałam, że wszystkie religie są do siebie podobne. Chodzi o jedno. O to, by zasłużyć na życie wieczne. By zwyciężyć śmierć. A może o to, by ją oswoić, by uporać się jakoś ze strachem przed nią. Od tamtej chwili w muzeum, gdzie stałam nad egipską mumią i myślałam o Polu Trzcin, rozumiałam, że naprawdę nie znamy dnia ani godziny. I postanowiłam, że moje życie będzie dobre albo że przynajmniej postaram się, by było w nim jak najwięcej dobrych momentów.

Ta wersja była jednak okrojona, prawdziwa tylko w części. Myślenie o śmierci i zamykaniu jej w symbolach miało dla mnie szczególne znaczenie. Było sprawą osobistą. Pierwszy nagrobek zaprojektowałam dla kogoś, kogo kochałam.

Czekałam na klienta od ciotki i mechanicznie przesuwając po blacie biurka notatki. Przelotnie zerknęłam na kubek ze świeżo zaparzoną kawą i talerz z pączkami. Uśmiechnęłam się do Amelii, która z werwą stuknęła w klawiaturę i raz po raz rzucała jakimś przekleństwem, by na moje pytające spojrzenie odpowiedzieć zdawkowym: „panuję nad sytuacją”.

Znowu pomyślałam o babce. O tym, co mi kiedyś – jeden jedyny raz – powiedziała. Że chciałaby być pochowana w trawiastozielonej sukience z białym kołnierzykiem. Miała ponoć taką w młodości. Szkicowała ją czasem na luźnych kartkach, bardzo dokładnie oddając detale. Delikatne marszczenia w talii, guziczki przy rękawach, falbanka. A jednak nigdy nie zdecydowała się jej uszyć. Ciekawe, czy wyrzuciła te szkice?

*

Na spotkaniu z facetem od ciotki dałam się wciągnąć w rozmowy o siedemnastowiecznych portretach trumiennych. Amelia zerkała na mnie czasem znad swojego laptopa i kręciła głową. Wiedziałam, że z premedytacją nie proponuje klientowi drugiej kawy. Na pewno by skorzystał.

– To jednak miłe – mówił – że przynajmniej wizerunek zmarłego uczestniczył w stypie. Nie sądzi pani? Czasem na takiej stypie ludzie w ogóle zapominają, dla kogo i po co przyszli, gapią się w telefony, chichoczą i wrzucają fotki na Instagram.

Kiwnęłam głową. W zasadzie lubiłam ten temat.

– Poza tym – dodałam – nie był to portret pośmiertny, jakie malowano często w innych krajach. Przedstawiał osobę żywą, z otwartymi oczami, wyglądającą na zdrową i dobrze się mającą.

– Jak gdyby ta osoba miała na nich patrzeć. Pilnować, czy wszyscy uczciwie piją za jej zdrowie – rozkręcał się.

– Tak – odparłam, a Amelia nieudolnie stłumiła westchnienie. – Odnosiło się wrażenie, że faktycznie tam jest. A pogrzeb i stypa były wystawną imprezą, dość mroczną, ale nie całkiem smutną. Świętowano po prostu odejście tej osoby do lepszego świata, płakano za nią i nieprzerwanie modlono się w domu nad zwłokami, ale śmierć nie stanowiła w żadnym razie końca życia. Była pewnym przekroczeniem. Dobrze więc, jeśli to przekroczenie odbywało się z klasą, na poziomie i przy mimo wszystko niezłej zabawie.

– Pomyślałem, że na grobie ciotki zrobimy taki portret.

Spojrzałam na niego zdezorientowana.

– Ma pan na myśli portret trumienny? – upewniłam się. – Jak w siedemnastym wieku?

– Nie umie pani?

– Nie o to chodzi, czy umiem. Chodzi o to, czy ten... portret ma być malowany na zamówienie, czy też po prostu przerobimy jedno ze zdjęć w specjalnym programie graficznym i umieścimy je w stylizowanej na portret trumienny ramie? Zdecydowanie polecam ten drugi wariant, z malowanymi portretami różnie bywa, czasem wychodzą wyjątkowo nieudolnie... Poza tym w zasadzie niewielu już teraz to robi, więc trzeba by znaleźć specjalistę, a że to nisza, cena z pewnością...

Zawiesiłam głos i zaczęłam się w duchu modlić, by nie zdecydował się na zamawianie malowidła. Takim zleceniem jeszcze się nie zajmowałam i szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, czy tworzenie współczesnych portretów trumiennych faktycznie jest zajęciem niszowym. A być może powinnam to wiedzieć jako osoba z konkretnej branży. Amelia ostrzegała mnie, że mężczyzna będzie przeciągał współpracę i wiecznie się czegoś czepiał, bo albo nie ma nic lepszego do roboty, albo zakochał się w jednej z nas, albo jest wielkim fanem sztuki funeralnej. Była na tyle bezlitosna w swoich ocenach, że nie podejrzewała go o kierowanie się wielką miłością do zmarłej ciotki. Ogólnie uważała, że ludzie więcej energii powinni poświęcać na dbanie o żywych niż o pomniki dla martwych. Nie umiała mi wytłumaczyć, dlaczego została moją asystentką, a po skończeniu studiów na ASP zamierzała iść w moje ślady.

Klient popadł w zadumę i drapał się po brodzie.

– Dobrze – odezwał się w końcu. – Zatem niech będzie fotografia.

Odetchnęłam z ulgą.

– Zajmie się pani tym?

– Oczywiście. Trzeba będzie wprowadzić trochę zmian, żeby zmieścić... portret trumienny pana ciotki, ale to jest do zrobienia. Oczywiście nie chodzi panu o to, by ten portret miał takie wymiary, jakie miewają oryginalne portrety trumiennie?

– No, widzi pani, w sumie chciałbym...

– To zajmie praktycznie całą płytę, nie będzie miejsca na imię i nazwisko oraz daty, trzeba by dwukrotnie zwiększyć wymiary, a zatem zamówić więcej granitu. Otworzę kalkulator i zrobię na szybko symulację kosztów, momencik...

– Skoro tak, to może niech to będzie po prostu zdjęcie portretowe w odpowiedniej ramie – wszedł mi

w słowo.

Posłałam mu pokrzepiający uśmiech.

– Doskonale. Naniosę poprawki i myślę, że możemy skierować projekt do realizacji.

– Już? Ale przecież...

– Jeśli jeszcze ma pan jakieś wątpliwości i musi przemyśleć kilka spraw, za tydzień pana sugestie przyjmie pani Amelia, ja będę na urlopie.

Mina mu zrzędnęła. Amelia uniosła głowę znad laptopa i najpierw zmrużyła oczy, a później uśmiechnęła się do klienta. Było w tym uśmiechu coś złowieszczonego.

– Może po pani powrocie... – zaczął niepewnie.

– Będę tu znowu dopiero po Nowym Roku – ucięłam.

– Wobec tego... dobrze, nie pozostaje mi nic innego jak...

Mamrotał coś jeszcze pod nosem, ale dla nas najważniejsze było, że zgodził się, by po naniesieniu najnowszych poprawek skierować projekt do realizacji. Wreszcie.

– Przed spotkaniami z takimi jak on to trzeba pić melisę, nie kawę. I tak masz do nich bardzo dużo cierpliwości – skwitowała Amelia, kiedy klient wyszedł.

– Teraz już będzie z górki – powiedziałam i przysunęłam sobie talerz z pączkami.

Kolejna klientka zebrała na mój temat porządną dokumentację w internecie i kiedy – bardzo szybko – omówiliśmy projekt nagrobka dla jej dziadka, zapytała mnie o drzewa genealogiczne. Szczerze mówiąc, trudno mi było nie złapać się na ten haczyk. Zwłaszcza jeśli ktoś i tak już wiedział, że poza pracą w Prozerpinie zajmuję się także prowadzeniem badań genealogicznych. Westchnęłam ciężko, poprawiłam się na krześle i splotłam dłonie.

– Czy zdarzyło się pani kiedykolwiek nie znaleźć czyjegoś przodka? – zapytała kobieta.

– Niestety tak – odpowiedziałam. – Zawsze trzeba się z tym liczyć. I jeszcze z tym, że takie badania mogą naprawdę długo trwać. Trzeba też zrobić mnóstwo nudnych rzeczy, pisać wnioski do urzędów, przeglądać teczki w archiwach, składać różne podania o udostępnienie dokumentów. Teraz i tak jest łatwiej, bo mamy do dyspozycji dobre wyszukiwarki internetowe i dużo zdigitalizowanych papierów. Ale zdarza się, że ktoś po prostu...

– Zapada się pod ziemię – dokończyła za mnie i zdmuchnęła kosmyk włosów z czoła. – Jak moja prababcia w powstaniu.

– Warszawskim?

Kiwnęła głową.

– Po prostu zniknęła. Nigdy nie odnaleziono jej ciała. Prawdopodobnie jest pochowana gdzieś na Woli, w zbiorowym grobie. Ale nie wiem tego na pewno. A dobrze byłoby wiedzieć.

Uśmiechnęłam się do niej smutno. Rozumiałam ją doskonale. Zawsze chodziło przecież o dwie daty, datę narodzin i datę śmierci, pomiędzy które wpisywało się opowieść o życiu. Brak jednej z tych dat oznaczał jakieś zawieszenie, budził wrażenie niepełności, a historia domagała się domknięcia. Ludzie przychodzili do mnie czasem z prośbą, bym odnalazła czyjś grób, datę śmierci czy wręcz – zwłoki. Albo chcieli informacji, wskazówki, kierunku dla własnych poszukiwań. Mówili mi, że czują niepokój. Mają wrażenie, że babcia, dziadek, jakaś ciotka pojawia się uporczywie w ich myślach i nie daje spokoju. Czegoś chce. Może właśnie ram dla swojej historii. Początku i końca. Wierzyłam im, bo sama miałam takie doświadczenie z dziadkiem. Tym, który pewnego dnia, jak powiedziała moja babka, „musiał iść”. On także nie miał grobu i daty śmierci.

*

Późnym popołudniem zamknęłam laptop, przeciągnęłam się i zerknęłam na suchą już parasolkę. Czekało mnie kolejne spotkanie z deszczem, który przez cały dzień ani na chwilę nie przestał lać. Czulałam się zmęczona i wyjątkowo nie miałam ochoty na spacer.

– Bardzo przedświąteczna atmosfera.

Drgnęłam na dźwięk dobrze mi znanego głosu. Tomek stał w drzwiach i nie wyglądał na kogoś, kto właśnie zmókł.

– Powiedz, że przyjechałeś samochodem.

– Mogłabyś trochę częściej używać własnego, rzadziej byś mokła.

– Tak, ale środowisko, korki...

– I twoje żelazne zasady, wiem. – Przewrócił oczami i sięgnął do kieszeni po kluczyki. – Odwiozę cię do domu, a później muszę jeszcze skoczyć na uczelnię. Bardzo jakoś umilkłaś. Od wczoraj dzwonię jak głupi, gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że się obraziłaś.

Przełknęłam ciężko ślinę i kiedy wyszliśmy z pracowni, rozłożyłam parasol, byśmy mogli przebiec do samochodu. Dopiero kiedy ulokowałam się na siedzeniu pasażera, powiedziałam mu, co się stało. Sięgnął po moją dłoń i lekko ją ścisnął.

– Przykro mi. Twoja babcia była w porządku. Ale miała już prawie sto lat, więc...

– Należał jej się odpoczynek?

– Kami, nie zaczynaj. Wiem, chcesz powiedzieć, że być może tam dalej niczego już nie ma i dlatego wszelkie gadanie o odpoczynku to głupoty, bo śmierć po prostu jest końcem. Słucham tego od dziesięciu lat, pamiętasz?

Pamiętałam. I w gruncie rzeczy ja też zawsze myślałam o odpoczynku, zwłaszcza gdy mówiło się o śmierci osoby starszej lub chorej. Odpoczynek brzmiał lepiej niż koniec, nie miał w sobie nic ostatecznego i dawał nadzieję. Zerknęłam na Tomka, który także się we mnie wpatrywał. Faktycznie, znał mnie od dziesięciu lat i równie długo – a także cierpliwie – wysłuchiwał moich pseudofilozoficznych przemyśleń. W zamian ja słuchałam jego wywodów o sztuce. Poznaliśmy się na konferencji poświęconej – jakżeby inaczej – sztuce funeralnej. On był młodym doktorantem, ja artystką i początkującą projektantką nagrobków, która właśnie założyła swoją firmę i zaczęła pracę w „smutnej branży”. Wydawało się nam, że lada chwila dokonamy rzeczy wielkich i przełomowych. Można powiedzieć, że sztuka funeralna nas połączyła, co brzmi dość upiornie. Przy nędznej kawie z automatu zaczęliśmy wówczas temat genealogii i postanowiliśmy sobie, że pewnego dnia zajmiemy się tym na poważnie. Otworzymy biuro genealogiczne na podobieństwo biura detektywistycznego i będziemy na zlecenie tropić cudzych przodków. Po części się udało. Biuro mieściło się w mieszkaniu Tomka, w najmniejszym pokoju, który zwaliśmy kanciapą. Wstawiliśmy tam małe biurko, cztery krzesła i regały na książki. Na parapecie z braku odpowiedniej pielęgnacji często dogorywała jakaś roślinka, a ostatnia dziewczyna Tomka, wyprowadzając się, powiedziała, że „żadne chabazie nie sprawią, by ta gówniana dziura miała jakikolwiek klimat”. Niestety musiałam jej przyznać rację. Odpowiedni nastrój dla biura genealogicznego wykreowałby zapewne tylko stary dom, skórzane głębokie fotele, masywne stoły, wiekowe książki i portrety tajemniczych przodków na ścianach. Na znalezienie takiego miejsca zupełnie się nie zanośliło. Genealogia pozostawała wciąż raczej naszym wspólnym hobby niż głównym zajęciem.

– A jak w Żyrardowie? – zapytałam po chwili.

Tomek ocknął się i przestał we mnie wpatrywać.

– Dobrze. Mam już komplet dokumentów i ustną relację sąsiadki, klienci powinni być zadowoleni.

Uśmiechnęłam się. Nasze ostatnie zlecenie wydawało się niezbyt zajmujące, a po kilka dokumentów trzeba było pojechać osobiście. Tomek zawsze lubił zbierać ustne opowieści. Sąsiadów, krewnych, byłych narzeczonych, żon, mężów, przyjaciół i niespełnionych miłości. Nie wystarczały mu daty i fakty. Szukał słów. Historii. Ciekawostek. Perspektyw. Emocji. Klienci różnie na to reagowali – przeważnie pozytywnie, ale zdarzały się też komentarze, że kogo to obchodzi i „mogło być przecież zupełnie inaczej, bo słowa to słowa, da się z nimi zrobić wszystko”. Właśnie o to chodzi w opowieściach. Sprawiają, że jeden człowiek ma wiele osobowości, wiele twarzy i wiele żyć.

– Potrzebujesz pomocy z pogrzebem?

Tomek uruchomił silnik.

Pokręciłam głową.

– Z pogrzebem nie. Ale być może z czymś innym.

Pomyślałam o dziwnym nagraniu babki i jej opowieści o twarzy upiora. O szeptach i starym domu, ubraniach dziadka, o dziadku w ogóle i jego niedokończonej historii. „Musiał iść”. Pewnego dnia po prostu musiał iść. Nie byłabym sobą, gdybym nie próbowała go odszukać. Próbowałam. Latami, przy zerowej współpracy babki i ojca. Ojciec nie wiedział zupełnie nic, a babka z pewnością wiedziała wiele, lecz uparcie milczała. Zrobiłam więc wszystko to, co powinno się zrobić, kiedy szuka się przodków. Wnioski, podania, telefony. Urzędy, książki meldunkowe, koperty dowodowe, ankiety, wizyty w kancelariach parafialnych, Archiwum Państwowe, PCK, nawet IPN. O dziadku nie znalazłam nic. Żadnej ankiety, żadnego wniosku o dowód, żadnego adresu. Mój ojciec nosił nazwisko swojej matki. Widziałam – i nawet sobie skserowałam – jego akt chrztu i wiedziałam, że nie figuruje w nim dziadek. Jak gdyby nie istniał. Nie był nikomu znany.

Sądziłam, że babka i dziadek po prostu nie wzięli ślubu i to dlatego. Przyczyny mogły być różne. Dziadek mógł już mieć jakąś żonę, która zaginęła w czasie wojny, nie wiedział więc, czy jest człowiekiem wolnym, czy też nie. I dowiedziałabym się tego, gdybym miała jakikolwiek punkt zaczepienia. Ale nie miałam. Stanisław Janowski – mój dziadek – nie istniał. Tak mógł się nazywać każdy. Albo nikt. Na fali frustracji zbadałam przeszłość babci i jak na złość nie znalazłam nic podejrzanego. Matylda Żukowska. Urodzona w Warszawie, z robotniczej rodziny, jedynaczka, ojciec zatrudniony w fabryce, matka bez zawodu. W czasie okupacji wywieziona na roboty do Saksonii. Jej rodzice, a moi pradziadkowie, zmarli podczas wojny. Po powrocie do Polski zamieszkała na Dolnym Śląsku, w czterdziestym szóstym urodziła syna, Tadeusza Żukowskiego. Stan cywilny: panna. Przydział do pracy w mleczarni. O dziadku nigdzie ani słowa. Kiedy poinformowałam mojego ojca, że „musiał iść”, był rok pięćdziesiąty szósty. Owszem, po wojnie niektórzy ludzie całymi latami nie wyrabiali sobie dokumentów. Znałam już takie przypadki. Najczęściej czegoś się wstydzili. Na przykład kolaboracji. Folklisty. Donosicielstwa, zwłaszcza na ukrywających się Żydów i ludzi, którzy im pomagali. I tak dalej.

Zapytałam o to babkę pewnego dnia. Po prostu przyjechałam do niej i powiedziałam: „Dziadek nigdy nie miał dowodu osobistego. To znaczy – po wojnie nie miał”. Na co ona odparła: „Ano nie miał”. I to było wszystko. Nie mogłam przecież wymusić na niej zwierzeń. Zostałam więc z tą odpowiedzią. I bez dziadka. Bez daty jego śmierci i końca opowieści o nim. A w zasadzie – w ogóle bez opowieści.

ROZDZIAŁ 5

Mój ojciec i Tomek pograżyli się w rozmowie o jakiejś czeskiej fascynującej książce, którą koniecznie trzeba przetłumaczyć na polski, bo genialnie ukazuje przemiany społeczne, wplątanie w pokręconą wielką historię, los człowieka uwikłanego w ustrojowe transformacje i obyczajowe rewolucje. I na jej przykładzie wyraźnie widać różnice między czeskim i polskim podejściem do historii. Słuchałam jednym uchem, więc nie wiem, o co konkretnie im chodziło, ale zapewne o to, że Polacy ciągle swoją historią żyją i bez końca ją rozdrapują, a Czesi być może niekoniecznie. Włączyłabym się do dyskusji i dorzuciła uwagę, że to duże uproszczenie i wszystko zależy od punktu widzenia, ale wyjątkowo milczałam i czekałam, aż się nagadają. Chciałam pokazać Tomkowi nagranie.

Rozmowa zesłała na pogrzeb i mój ojciec lekko się nachmurzył. To jutro, pomyślałam. Jutro pogrzeb, a za kilka dni urlop. Pojadę do domu szeptów. Do grudniowego domu w grudniu.

Sprzątnęłam naczynia ze stołu, a ojciec zaraz poderwał się z krzesła i zapowiedział, że włoży wszystko do zmywarki. Tego się obawiałam. Miałam swój system wkładania rzeczy do zmywarki, najpierw należało opłukać talerze, pilnować, by były ustawione według wielkości, miseczki koniecznie osobno... Tak, miałam obsesję. Potrząsnęłam głową i pozwoliłam ojcu po prostu zrobić to po swojemu.

– Święta na Haiti – odezwał się jeszcze Tomek. – To będzie coś! Zazdroszczę ci.

– Sam sobie zazdroszczę – odparł mój ojciec i oczywiście zaczął układać w zmywarce nieopłukane naczynia.

– A voodoo? – zapytałam z rezygnacją i ruszyłam do sypialni.

Słyszałam, jak chichoczą. Mój ojciec uwielbiał Tomka. Z wzajemnością. Mówili do siebie „Tomuś” i „Tadzik”, a ja już dawno przestałam reagować na komentarze o idealnym materiale na zięcia. Ojciec zresztą powtarzał je ostatnio tylko z przyzwyczajenia, bo przez dziesięć lat zdążył się już znudzić czekaniem, aż moja znajomość z Tomkiem skręci w wiadomą stronę. Jakoś nie skręcała. On wiecznie miał jakąś dziewczynę, a ja wiecznie jakiegoś chłopaka. „Tak się nie da w nieskończoność, stuknęła ci już trzydziestka piątka”, mawiał ojciec. Dbał o to, bym nie zapominała, w którym roku się urodziłam.

Otworzyłam laptop. Zgrałam już film babki, na wypadek gdyby pendrive zaginął równie nieoczekiwanie, jak się pojawił. Dźwięk w telefonie poinformował mnie o nowym mailu.

– Przyniosłem wino – powiedział Tomek, popychając drzwi łokciem. – Tadzik zna się na białym.

Racja, znał się, w przeciwieństwie do mnie. Ja zawsze kupowałam jeden rodzaj białego wina, które Tomek nazywał „mszalnym”.

– To co tam masz?

Poczekaliśmy, aż Tomek usadowi się wygodnie i postawi wino w bezpiecznym miejscu. Włączyłam nagranie. Kiedy ponownie usłyszałam głos babki, ścisnęło mi się gardło. Nie myślałam już o szczegółach tej historii, ale o jej głosie, gestach i oczach, bładniebieskich, które dawniej, w młodości, musiały mieć dużo intensywniejszą, błękitną barwę. Przełknęłam łzy na myśl o tym, że nie kupiłam jej tej zielonej sukienki z białym kołnierzykiem. Że nie wysłuchałam jej prośby. Być może w ogóle nie słuchałam jej zbyt uważnie. Jutro pogrzeb. Babka zabrała tajemnicę mojego dziadka ze sobą i nic na to nie poradziłam, ale sprawa sukienki mogła być jeszcze do uratowania. Sięgnęłam po telefon i wpisałam do wyszukiwarki hasło. Przeglądałam zdjęcia różnych zielonych sukienek w stylu retro, a Tomek po raz trzeci od nowa oglądał nagranie. Wreszcie znalazłam coś, co trochę przypominało szkice mojej babki. I miało nawet biały kołnierzyk.

– Słuchaj... – zaczął Tomek, ale szarpnęłam go za rękaw.

– Powiesz mi po drodze. Za godzinę zamykają sklep.

– Piłem wino. Ty też piłaś, nie możesz prowadzić.

– To blisko, Pasaż Grunwaldzki. Pójdziemy piechotą.

Jęknął i wstał, a później powlókł się do przedpokoju. Na klatce schodowej owinał się szalikiem i łypnął na mnie niechętnie.

– Obyś wiedziała, co masz kupić, bo nie chce mi się długo łązić. Tam zostało bardzo dobre wino.

– Wiem. O, proszę. Sam zobacz.

Tomek udał entuzjazm na widok zielonej sukienki, a później lekko zbladł, kiedy powiedziałam, że chcę ją babce włożyć do trumny.

– Zdziwiłbym się, gdybyś chciała sobie po prostu kupić coś na imprezę – powiedział i jeszcze głębiej wcisnął nos w szalik.

Ponownie zerknęłam w telefon. Na wyświetlaczu wciąż świeciło się powiadomienie o nieodebranym mailu. Przystanąłam na schodach i kliknęłam w skrzynkę z wiadomościami.

– Co znowu, Kami? To ty chciałaś iść.

Nie odpowiedziałam, tylko nadal wpatrywałam się w listę nieodebranych wiadomości. Były wśród nich maile od klientów, pytania o projekty pomników, od księgowej i... jeden od babci. Wysłała mi wiadomość. Z zaświatów. Mogła oczywiście napisać tę wiadomość wcześniej i poprosić kogoś, by ją wysłał po jej śmierci, albo też ustawiła wysłanie właśnie na dziś. Była jasnowidzem i wiedziała, kiedy odbędzie się jej pogrzeb. Albo ktoś się włamał na jej konto. Tak czy inaczej poczułam się nieswojo.

– Jeśli chodzi o nagranie twojej babci – mówił Tomek – to mam wrażenie, że z czymś mi się to kojarzy. Nigdy nie słyszałem tej historii, ale scena, którą twoja babcia opisuje, jest w pewnym sensie znajoma i... Kami? Co z tobą?

Podeszłam do niego i podsunęłam mu telefon. Nadawcą wiadomości była moja babcia, ale sama wiadomość nie miała treści. Tylko załącznik. Otworzyłam go. Tym razem nie nagranie, lecz tekst. Tomek przysunął się do mnie i zaczęliśmy czytać.

Myszę, że to po nim umiałaś tak grać. Nie, nie był muzykiem, ale po nim umiałaś poruszać palcami, może po nim miałaś tę sprawność. Chyba że po mnie, ale ja nigdy nie używałam dłoni, zawsze tylko uszu. A talent musi się jakoś przejawić, musi się przejawić w działaniu. Nigdy nie słyszałam, by na czymkolwiek grał, by śpiewał – nie wydawał z siebie prawie żadnych dźwięków. Ale coś drgało nieustannie w jego ciele, mięśniach. I poruszał palcami, przez cały czas poruszał palcami, jak gdyby chciał coś uchwycić. Dlatego majsterkował, naprawiał, psuł, a później znowu naprawiał.

A tamten? Tamten drugi? Nieustannie obecny, zawsze gdzieś obok. On...

Nie od razu to widziałam. Scenę, w której F. gra na pianinie, pięknie gra, tak, że aż wszystko wokół zastyga, krajobraz za oknem, kwiat w donicy i zegar z wahadłem. To dziwna melodia, szalona. F. stuka w klawisze, aż na czoło występują mu krople potu. Męczy się, ale nadal gra. Trochę płacze nad klawiszami, bo wie, że już dłużej nie będzie mógł grać, wkrótce wszystko się skończy, zmienia się dekoracje, kolor dywanu – teraz czerwony – ścian i jego ubrania. Ma na sobie niebieską koszulę. Przy oknie stoi kwiat w dużej donicy, którego liście od czasu do czasu nieznacznie się poruszają. F. wygrywa złe rzeczy o innych ludziach. W ogóle źle im życzy, nie wszystkim, ale konkretnej grupie. Wcześniej się z nich śmiał, potem źle życzył, ale stopniowo zaczyna się bać, nie tych ludzi, lecz samego siebie, swoich myśli, pragnień i słów. I może muzyki. Może obrazów pod powiekami i palcami. F. gra i płacze, a jego dłonie sztywnieją, już za chwilę będą gdzie indziej i będą trzymać coś innego. Będą brudne. Uszy już nie będą słuchać muzyki. Dźwięki się zmieniają. Staną się niskie i groźne – odtąd każdy dźwięk będzie groźny.

F. przebiega palcami po klawiaturze i nie zna jeszcze dziewczyny o czarnych włosach. Dziewczyna ma haczykowany nos i brud za paznokciami. Jest ładna, ale typ jej urody nie podoba się F. Ona też umie grać. Widzi to, kiedy dziewczyna przebiega palcami po pokruszonych ceglach ustawionych w rzędki, do, re, mi, fa... Dziewczyna płacze i zadaje dużo pytań, mówi w języku, który F. dobrze zna. Ładnie dobiera słowa. F. chce jej powiedzieć o tamtym pokoju, w którym on też kiedyś grał, o czerwonym dywanie, dużym oknie, zegarze z wahadłem i kwiecie w doniczce. Widzi ten obraz wyraźnie przed oczami, a wtedy dziewczyna nagle się uśmiecha i mówi, że wie, zna to, również widziała.

Mówi też, że kiedy człowiek w błękitnej koszuli gra, do pokoju wlatuje nietoperz. Kołuje nad głową pianisty, piszczy, wprawia powietrze w drganie i jakby tańczy do tej muzyki, do szalonej muzyki, która już za chwilę musi umilknąć. Nietoperz rośnie, jak gdyby sycił się dźwiękami. Pianista trochę się boi, ale dalej gra, nie może przestać grać.

Jest jasno, skąd więc nietoperz?

F. myśli, że to zwiastun nadchodzącej ciemności. Może śmierci. Albo zagubienia w mroku.

Dziewczyna wciąż na niego patrzy. Znam to, mówi. Znam melodię, obraz, pianino i nietoperza. Już to widziałam. Dziewczyna chce mówić dalej, ale coś się porusza, ktoś się pojawia, jest hałas i wszystko się kończy, kończy się, zanim F. zdąży zareagować. Nie reaguje i nic nie mówi, po prostu idzie dalej, jest zimno, jest gorąco, jest twarz dziewczyny i jej brudne paznokcie, jest czerwony dywan, pianino i nietoperz. Są różne inne nietoperze, jest to wszystko, co żyje w mroku i karmi się ciemnością. On jest nietoperzem. Jest trochę

nietoperzem. Kołuje nad klawiszami, nad cichymi, niemymi cegłami udającymi pianino, nad dziewczyną, która mówi: „znam to”, „widziałam”. Wiedziała. Czekałam na ciebie, właśnie na ciebie, zawsze chciałam cię poznać. Ale ty jesteś inny, jesteś nie taki, jak myślałam. Można być wielkim i małym jednocześnie. Można być bohaterem i tchórzem. To zależy, kto na ciebie patrzy.

Odsunęłam się od Tomka i wrzuciłam telefon do torebki.

– Ona sobie ze mnie żartuje – powiedziałam. – Dlaczego mi to robi? Dlaczego teraz, kiedy nie mogę po prostu spojrzeć jej w oczy?

Tomek w zamyśleniu skubał szalik.

– Ona mówi o czymś konkretnym. To mi się z czymś kojarzy. Ten tekst i tamto nagranie. Jakbym już to gdzieś widział.

– Nietoperza?

– Nietoperza i pianino. Ale... o co jej chodziło z tym graniem? Miałem wrażenie, że ona się zwraca do ciebie.

Wyszliśmy z budynku i ruszyliśmy w stronę Pasażu Grunwaldzkiego. Jeśli chciałam kupić tę sukienkę, musiałam się pospieszyć.

– Kami? O co jej chodziło z graniem? „Po nim umiałaś tak grać”.

Milczałam.

– Tak tam było napisane, prawda?

Szłam dalej, ale po chwili kiwnęłam głową. Bardzo, bardzo nie chciałam o tym mówić, czułam jednak, że nie mam wyjścia.

– Kiedyś grałam na pianinie... – zaczęłam.

ROZDZIAŁ 6

Kolejne słowa przychodziły mi z wielkim trudem. Tomek patrzył pod nogi, by mnie nie peszyć, ale czułam, jak coraz bardziej zwalnia kroku, aż w końcu wlekliśmy się w ślimaczym tempie, a ja przestałam zerkać na zegarek i sprawdzać godzinę. Czterdzieści minut do zamknięcia sklepu, trzydzieści... Naprawdę chciałam kupić zieloną sukienkę z białym kołnierzykiem, ale w tej chwili nie wiedziałam już, co jest ważniejsze. Może faktycznie muzyka. Może moja własna historia. Faulkner napisał w jednej ze swoich książek, że przeszłość nigdy nie umiera i właściwie nie jest nawet przeszłością. Od wielu lat zajmowałam się projektowaniem nagrobków, codziennie dotykałam tematu śmierci i miałam te słowa wyryte po wewnętrznej stronie powiek. To prawda, przeszłość nie umiera i nie jest nawet przeszłością. Wiedziałam to jako artystka i jako genealog, nieustannie widywałam ludzi, którzy przeżywali życie swoich przodków, trawili ich porażki, cieszyli się z sukcesów, dziedziczyli traumy. To ostatnie uważałam za bardzo ważne i jednocześnie przez lata powszechnie niedoceniane zjawisko. Nie mówiło się o traumach, nie umiało się ich nazwać i opisać, nie szukało się przyczyn własnego nieszczęścia w rzeczach, które wydarzyły się dawno temu i dotyczyły naszych bliskich. Nie zwracaliśmy uwagi na to, co dostaliśmy w genach, na historię zakodowaną w naszych mięśniach, kościach i krwi. Każdy niósł jakiś bagaż, powiełał błędy, grzązł w schematach, wkręcał się w spiralę powtarzalności zdarzeń. Pomyłki babki przechodzące na córkę i wnuczkę, lęki dziadka przekazywane synowi i wnukowi, poczucie bezpieczeństwa lub jego brak, pewność siebie lub brak wiary we własne możliwości, przekonanie, że na coś nie starczy czasu, umiejętność odczuwania szczęścia lub instynktowne, podświadome wybieranie smutku. Bezsenność. Senność. Lęk przed zamkniętą przestrzenią lub zimnem, przed igłami i hałasem, przed ciemnością, przed wodą. To wszystko zarejestrowane w naszych komórkach. I własne doświadczenia zbudowane na tej kanwie. Przeszłość, która nie jest wcale przeszłością.

Tomek zatrzymał się wreszcie i złapał mnie za rękę, ale delikatnie ją cofnęłam. Widziałam, że nieco się spłoszył i znowu zaczął skubać szalik.

– Jeśli wolisz nie mówić... – zaczął.

– Tak naprawdę chcesz powiedzieć – weszłam mu w słowo – że właśnie powinnam mówić, bo narracja wszystko pomaga uporządkować i każdy potrzebuje wypowiedzenia na głos własnej historii. I to dlatego między innymi ludzie szukają korzeni i tworzą drzewa genealogiczne. By zbudować opowieść.

– Ty też tak uważasz.

– Oczywiście. Ale już ją mam. Mam tę opowieść.

Spisałam ją dawno temu, każde słowo, którego teraz nie potrafiłam wypowiedzieć. Miałam przecież to postanowienie, by starać się o rzeczy dobre w swoim życiu, bo czasu jest mniej, niż się wydaje. Jesteśmy na tym świecie tylko przez chwilę. Pewnego dnia więc kupiłam zeszyt i długopis, specjalnie na tę okoliczność. Zamknęłam się w pokoju i pisałam, a później wywiozłam zapiski do grudniowego domu, weszłam na strych i wetknęłam je do starego kufra babki. Właściwie był to kufer mieszkających tam wcześniej Niemców, ale zdążył już przejąć nowe funkcje, wchłonąć kolejne przedmioty i ich historię. Babka przechowywała tam swoje nieliczne zdjęcia z przedwojennej Warszawy, jakieś migawki z Czerniakowa, o którym wiedziałam od niej tylko tyle, że można było po zmroku zarobić w zęby i że „chłopcy mieli swoje czapki”. Trzymała w kufrze również grzebień do włosów wykonany z drewna, solidny i piękny, którego zawsze jej zazdrościłam, i kilka innych drobiazgów. Na co dzień nie nosiła żadnych ozdób, nie dziwiłam się więc, że przebywają na wiecznym wygnaniu. Możliwe, że babka przeczytała moją opowieść. Nie zamknęłam jej na klucz. I nie była to przecież żadna tajemnica. O wszystkim i tak wiedziała, nie słyszała tylko nigdy, jak opowiadam tę historię na głos. Nikt nie słyszał, aż do tej pory.

– Być może teraz bylibyśmy kimś w rodzaju Brooklyn Duo – rzuciłam.

– Brooklyn Duo?

Tomasz uniósł brwi. Oczywiście znał Brooklyn Duo – Marnie i Patricka Lairdów, małżeństwo muzyków, którzy założyli bardzo w tej chwili popularny na YouTube kanał z własnymi interpretacjami klasyki i wielkich popowych hitów, wykonywanymi w duecie na fortepianie i wiolonczeli. Słuchałam ich często, więc Tomkowi siłą rzeczy również się zdarzało. Nie miał jednak pojęcia, że poza zwykłym uwielbieniem dla muzyki kryło się w tym coś jeszcze.

– Tak. Ja byłabym Marnie. A on...

Mój przyjaciel już nie unosił brwi, teraz usiłował zrobić coś z rękami, które miał ochotę położyć mi na ramionach, ale nie wiedział, czy wypada i czy tego chce. Wetknął je więc do kieszeni i próbował nie okazywać

irytacji.

– Adam byłby Patrickiem. Ale nie jesteśmy nimi. Nie jesteśmy nawet sobą, to znaczy tymi ludźmi, którymi mogliśmy się stać.

– Czyli teraz nie jesteś sobą?

– Jestem. Ale nie masz czasem wrażenia, że w którymś momencie swojego życia skręciłeś w takim, a nie innym kierunku i od tego zależała później cała reszta? I że gdybyś skręcił w kierunku przeciwnym, twoje życie wyglądałoby inaczej? Nie mówię, że lepiej, ale po prostu inaczej? Że ten drugi kierunek to twój alternatywny życiorys, który nigdy się nigdzie nie zapisał?

– Tak. Mam czasem takie wrażenie.

Poruszaliśmy się po kilka kroków do przodu, powoli mijaliśmy kamienice i mimo ślimaczego tempa zbliżaliśmy się nieubłaganie do rozświetlonego Pasażu Grunwaldzkiego. Wiedziałam, że powinnam mówić, że muszę. Być może to właśnie ta chwila.

– Kiedyś grałam na pianinie – powiedziałam znowu.

Na przykład Vivaldiego, *Lato*. Ja jedna, na klawiszach. Mówili, że mam palce z gumy. I słuch. Słyszałam dźwięki, te czyste i te skażone, wiedziałam, kiedy robię błąd, i umiałam go naprawić. Ćwiczyłam godzinami, moja matka mówiła, że do upadłego, ale ja w zasadzie nigdy nie czułam się zmęczona. Nie kiedy grałam. Dopiero po odejściu od instrumentu padałam na łóżko i zasypiałam, a później budziłam się w nocy, o drugiej, trzeciej, szłam umyć zęby i wtedy odrabiałam lekcje. Jeśli szło mi szybko, kładłam się jeszcze na trochę, jeśli wolno, pakowałam się do szkoły, robiłam sobie owsiankę, parzyłam mocną kawę i jakoś przelykałam to zmęczenie. Ojciec powtarzał, że umiem je rozchodzić. O szóstej rano jestem jak wrak człowieka, ale wystarczy kilka kroków, słów, łyków kawy, kilka minut myślenia o muzyce i już „mam rozchodzone”. Lekcje, sprawdziany, kartkówki, odpytywanie – przez to wszystko przetaczałam się siłą rozpędu. Ważny był moment, by znowu usiąść i grać. Po szkole i po obiedzie. By sięgnąć po nuty. Dopiero późną nocą to, co zadane, co wydawało mi się wówczas nieistotne. Nudne równania, nudne lektury, schematyczna analiza wiersza, ściana komórkowa, reakcje chemiczne, szerokość i długość geograficzna, przyczyny i skutki wojen – niemal zawsze takie same, bo ludzie nie uczą się na błędach. A później ulubione rzeczy, właśnie Vivaldi, koniecznie Chopin – wiadomo, Rimski-Korsakow, kilka utworów Beethovena, choć nie wszystkie, Rachmaninow. Na koniec jazzowe standardy, Kern, Miller, Joplin. Dla odpoczynku przeróbki muzyki rozrywkowej, moje własne interpretacje, jak to mówiła matka – „zawsze jakieś dziwne”. Lubiłam kluczyć, kombinować, szukać innych rozwiązań. Niby wiedziałam, że jestem dobra, ale jednocześnie nigdy nie miałam pewności. Sądziłam, że raczej nie dobra, tylko „zawsze jakaś dziwna”.

Adam był wiolonczelistą. Wiecznie łąził z pudłem na plecach. Już w podstawówce był wysoki, więc na korytarzach zawsze się rzucał w oczy, czarne włosy na jego głowie, rzadko kiedy uczesane, i wielki instrument. Miałam trochę łatwiej, w końcu nie musiałam nosić ze sobą pianina. Nazywał mnie „Kamzi”. Nie wiem, skąd to wytrzasnął, nigdy mi nie powiedział. Ale zawsze tylko „Kamzi” i „Kamzi”, więc zaczęłam reagować. Pewnego dnia zaproponował, żebyśmy zagrali razem *Kanon D-dur* Pachelbela, i wyszło nam to na tyle dobrze, że odtąd często razem graliśmy. Ćwiczyliśmy także razem, co udawało się głównie dlatego, że Adam rozumiał moją żelazną dyscyplinę i również prawie nigdy się nie męczył. Nawet się trochę ścigaliśmy, kto pierwszy padnie. To nie było mądre, raz naprawdę przesadziliśmy i rano nie mogłam wstać z łóżka. Bolały mnie wszystkie mięśnie, kości, opuszki palców. Adam miał usztywniony bark, ale śmiał się, że warto było. Lubiliśmy grać we dwoje. W pewnym momencie nie umieliśmy już grać osobno. Nawet jeśli ćwiczyliśmy solo, drugie się przysłuchiwało. Słuchanie też jest treningiem. Wytykaliśmy sobie błędy, z niemałą satysfakcją, bo zarówno on, jak i ja nie robiliśmy tych błędów zbyt często, a jeśli już się nam zdarzało, sami o nich wiedzieliśmy, błędy były czymś, co nie pozwalało spać po nocach i kazało szukać rozwiązań. Za każdym razem, kiedy moje palce się potykały, myślałam, że nie jestem dość dobra. Gryzłam policzek od wewnątrz i z żółdkiem skurczonym ze strachu zastanawiałam się, jak zniosę porażkę, jak zniosę krytykę i słowa o przeciętności. Śniło mi się czasem, że ktoś mi mówi: „Jesteś przeciętnym muzykiem”. Wolałam chyba nie być muzykiem w ogóle niż być przeciętnym.

Dzieciaki, które od najmłodszych lat zasuwały na lekcje muzyki i ćwiczą grę na instrumencie, zawsze są trochę inne od reszty, mniej czasu spędzają w piaskownicach, na huśtawkach i drabinkach, raczej odpuszczają sobie wszelkie ścianki wspinaczkowe – szkoda rąk – i nie mają kiedy popijać wina w parkach. Bo trzeba grać. Zbliżyliśmy się do siebie z Adamem i było to tak oczywiste, że nikt się nie dziwił nawet przez

chwile. Najpierw tylko muzyka. Później próbowaliśmy nie zasypiać po ćwiczeniu i odrabialiśmy razem lekcje. Jeszcze później on zostawał czasem na kolacji i godzinę – lub dwie – gadaliśmy przy windzie, która kilkakrotnie zdążyła już przyjechać i odjechać. Koniec podstawówki i wakacje na jakimś obozie językowym. Próbowaliśmy nadgonić zaległości, które powstały oczywiście na skutek zawłaszczenia naszego życia przez muzykę. Poza językiem angielskim był też inny język – język ciała, repertuar dotyków i gestów. Wtedy po raz pierwszy spojrzeliśmy na siebie inaczej, śmieiej. Po raz pierwszy dotykaliśmy się i całowaliśmy. Zaczęło się bardzo prozaicznie, od splątania rąk na wycieczce w lesie. Tych rąk, które tak często już widywaliśmy, które obserwowaliśmy na klawiszach i ze smyczkiem, w zupełnie innej roli i kontekście. Wtedy, w lesie, czułam, jak jego kciuk zatacza kółka po wewnętrznej stronie mojej dłoni. Mrowiła od tego skóra i coś ścisnęło w podbrzuszu. Całe moje ciało było jakieś inne, reagowało tak, jak nie reagowało nigdy wcześniej. Później, jak to na letnich obozach, zrobiło się dyskotekę, puściło „wolne piosenki”, które zawsze służyły za łatwy pretekst do obściskiwaneek, i Adam błędził palcami po moich plecach, od szyi do bioder, pochylał się, by coś mi powiedzieć do ucha, a tak naprawdę po to, by lekko musnąć je ustami. Z wrażenia dławilo mnie w gardle. Ani ja, ani on nie mieliśmy w tych sprawach żadnych doświadczeń, ale nie czułam się niezdarna, kiedy w lesie nocą wsunęłam mu dłonie pod koszulkę. Zwędziliśmy koc z pokoju i nawet mi nie przeszkadzało całe to mnóstwo szyszek pod plecami. Bardzo uważał i pytał, czy mnie boli. Bolało, ale jednocześnie chciałam, by był jeszcze bliżej mnie, najbliżej, jak się da. Całował mnie później po twarzy i włosach, po wewnętrznej stronie dłoni i w każdą opuszkę palca.

Wróciliśmy tacy sami, a zarazem inni. Staliśmy się nierozłączni.

Później była średnia szkoła muzyczna, jeszcze więcej ćwiczeń, jeszcze więcej nauki, jeszcze więcej koncertów i wyjazdów. Jeszcze więcej szukania w tym wszystkim siebie. Nie wiedziałam, czego chcę od klawiszy i czego klawisze chcą ode mnie. Oglądałam konkursy chopinowskie i myślałam, że to chyba jednak nie to, że ja się w czymś takim nie odnajdę. Nie chciałam wyścigu, stresu, wiecznego porównywania własnych interpretacji do cudzych. Wolałam iść swoją drogą – ale właśnie, jaką? Może muzyka filmowa, myślałam. Sądziłam, że w tym byłabym dobra, umiałam myśleć i dźwiękiem, i obrazem. Ćwiczyłam więc dalej i szukałam inspiracji. Czegoś, co byłoby tylko moje.

Adam szukał również. Ćwiczyliśmy w duecie, komponowaliśmy, pisaliśmy nawet piosenki, on ciągle mi powtarzał, że taki Władysław Szpilman nie tylko pięknie grał Chopina, lecz także wymyślał ponadczasowe szlagiery, *Czerwony autobus*, *Tych lat nie odda nikt*, *W małym kinie*, *Nie ma szczęścia bez miłości*. Adam pisał dobre teksty, a mnie łatwo szło komponowanie prostych melodii na klawisze. To była zawsze dobra zabawa, odpoczynek od klasyki i ciężkiej pracy, w którą angażowaliśmy się każdego dnia, dążąc do perfekcji. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że coś może pójść nie tak. Że cały trud, który ponosimy, wszystkie poświęcenia i wyrzeczenia nie przekują się w sukces. W satysfakcję nawet. Że – po prostu – nic z tego nigdy nie będzie.

Zaczęło się od patrzenia na smyczek, jak gdyby Adam widział go po raz pierwszy w życiu. Później były błędy, drobne, ale takie, jakich już od dawna nie popełniał. Jeszcze później trudności z utrzymaniem instrumentu, kolejne błędy, poważniejsze, takie, których nie da się niczym usprawiedliwić. Chyba że czymś strasznym. Prawdopodobnie wiedział już w chwili, gdy zaczął się potykać i upuszczać przedmioty. Nie umiał tego nazwać, ale wiedział. Stał się milczący, nieprzyjemny, złośliwy. Opuszczał zajęcia. Nie grał. Nie przychodził do mnie i nie odbierał telefonów, aż do tego jednego konkretnego dnia, kiedy wreszcie się zjawił i o wszystkim mi powiedział. „To coś w mojej głowie. Nic się nie da zrobić”. Nie dotarło. Zaprzeczyłam. Coś przecież musiało być jeszcze do zrobienia, Adam miał siedemnaście lat, młody chłopak, druga klasa liceum, zdrowy... Wydawało mi się, że zdrowy. Myślałam o jego silnych ramionach obejmujących wiolonczelę, o rysujących się pod skórą mięśniach i żyłach. Myślałam o wszystkich nieprzespanych nocach i godzinach ćwiczeń. Miał na to siłę, zawsze miał na to siłę. Więc dlaczego teraz, nagle? Kręcił głową, irytował się, powtarzał wciąż i wciąż, że nic, nic zupełnie nie da się zrobić, przecież pytał, jego rodzice, ciotki i wujkowie, znajomi lekarze, bo w każdej rodzinie jest jakiś lekarz, słowem każdy, każdy, każdy sprawdzał i nie, nie da się, to w takim miejscu... żadna operacja... nawet za grube miliony w USA nie zagwarantuje...

Wyszedł, a ja płakałam przez dwa dni. Nic nie jadłam, nie poszłam do szkoły, nie grałam. To ostatnie poważnie martwiło moich rodziców. Jak mogłam nagle nie grać, skoro grałam od lat i nie opuściłam ani jednego dnia? Nie mogłam opuścić, bo granie było jak oddychanie, woda i jedzenie – niezbędne. Tak mawiałam. A teraz, nagle? Właśnie, a teraz, nagle? Dlaczego wszystko zmieniło się i skończyło nagle? A może nagle nie dzieje się nic i to tylko my nigdy nie widzimy procesu, nie zauważamy kontekstu?

Ponownie zjawił się u mnie po dwóch tygodniach. Czy możemy nadal, pytał. Czy mogę z nim, czy już nie chcę, bo się boję. Nie umiałam przywyknąć do nowego sposobu, w jaki dobierał słowa, ale tylko kiwnęłam głową, tak, oczywiście, chcę, jak mogłabym go teraz zostawić.

Słuchał, jak ćwiczę. Nie grał już ze mną, ale próbowaliśmy jeszcze uczyć się razem, powtarzać angielskie i niemieckie słówka, czytałam na głos szkolne lektury, a potem jakieś inne, znacznie ciekawsze książki. Amosa Oza, Alice Munro, Olgę Tokarczuk. „Jak ja nic z tego nie rozumiem – mówił Adam – jak nic zupełnie nie rozumiem, ale jakie to piękne”. Chciał, żebym zabrała go jeszcze raz na wieś, do mojej babci, do grudniowego domu. Staralam się nie myśleć o tym „jeszcze raz”, wolałam wierzyć, że to po prostu kolejny raz, jeden z wielu. Zgodziłam się i pojechaliśmy, sami, pociągami i autobusem, mimo protestów jego i moich rodziców. „Jeszcze nie umarłem – wściekał się. – Dajcie mi żyć, dajcie mi normalnie żyć, póki można...” Bałam się, ale powiedziałam, że wszystkim się zajmę. Od dłuższego już czasu i tak żyłam w permanentnym przerażeniu, wiecznie ze ściśniętym żołądkiem i lodowatymi dłońmi. Myślałam o tym, że muszę tylko jakoś przetrwać tę podróż, bo później, w grudniowym domu, będzie moja babcia. A ona nie da mi martwić się w pojedynkę, wszystkim się zajmie, zrobi to, co robiła zawsze – sprawi, że poczuję się bezpiecznie.

Tamtego dnia, kiedy to się stało, było zimno. Styczeń, osiem na minuse. W małym salonie babki stał mój duży keyboard, musiał mi wystarczyć do ćwiczeń, pianina nie było. Coś tam sobie brzdąkałam, a ona jak zwykle patrzyła w okno, może na ośnieżone drzewa, a może na tego swojego upiora z okrągłymi oczami i ustami. W grudniowym domu, zwłaszcza zimą, muzyka dziwnie rezonowała, dźwięki wydawały się bardziej matowe i lekko wytłumione, sennie, baśniowe. Lubiłam tu grać. Było jak na wieczorkach muzycznych w starych domach ze starych powieści, wszyscy zebrani przy kominku, w lekkiej złotawej poświacie, a całe zło świata zostawione na zewnątrz, cienie pochowane w kątach, żadnego niebezpieczeństwa, żadnego smutku. Babka usiłowała podnieść nas na duchu. Poczekała, aż skończę grać, po czym zagoniła mnie i Adama do kuchni na śniadanie. Gorąca owsianka, świeże bułki z masłem i dżemem, kawa. Głupio mi było, że mam tak wielki apetyt, że żarłocznie pochłaniam jedzenie, kiedy on jest w stanie przełknąć tylko kilka kęsów.

Wyszliśmy do lasu zaraz po śniadaniu, kiedy pomogłam babci pozmywać naczynia. To on mnie na to namówił. Wiedział, gdzie jest małe ukryte wśród drzew jezioro, które przy takich temperaturach zawsze zamarzało. Wzięliśmy łyżwy. Uznaliśmy, że pojeździmy przez chwilę, a później wrócimy do domu i ja jeszcze trochę poćwiczę. Oboje jeździliśmy na łyżwach kiepsko. Nie mieliśmy kiedy trenować, zawsze ważniejsza była przecież muzyka.

Wypadek wydawał się bardzo banalny. O podobnych pisano i mówiono niezliczoną ilość razy. Niejednokrotnie słyszałam ostrzeżenia przed kruchym lodem. Wydawało mi się, że to leśne jezioro jest płytkie, babka mówiła o nim zawsze „kałuża”. Nikt tu nie przychodził, ani latem, ani zimą. Ojciec opowiadał kiedyś, że po drugiej stronie wsi było inne jezioro, a właściwie staw, teraz zasypany. Zimą, przy minusowych temperaturach, wszyscy chodzili ślizgać się lub jeździć na łyżwach właśnie tam, nigdy tu. Babka gotowała później ojcu i jego kolegom kawę zbożową w wielkim garnku, do której zawsze były bułeczki drożdżowe z masłem. Opowiadałam o tym Adamowi, kiedy wchodziliśmy na lód. Pytał, dlaczego to nie było to jezioro, takie urokliwe, ładne, tylko jakiś staw. Nie umiałam odpowiedzieć. Wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że o jezioro zwanym „kałużą” zawsze wspominało się tylko półgębkiem i jakby od niechcienia. I naprawdę – nigdy nikogo nad nim nie widziałam.

Mówiłam, by nie odjeżdżał daleko. Mieliśmy trzymać się brzegu. Sznurowałam łyżwy i udawałam, że jestem zadowolona, że to w ogóle nie jest głupi pomysł iść na łyżwy, nawet jeśli oboje nie umiemy jeździć. Sznurowałam i zerkałam na lód, sznurowałam i powtarzałam, by nie odjeżdżał, by trzymał się brzegu, trzymał się cholernego brzegu, bo przy brzegu na pewno jest płytko, więc gdyby... Adam śmiał się, że będzie kręcił piruety w rytmie fugi Bacha, zaczął nucić i się wygłupiać, podskakiwać, przewracał się i podnosił, coraz bardziej rozbawiony. I odjeżdżał, coraz dalej. A ja wołałam. Sznurowałam. Palce miałam dziwnie sztywne, jak gdyby to wcale nie były moje palce. Zaschło mi w gardle. Wreszcie weszłam na lód, niepewnie i sztywno. „Hej, Kamzi, chodź tutaj!”, wołał. Stukałam się w czoło i próbowałam uśmiechać, ale byłam przerażona, coraz bardziej przerażona. „Hej, Adaś – zawołałam, próbując panować nad głosem – tylko się nie połam”. Pomachał do mnie i krzyknął, że już wraca. I żebym została tam, gdzie jestem. I skoczył. Raz, drugi, trzeci, mocno ciął lód łyżwami, a ja zaczęłam się drzeć. Stałam jak sparaliżowana, choć przecież powinnam do niego jechać, zabrać go, powstrzymać. Ale stałam. Wrzeszczałam. A on na mnie spojrział, całkiem spokojnie, z uśmiechem.

Nie słyszałam trzasku. Na filmach lód zawsze trzaska i człowiek po prostu wie, ale ja naprawdę nie

słyszałam. To stało się nagle. Adam stracił grunt pod nogami i w jednej chwili zniknął pod lodem. Mózg zawsze rozrzedza takie wydarzenia, a później próbuje poskładać je w opowieść. Ta opowieść jest, nawet jeśli człowiek milczy. Ja także próbowałam to poskładać. Czy nadal krzyczałam? A może pobiegłam, potykając się na łyżwach? Pamiętałam i dotąd pamiętam tylko skrawki, które próbuję posklejać słowami. Na przykład swoją rękę aż po ramię w wodzie. Zimno i ból. Krzyk i ciszę. Kolejne fragmenty pękającego lodu. Moką kurtkę. Kogoś, kto mnie szarpał, ciągnął po lodzie, klepał po twarzy. Jakiś koc. Coś gorącego do picia, poparzony język. Skądś wzięła się babka. Dwóch mężczyzn ze wsi. Liny, samochód, drabina... jakieś rzeczy, których dokładnie nie pamiętam. Zamieszanie. Płacz. Zamarznięte łyzy na policzkach. Później odmrożenia, popękana skóra na twarzy i ustach, złamana ręka. Jednak złamana, i to dziwnie, nad łokciem. Nie miałam pojęcia, jak to się stało. Gips. Ból. Dużo kroplówek, a później brak kroplówek, odmowę, żądanie bólu, coraz większego bólu. Chciałam wszystko czuć.

Był pogrzeb. Rodzice Adama. Wycieczka do Wiednia i muzeum, w którym widziałam mumie i w którym po raz pierwszy dowiedziałam się o wadze, sercu, Piórze Prawdy i Polu Trzcin. Tamto postanowienie, by dobrze przeżyć życie. Bo czasu jest mniej, niż myślimy. Patrzyłam na tabliczkę z imieniem i nazwiskiem Adama. Dwie daty. Narodziny. Śmierć. Pomiędzy nimi opowieść.

Narysowałam projekt nagrobka. Z płaskorzeźbą w kształcie pięciolinii, z nutami i kluczem. Fragment naszej wspólnej kompozycji. Nie, nigdy nikomu nie pokazałam tego projektu, Adam ma teraz zupełnie inny nagrobek, prosty, bezosobowy, taki, który mógłby należeć do kogokolwiek.

Mogliśmy tam nie iść. Po prostu mogliśmy tam nie iść. To ta druga droga. Inny skręt. Alternatywna historia mojego życia. Wiem, że on odszedłby i tak, a jednak mielibyśmy trochę więcej czasu. Tego czasu, którego ja potrzebowałam o wiele bardziej niż on. Bo wtedy nie byłam gotowa. Zupełnie nie.

Nigdy już później nic nie zagrałam.

– Ukarłaś się – powiedział nagle Tomek, a ja uświadomiłam sobie, że ta historia naprawdę została opowiedziana, głośno, nie tylko mnie samej, ale także jemu. – Ukarłaś się, nie grając. A to przecież nie była twoja wina.

Naciągnęłam czapkę na uszy i spojrzałam na świątecznie udekorowany Pasaż Grunwaldzki. Został kwadrans, by kupić zieloną sukienkę dla babki.

Nagle zrobiło mi się głupio, że zdradziłam mu te wszystkie intymne szczegóły. Ruszyłam powoli przed siebie.

– Teraz będziesz milczeć?

Zerknęłam na Tomka. Patrzył na mnie dziwnie, z jednej strony poruszony opowieścią, z drugiej zakłopotany, bo nie wiedział, jak na nią zareagować. Czy powinien mnie pocieszać, czy może próbować mówić o tym rzeczowym tonem? Rozmawialiśmy już ze sobą o różnych sprawach, widzieliśmy się w formie dobrej i złej, w chwilach obniżonego nastroju, rozciągniętej piżamy i niezdrowego jedzenia, w chwilach mówienia o bezsensie i wątpliwości. A jednak o Adamie nigdy mu nie powiedziałam. O Adamie i o muzyce. Widziałam, że naprawdę był urażony, choć oczywiście próbował to ukryć. W swojej szlachetności nie chciał, by ta rozmowa, ważna i przełomowa, stała się o nim. A przynajmniej nie teraz.

– Dlaczego wcześniej...

Urwał i znowu się zatrzymaliśmy. Dziesięć minut do zamknięcia sklepu z zieloną sukienką.

– Nie wiem – odparłam. – Nie umiałam o tym mówić. Nadal nie umiem. Każdy ma przynajmniej jedną taką rzecz, o której woli milczeć.

Pokiwał powoli głową.

– Myślisz, że twoja babcia chciała ci zasugerować, że talent muzyczny miałaś po dziadku?

– Nie mam pojęcia. Nigdy nie mówiła, by dziadek na czymś grał. Zresztą tutaj też o tym mówi. Na niczym nie grał, nie śpiewał, ale wiecznie poruszał palcami. A w jej opowieści pojawia się jeszcze „tamten drugi” i jakaś dziewczyna, dziewczyna z brudnymi paznokciami, która...

– Układa cegły, by imitowały pianino.

– Właśnie.

– Muszę się nad tym wszystkim zastanowić. A teraz chodźmy po tę kieckę, bo za chwilę będzie za późno.

Popchnął mnie delikatnie ku wejściu. Byłam ciekawa, czy on kiedykolwiek opowie mi o tym, o czym teraz wolał milczeć. Bo na pewno – jak wszyscy – miał coś takiego.

ROZDZIAŁ 7

Zieloną sukienkę z białym kołnierzykiem zapakowałam do płóciennej torby i zgodnie z planem włożyłam babci do trumny. Nikt mi się za bardzo nie dziwił, na pogrzeb nie przyszło zresztą zbyt wiele ludzi. Rodzina, trochę sąsiadów z wioski, jakaś osoba ze schroniska dla psów, któremu babka przekazywała datki, kilkoro moich znajomych, oczywiście ojciec i Tomek. Pojawiło się też parę osób, których nie znałam i których z pewnością nie zapraszałam na stypę. Przez chwilę zastanawiałam się nawet, czy powinnam była to zrobić i ile osób się na mnie obrazi. Za stypę, jak również za to, że chowamy babkę we Wrocławiu, a nie tam, gdzie mieszkała przez ponad siedemdziesiąt lat.

Było tradycyjnie. Msza w kaplicy, pochówek, obiad: rosół, ziemniaki, surówka, kotlet, potem kawa i ciastko. Tomek nie odstępował mnie na krok i co chwilę pytał, czy w czymś mnie wyręczyć, aż w końcu przypomniałam mu, że jestem w pełni zdrowa i sprawna i nie potrzebuję niańki.

– Kiedy już wszyscy się pożegnają, chciałabym jeszcze raz w spokoju pójść na grób – powiedziałam tylko, a on skinął głową.

Przeprowadziłam sporo uprzejmych rozmów z osobami, które widziałam po raz pierwszy od wielu lat, odpowiadałam na pytania, czasem się uśmiechałam i wspominałam babkę. Ojciec posłał mi nad stołem bezgłośnie „dziękuję”. Gdy już wreszcie było po wszystkim, wyprawiłam go do swojego mieszkania, a sama owinęłam się szczelnie płaszczem i wróciłam na cmentarz.

– Zaraz do ciebie dołączę, tylko oddzwonię do faceta od genealogii z Żyrardowa, bo się dobijał – powiedział Tomek i pomachał telefonem.

W sumie cieszyłam się nawet, że przez chwilę mogę być sama. Szłam powoli i patrzyłam na pojedyncze migające znicze. Gdzieniedzie groby udekorowano już świątecznymi gałązkami i stroikami. Pomyślałam, że ja również powinnam przynieść babce małą choinkę w doniczce. Lubiła święta. Obchodziła je zawsze dość dziwnie, ale lubiła.

Skreśliłam w alejkę i przy świeżo usypanej mogile zobaczyłam jakąś postać. Tego kogoś na pewno nie było na pogrzebie. Przystanąłam na chwilę. Mężczyzna. Raczej dość młody. Nie widziałam z daleka jego twarzy i nie byłam pewna, czy to ktoś ze wsi, kogo mogłam już kiedyś spotkać. Nagle mężczyzna odwrócił się w moim kierunku, spojrzał na mnie, po czym szybkim krokiem ruszył przed siebie i skreślił w sąsiednią alejkę. Uciekł. On właśnie przede mną uciekł.

Popędziłam za nim i dobiegłam do skrzyżowania. Spojrzałam w głąb alejki. Nikogo tam nie było. Rozejrzałam się.

– Hej! – krzyknęłam.

Jakaś starsza pani podniosła się z ławeczki i spiorunowała mnie wzrokiem.

– Tu cmentarz jest. Nie krzyczy się – powiedziała.

– Przepraszam – bąknęłam.

Gdzie on się podział? I kim był?

*

Chłopak – klient, który zlecił mi wykonanie nagrobka dla swojego pradziadka – przygotowywał pracę magisterską o rytuałach pogrzebowych w tradycji żydowskiej i rozwinął się właśnie na temat swoich twórczo-naukowych dylematów. Usiłowałam go słuchać, nie patrzeć na zegarek ani na minę Amelii nad laptopem i nie myśleć o cmentarzu, na którym dwa dni wcześniej pochowano moją babkę. A przede wszystkim próbowałam nie myśleć o dziwnym człowieku, który stał nad jej grobem. W innych okolicznościach uznałabym, że mógł być jednym z jej dalszych znajomych, który albo spóźnił się na pogrzeb, albo nie zamierzał na niego w ogóle przychodzić, by uniknąć tłumu i pożegnać się w samotności. No ale dalszy znajomy, dla którego moja babka nie była nikim ważnym, mógł przyjechać na cmentarz w innym dniu lub nie przyjeżdżać w ogóle. Zjawianie się przy grobie tuż po pogrzebie było podejrzane. A już zwłaszcza ucieczka. Dlaczego uciekał? Dlaczego przed ucieczką na chwilę, bardzo krótką chwilę, się zawahał? Jak gdyby jednak rozważał, czy na mnie nie zaczekać. Ale nie zaczekał i tym samym sprawił, że wciąż o nim myślałam, próbowałam sobie przypomnieć, jak wyglądał, czy kogokolwiek mi przypominał. Niestety, zapamiętałam tylko tyle, że był jeszcze dość młody. Nie potrafiłam odtworzyć jego rysów twarzy, bo stał za daleko, a ubrany

był tak, jak ubiera się co drugi mężczyzna w zimie. Puchowa ciemna kurtka, dżinsy, czapka. Gdyby teraz minął mnie na ulicy ubrany inaczej, na pewno bym go nie poznała.

Opowiedziałam oczywiście o wszystkim Tomkowi, a on uznał, że musimy się jeszcze pokręcić po tym cmentarzu. Dzień po pogrzebie oboje wzięliśmy wolne w pracy i snuliśmy się między mogiłami w pobliżu grobu babki. Tomek zadbał nawet o kanapki i kawę w termosie, ale po kilku godzinach i tak z zimna nie czułam rąk. „To na nic – powiedział w pewnym momencie. – Uciekał wczoraj przed tobą, więc na pewno zgadł, że będziesz tu dzisiaj czekać”. Byłam tego samego zdania, ale nawet gdyby Tomek nie zaproponował mi wtedy swojego towarzystwa na cmentarzu, poszłabym tak czy owak, by się upewnić w stu procentach, że nieznajomy nie wrócił. Dziś nie mogłam już sobie pozwolić na żadne eskapady. Ostatnie dni przed planowanym urlopem zamierzałam spędzić pracowicie i oddać do kamieniarzy przynajmniej cztery gotowe projekty. Co właśnie w tej chwili zupełnie mi się nie udawało.

– Proszę pani?

– Tak?

Ocknęłam się i naciągnęłam rękaw swetra na tarczę zegarka.

– Powiedziałem właśnie, że zgodnie z tradycją żydowską ciało po śmierci jest nadal święte. Pozostaje takie aż do dnia sądu ostatecznego. Kości zmarłego również są więc święte i nie wolno ich ruszać. Poruszenie kości, czy nawet ziemi, w której spoczywają, zakłóca spokój duszy. Zakłóca go nawet naprawianie zapadniętych nagrobków i usuwanie korzeni drzew wrosniętych w ziemię. To dlatego, że tradycja ta wyróżnia trzy postaci duszy. Neszama, nefesz i ruach. Neszama odchodzi do Boga w momencie śmierci, nefesz jest przywiązana do ciała na tygodniowy czas żałoby, a całkiem opuszcza je rok po śmierci. Ruach zaś...

– Zostaje na zawsze przy szczątkach – dokończyłam.

Uśmiechnął się. Był miły, ale nie rozumiałam, dlaczego uznał, że to właśnie ja powinnam go przepętać z materiału.

– Przepraszam, ale czy możemy wrócić do projektu? Powiedział pan, że pradziadek...

– Moja prababka była Żydówką – wyrzucił z siebie i spuścił wzrok. – Żona tego pradziadka, któremu teraz robimy nagrobek. Jest pochowana... Były pogromy i... Przepraszam, nie wiem, dlaczego pani o tym opowiada.

– Rozumiem. Nie musi pan przepraszać.

– Tak... W każdym razie mój ojciec nie pozwolił na ekshumację. My nie jesteśmy przywiązani do tradycji, ale ona by tego nie chciała.

– Moja babka nie była Żydówką, ale to właśnie od niej po raz pierwszy usłyszałam o trzech postaciach duszy. Nazwała je inaczej, była o tym cała opowieść. Trzy niewidzialne siostry przywiązane do człowieka. Po śmierci jedna odchodzi do Boga, druga zostaje na rok, trzecia nie odchodzi nigdy. Dopiero po latach zestawiałam tę opowieść z żydowską tradycją. Babka nigdy tego nie powiązała, nie powiedziała, skąd jej się wzięła ta historia.

Umilkłam i zaczęłam się bawić piórem. Nie miałam pojęcia, dlaczego to powiedziałam. Chłopak znowu się uśmiechnął.

– Fajnie, że do pani trafiłem – powiedział i zaczął się zbierać. – Myślę, że nagrobek pradziadka jest w dobrych rękach i niczego już nie trzeba omawiać. Udanego urlopu i wesołych świąt!

Ja również złożyłam mu życzenia.

Kiedy wyszedł, Amelia przewróciła oczami.

– Jakbyś ich nie zachęcała swoim „wielkim głębokim zrozumieniem dla wszelkich duchowych rozterek ludzkości”, toby tyle nie gadali – powiedziała.

*

Wyprawiłam ojca w podróż na Haiti – zmusiwszy go wcześniej do przepakowania bagażu – i domknęłam rozgrzebane sprawy w pracy. Dziwnie było myśleć o tym, że naprawdę jadę do grudniowego domu. Kiedy się pakowałam, próbowałam ponownie analizować nagranie i tekst babki. Myślałam też o jej opowieści o trzech postaciach duszy, o których nagle mi przypomniał tamten chłopak. Były sobie raz trzy siostry... jedna odeszła od razu, druga po roku, trzecia została. Miejsce tej trzeciej jest przy kościach, w ziemi, której nie wolno ruszać.

Upiór nad lasem.

Nietoperz i pianino.

Dziewczyna z brudnymi paznokciami.

Adam, łyżwy, lód, który nie trzeszczy.

Potrząsnęłam głową i sięgnęłam po schludnie ułożone koszulki. Nagle zrobiło mi się nieswojo. Będę tam sama. Zimą. Całkiem sama na odludziu pod lasem. W pobliżu miejsca, gdzie zginął Adam. Prawie w rocznicę jego śmierci. Nigdy nie obchodziłam takich rocznic. Nie jeździłam na grób, nie siedziałam na ławeczce i nie rozmawiałam z nim. Wiedziałam, że nie jest ze mnie zadowolony. Na pewno wściekał się, że przestałam grać.

Ponownie potrząsnęłam głową. Zadzwonił mój telefon i z ulgą odebrałam połączenie od Tomka.

– Spakowałaś się?

– Prawie.

– Idziemy na cmentarz?

– W tej chwili? Jest ciemno.

– Klimat będzie.

– Przecież ten facet i tak teraz tam nie przyjdzie. I pewnie już nigdy.

– Ja też tak myślę, ale nie chce mi się siedzieć w domu.

Pomarudziłam jeszcze trochę i wreszcie się zgodziłam. Dokończyłam pakowanie i ubrałam się w ciepłą kurtkę. Po namyśle wyjęłam z szafki dwie czerwone świąteczne świece. Skoro już tam jechałam, mogłam przywieźć babci jakiś bożonarodzeniowy element. Wiedziałam, że część naszych świątecznych tradycji również odeszła właśnie razem z nią. Na przykład słodki chlebek. Nigdy nic o nim oczywiście nie mówiła, po prostu mieszała składniki: mąkę, wodę, drożdże, olej, mleko i masło, piekła i stawiała na świątecznym stole gotowy chlebek, pachnący tak, że aż kręciło w nosie. Bardzo się zdziwiłam, gdy pewnego razu podczas wycieczki do Niemiec na dreźnieńskim świątecznym jarmarku spróbowałam wypieku o nazwie „Stollen”. To był chlebek mojej babki. Przywiozła ten przepis z Saksonii, choć nigdy nikomu o tym nie wspomniała. Poza tym babka częstowała nas w Wigilię ziemniaczaną zapiekanką, śledziami w cebulce, smażoną kapustą, racuchami z jabłkiem, ptasim mleczkem domowej roboty, czekoladowym musem, grzonym winem i ajerkoniakiem, a także piernikami w różowym lukrze. Robiła to, co sama lubiła jeść i pić. Być może ja także umiałabym coś z tych rzeczy przyrządzić. Na pewno zapiekankę, kapustę, racuchy i czekoladowy mus. Ptasie mleczo umiałam tylko kupić w sklepie.

Nagle zrozumiałam jedną rzecz, nad którą nie zastanawiałam się wcześniej nawet przez chwilę. Ojciec leciał na Haiti. Moja matka i jej nowy mąż od kilku lat spędzali świąteczny urlop na Teneryfie. Już tam zresztą byli, nie wróciliby tylko po to, by uczestniczyć w pogrzebie babki. Matce i babce nigdy nie było ze sobą szczególnie po drodze. To wszystko znaczyło więc tyle, że spędzę te święta samotnie. Nie tragedia. Wielu ludzi spędza święta samotnie.

Kiedy otwierałam Tomkowi drzwi, miałam już słowa na końcu języka.

– Czy masz jakieś plany na święta? – wyrzuciłam z siebie i poczułam się okropnie.

To słabość. Słabość charakteru. Powinnam wykorzystać ten czas na przemyślenie swojego życia, medytowanie, odnajdywanie wewnętrznej równowagi i inne takie rzeczy, które powinno się prawdopodobnie robić z dala od zgiełku.

Tomek wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– A jakie mogą mieć? Marta wyprowadziła się dwa miesiące temu. Do matki nie chce mi się jechać, zacnie mi prawie kazania, że jestem niedojrzały i niepoważny.

No tak, od Tomka ciągle się ktoś wyprowadzał.

– Gotowa na podbój cmentarza? Po drodze opowiem ci o nowym zleceniu na opracowanie drzewa, już dałem facetowi znać, że zajmiemy się tym dopiero po Nowym Roku, bo teraz nie ma czasu, ale sprawa może być interesująca, chodzi o to, by znaleźć prababkę...

Prawie zawsze chodzi o to, by odnaleźć jakąś prababkę, pomyślałam. Owinęłam szyję szalikiem i zamknęłam drzwi na klucz. Tomek opowiadał o nowym zleceniu, a ja poczułam nagłą ulgę, że jednak nie jestem na tym świecie całkiem sama.

Na cmentarzu tkwiliśmy przez dwie godziny i tym razem Tomek nie wziął ze sobą termosu i kanapek.

– A dzisiaj nie była twoja kolej? – zapytał i machnął ręką. – Chyba można się zwijać, już nie przyjdzie.

– W ogóle nigdy nie przyszedł, tylko ten jeden raz.

– A na pewno ci się nie wydawało?

Spojrzałam na niego spod kaptura.

– Okej. Nie wydawało ci się.

– Nie wiem, co mam o tym myśleć.

– A jeśli chciał coś ukraść? Nie patrz tak, to proste wyjaśnienie.

– Chciał coś ukraść z grobu? Co niby?

– Wieniec – odparł Tomek bez namysłu. – Wieniec to droga sprawa.

Zaczęłam się śmiać.

– Moim zdaniem to wcale nie jest zabawne. Facet potrzebował świeżego wieńca, a tu akurat było kilka, wszyscy poszli na stypę...

– Czyli był taką hieną cmentarną?

– Trochę. Tylko nie chciał ukraść zwłok. Jedyne wieniec. To nie aż taka straszna zbrodnia.

Kiedy wracaliśmy do samochodu, nadal się śmiałam. Nie wierzyłam za bardzo w planowaną kradzież wieńca, ale miałam nadzieję, że naprawdę istnieje jakieś proste rozwiązanie tej kwestii. Może zresztą to było w ogóle bez znaczenia. Co prawda jeszcze nikt nigdy nie uciekał przede mną na cmentarzu, ale nie musiała to być od razu jakaś grubsza afera.

– Czyli jutro jedziesz? – odezwał się Tomek.

Potwierdziłam. Zrobiło mi się dziwnie gorąco, ale ostatecznie nie miałam się czego obawiać, znałam ten dom, a Tomek niebawem do mnie dołączy.

– Te przesyłki od twojej babci – powiedział. – Nagranie i tekst. Kojarzą mi się chyba z jakimiś ilustracjami.

– One same są jak ilustracje.

– To prawda. Ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że istnieją do tego jakieś obrazy.

– I jeszcze nie wiesz jakie?

– Nie. Ale się dowiem.

ROZDZIAŁ 8

Czasem chodzi o zapach. Unosi się długo po tym, jak człowiek odchodzi, wchłania się w ściany i tkaniny, osiada na sprzętach i fotografiach w tanich ramkach. I o przedmioty, czasem chodzi też o przedmioty. Żyją dłużej niż ludzie, przypominają i opowiadają historie. W grudniowym domu było wiele takich. Choćby imbryk w grochy.

Kiedy przekręciłam klucz w zamku i weszłam do środka, po raz pierwszy poczułam się tu trochę jak intruz. Dom był pusty. Babka nie przyglądała mi się ukradkiem i nie śledziła moich ruchów. Wcześniej zawsze byłam tu jednocześnie swobodna i pod kontrolą. Instynktownie czułam, że są rzeczy, których nie należy dotykać, i miejsca, do których nie należy zaglądać. Pokój dziadka. Imbryk w grochy. Zostawiłam walizkę w korytarzu i ruszyłam do kuchni. Wszystko wyglądało tak, jak gdyby babcia wciąż tu była. Zajrzałam do kredensu. Stał tam. Dotknęłam go delikatnie i ostrożnie, jak gdybym robiła coś zakazanego. Uświadomiłam sobie, że faktycznie nie dotykałam go w ten sposób nigdy wcześniej, zawsze tylko patrzyłam. Rozejrzałam się i szybko zamknęłam kredens. Jak gdyby mogła wejść i zapytać, czy czegoś mi potrzeba.

Pokręciłam się po pokojach na parterze, po czym z powrotem narzuciłam kurtkę i wyszłam na zewnątrz. Prószył drobny śnieg, ale temperatura była na plusie, więc delikatne płatki od razu wchłaniała ziemia. Okrążyłam budynek i zajrzałam do pomieszczeń gospodarczych. Babka w ostatnich latach nie prowadziła już na szeroką skalę swojego interesu i żyła z oszczędności oraz pojedynczych zleceń, ale do ubiegłej jesieni wciąż trzymała własną krowę i dla siebie samej – a właściwie dla mojego ojca i dla mnie – nadal wytwarzała sery, masło i kefiry. Teraz obora i warsztat były puste. Wiedziałam, że sprzedażą zwierzęcia i sprzętów zajęła się już w zeszłym roku pani Wiolka, która stała na straży finansów babki. Wiedziałam też, że jeśli zajrzę do komórki na tyłach domu, zobaczę półki zastawione słoikami. Babcia na pewno zostawiła po sobie mnóstwo przetworów. Pomyślałam, że dżem truskawkowy na kolację dobrze mi zrobi.

Z wielkim słojem pod pachą wróciłam do kuchni. Herbata. Serce biło mi szybko, kiedy wyciągałam z kredensu imbryk, a później nalewałam do niego wrzątku. Ku mojemu rozczarowaniu niczego w nim nie znalazłam, żadnego listu, żadnej kolejnej tajemniczej opowieści. Czułam się jak dziecko rozrabiające pod nieobecność rodziców. Rozpakowałam walizkę, urządziłam się w tym samym pokoju co zawsze, a później posmarowałam bułkę dżemem, zabrałam talerz, kubek i imbryk do małego salonu i rozsiadłam się w fotelu. Chciała, żebym tu przyjechała. Babka życzyła sobie, bym znalazła się w jej domu, czy raczej – w domu. Moim domu. Wciąż nie umiałam tak o nim myśleć.

Odgryzłam kęs bułki i przymknęłam oczy. Za chwilę. Zajmę się tym wszystkim za chwilę.

*

Po kolacji dokładnie umyłam naczynia i puściłam oko w przestrzeń, jak gdybym chciała powiedzieć jej, że wszystko jest pod kontrolą i znam zasady. Chciałam zapytać ją o różne rzeczy, na przykład o to, czy podobała jej się zielona sukienka, którą dla niej kupiłam. Była co prawda z sieciówki, ale moim zdaniem trzymała poziom.

Zerknęłam w lustro i zobaczyłam za plecami jakiś ruch. Zanim zdążyłam umrzeć ze strachu, dotarło do mnie, że to gałąź za oknem. Przycisnęłam nos do szyby i wpatrzyłam się w ciemność. Tutaj noc wyglądała inaczej niż w mieście, nie było ulicznych latarni, samochodów, tramwajów, bloków, nic nie rozrzedzało mroku, tylko księżyc. Przychylny lub nie.

Zerknęłam jeszcze raz na gałąź, przez którą moje serce ciągle tłukło się jak szalone. Usiłowałam nie myśleć o tym, że jestem sama na odludziu. Miałam przecież samochód. W każdej chwili mogłam po prostu wsiąść i wyjechać.

Po chwili wahania wspięłam się na schody i pchnęłam drzwi do pokoju babki. Idealnie pościelone łóżko, ażurowa serwetka na nocnym stoliku, pusty wazon na komodzie, obrazki, święte i zwykłe, zdjęcia na półce. Ja w sukience pierwszokomunijnej. Ja w Paryżu. Miałam wtedy piętnaście lat, pojechaliśmy ze szkołą na jakieś występy. Grałam w duecie z Adamem. Oczywiście. Czasu na zwiedzanie było mało, ale udało się na trochę uciec z prób i choć lał deszcz, gapiliśmy się zachłannie na to miasto, tak obrosłe różnymi legendami. Ojciec pytał mnie później, czy czułam ducha Chopina, ale ja się krzywiłam, że to taki banał, Chopin w Paryżu, oczywiste skojarzenie. Po Paryżu – w deszczu – chodziłam ze słuchawkami na uszach i wcale nie z Chopinem

w głośniku. To było coś innego. Ścieżka dźwiękowa z *Amelii*. Film podobał mi się średnio, ale muzykę uwielbiałam. Zwłaszcza utwory na fortepian. Pokochałam to zestawienie – tę muzykę i Paryż. Jedno pasowało do drugiego idealnie. I obecność Adama, jego brązowe śmiejące się oczy, oczy wtedy całkiem zdrowego, pełnego życia chłopaka, którego uwielbiałam. Babka w ogóle nie zadawała pytań o Chopina, chciała tylko wiedzieć, jak tam jest, w tym Paryżu. Nigdy nie wyjechała tak daleko. Podniosłam teraz zdjęcie, na którym – ubrana w okropną kurtkę przeciwdeszczową – uśmiecham się na tle Centrum Pompidou. Oczywiście Adam je zrobił. Do niego się uśmiechałam. Nie rozumiałam jeszcze wtedy, że ludzie mogą zniknąć, że mogą mnie zostawić nie z własnej woli, ale z braku wyboru. Że w gruncie rzeczy tak niewiele od nas zależy. Babcia musiała patrzeć na tę fotografię codziennie. Trudno było nie patrzeć.

Odstawiłam zdjęcie i pociągnęłam nosem.

Zajrzałam do szafy i przesunęłam dłonią po jej sukienkach. W tym pokoju jakoś ciężiej mi się oddychało. Tutaj bardziej się czuło, że naprawdę jej nie ma.

Wyszłam na korytarz i starannie zamknęłam za sobą drzwi. Tuż obok kolejne drzwi prowadziły do pokoju dziadka. Znowu zawahałam się na chwilę, a później nacisnęłam klamkę.

Pokój wydawał się mniejszy, niż go zapamiętałam, ale wcześniej zaglądałam tu zawsze tylko na krótko i w towarzystwie babki. I za każdym razem nie byłam pewna, jak powinnam się zachowywać, czy wolno mi głośno się roześmiać lub w ogóle odezwać się podniesionym głosem, czego mogę dotknąć, a czego mi dotknąć nie wolno. Babka nie dawała wskazówek. Tylko patrzyła. Jej wzrok jakoś mnie przez to wszystko prowadził, kierował moją dłońią. Teraz byłam sama.

Odetchnęłam głęboko i zdławiłam wyrzuty sumienia. Nie robiłam niczego złego. Dziadek nie żył. Nawet jeśli w pięćdziesiątym szóstym „musiał iść”, to teraz z pewnością nie żył. Tak mi się wydawało, mimo że nigdy nie widziałam na oczy jego grobu. Babka nie żyła również. A ten dom nie był muzeum.

Wysunęłam pierwszą szufladę komody i zerknęłam na schludnie ułożone koszule. Nadal tu były, jak gdyby dziadek wciąż mógł wrócić. Babcia żyła w ten sposób ponad sześćdziesiąt lat, nieustannie gotowa na jego przybycie. Czy to było tak? A może urządziła tu sobie izbę pamiątek, bo wydarzyło się między nimi coś zupełnie innego, coś uporzeczywie przez dekady przemilczanego?

Nigdy się nie dowiem. Nie mam już kogo o to zapytać.

Dotknęłam koszul i zerknęłam pod spód. Żadnej tajemniczej koperty, żadnej wiadomości z zaświatów.

Kolejne szuflady. Bielizna, kilka krawatów. Swetry, spodnie. W szafie także spodnie i trzy marynarki. Pod wpływem impulsu zdjęłam jedną i ubrałam się w nią. Miała nieco stęchły zapach i była zakurzona. Zaczęłam kichać, a oczy zaszyły mi łzami. Odwiesiłam marynarkę i zaglądałam w kolejne zakamarki. Szafki w większości puste. Żadnych ozdób, wazonów i ażurowych serwetek jak u babki.

Lustro. Ciekawiło mnie, czy po odejściu dziadka babka kiedykolwiek zasłoniła to lustro albo przynajmniej zastanawiała się, czy je zdjąć i stąd wynieść.

Stolik nocny z małą szufladką. Odsunęłam ją bez większych nadziei. Aż usiadłam z wrażenia, kiedy zobaczyłam w środku mały poźółkły zeszytek. Trudno mi było uwierzyć, że w takim domu, dobrze mi znanym, który odwiedzałam wielokrotnie, mogłam trafić na coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam. Chyba że babka położyła tu tę rzecz specjalnie. I miałam ją znaleźć. Po ekscentrycznych pomysłach, by zostawić mi po swojej śmierci zagadkę do rozwiązania, spodziewałam się już wszystkiego.

Sięgnęłam po zeszyt. Ziemia nie zadrżała, lustro nie spadło. Ostrożnie zerknęłam do środka. Nie, to nie był pamiętnik. Żadne sekretne zapiski, dzięki którym dowiem się w pięć minut, kim był mój dziadek i dlaczego nagle zapadł się pod ziemię. To był szkicownik. Wypełniony rysunkami tak przerażającymi, że ktoś, kto je wykonał, musiał noc w noc śnić okropne koszmary.

*

Tomek nie odbierał telefonu. Wysłałam mu kilka zdjęć rysunków ze szkicownika mojego dziadka – albo szkicownika, który po prostu spoczywał w szufladzie mojego dziadka, a być może należał do kogoś zupełnie innego – i spodziewałam się natychmiastowej reakcji. Tomek był w końcu historykiem sztuki. Na widok takich fotografii jego ekscytacja powinna osiągnąć satysfakcjonująco wysoki poziom. Moja osiągnęła. Byłam w końcu artystką, choć nie wszyscy mnie za nią uważali. Zajmowałam się zawodowo nagrobkami, a zatem – w pewnym sensie – również śmiercią i poświęconymi jej obrzędami, często obcowałam ze sztuką funeralną i sakralną, inspirowałam się nimi, tworzyłam, ciężko pracowałam, by nieustannie udoskonalać swoje

umiejętności. Umiałam docenić te szkice. Były dobre. Świetne. Genialne. Przeróżające, ale jednocześnie bardzo piękne.

Czekając, aż Tomek oddzwoni, jeszcze raz przeglądałam zeszyt strona po stronie. Były tam rysunki osobliwych ptaków z ludzkimi rysami, tragicznie powykrzywianych ciał, oszpeconych twarzy, drzew o skręconych pniach i gałęziach, roślin skropionych krwią, budynków przywodzących na myśl więzienia i labirynty, ponurych krajobrazów, które wpędzają człowieka w osobliwy, głęboki rodzaj smutku, fantastycznych hybrydowych stworzeń, czaszek i całych szkieletów, rozkładających się ciał, wisielców, zjaw unoszących się w powietrzu lub przycupniętych na gałęziach drzew jak przyczajone sępy. Kobieta bez nosa. Zmarła powstająca z trumny.

Zamknęłam zeszyt i nerwowo spojrzałam w okno. Podwórko wciąż spowijały egipskie ciemności, zresztą dlaczego miałyby być inaczej. Wysłałam z pokoju dziadka i zamknęłam za sobą drzwi. Zastanawiałam się, czy nie przekręcić klucza w zamku, tak jak dawniej zawsze robiła babcia. Być może, zabierając zeszyt, naruszyłam coś w tym pokoju. Spokój... ducha.

Wiedziałam, że myślenie o duchach wcale mi teraz nie pomoże spokojnie spędzić nocy.

Czy dziadek na pewno nie umarł w tym domu?

Pokręciłam głową i zapaliłam jeszcze jedną lampę w salonie. Sięgnęłam do torby po książkę, ale zaraz ją odłożyłam, bo nie mogłam się skupić na czytaniu. Spojrzałam na fotografie, które i tutaj, w saloniku, stały na komodach i wisiały na ścianach. Babcia nie okazywała uczuć i nie była wylewna, ale jej zacięcie do oprawiania fotografii w ramki – do otaczania się wizerunkami bliskich – świadczyło o tym, że musiała kochać i mojego ojca, i mnie. Musiała chcieć na nas patrzeć i za nami tęsknić. Jeśli ktoś nie chce na kogoś patrzeć, nie obstawia się jego zdjęciami. Wśród mnóstwa moich podobizn i migawek z mojego życia znalazłam tylko dwie fotografie przedstawiające samą babkę. Jedną z krową. Nie była już na niej młoda. Ale druga...

Podeszłam bliżej i zdjęłam fotografię ze ściany. Byłam pewna, że nie widziałam jej tu nigdy wcześniej. Ledwie rozpoznałam babkę. Bez wątplenia nie miała innych zdjęć z tego etapu życia albo przynajmniej ja nigdy ich nie oglądałam. Wydawała się tutaj młoda, w okolicach trzydziestki. Warkocz upleciony z jasnych włosów przerzuciła przez ramię, ubrana była w sukienkę... z białym kołnierzykiem... Wyjęłam zdjęcie z ramki i przyjrzałam się bliżej. Było czarno-białe, nie wiedziałam więc, czy sukienka na pewno jest zielona. Przypomniałam sobie jednak tamte szkice, które robiła. „Chciałabym być pochowana w zielonej sukience z białym kołnierzykiem. O, takiej”. Tak. To była na pewno ta sukienka. I nie. To zdjęcie nigdy tu wcześniej nie wisiało.

Rozejrzałam się po pokoju.

– Co tu jest grane, do jasnej cholery? – mruknęłam. – Co mi chcesz powiedzieć? Dlaczego nie zrobiłaś tego wcześniej? Mogłyśmy wypić razem herbatę, jak normalni ludzie. Mogłaś pokazać mi to zdjęcie i zeszyt z *creepy* rysunkami. Mogłaś opowiedzieć mi swoją historię albo nawet opowiadać ją wielokrotnie, jak robiły wszystkie babcie moich koleżanek. Powtarzać ciągle, do znudzenia, te same anegdotki. Wspominać byłych chłopaków.

Ponownie spojrzałam na zdjęcie. Odwróciłam je i zobaczyłam napis.

Mathilde am See, 1955.

Matylda nad jeziorem. Dopiero teraz skupiłam się na czymś innym niż na postaci babki. Stała na tle jeziora. Jeziorka. W zasadzie ona tak by go nie nazwała. Powiedziałyby „kałuża”. To było TO jeziorko, małe oczko w lesie. Miejsce, w którym utopił się Adam.

Poczułam się nagle dziwnie słabo i musiałam usiąść. Nie wiedziałam, dlaczego teraz, nagle, nie mogłam powstrzymać łez. Nie wiedziałam też, skąd się wzięły, czy płakałam z powodu babki, czy z powodu Adama, jego śmierci, która dla mnie była pewną granicą, dzieliła moje życie na dwie części.

Jeszcze raz zerknęłam na napis. 1955 – rok przed odejściem dziadka. Dlaczego po niemiecku? Skąd się tu wziął język niemiecki, pod tym zdjęciem, które przedstawia moją babkę? Chwyciłam telefon i przez chwilę zamierzałam wysłać ojcu wiadomość. Tę fotografię, a pod nią całą masę pytań. Co pamiętasz o dziadku? Jak go pamiętasz? Czy jest coś, o czym mi nie mówiłeś? Czy kiedy byłeś dzieckiem, stało się w tym domu coś dziwnego? Czy kiedykolwiek widziałeś to zdjęcie? Czy kiedykolwiek widziałeś ten zeszyt?

Odłożyłam telefon. Nie napisałam do ojca. Jeśli miał jakiegokolwiek tajemnice, to był prawdziwym mistrzem kamuflażu. Zawsze wydawał mi się najszczerzą, najbardziej otwartą i prostolinijną osobą, jaką znałam. Nigdy nie kłamał, mówił nawet najbardziej brutalną prawdę, uważał, że to oznaka uczciwości.

„Kłamstwo – powtarzał – jest nie tylko złym uczynkiem, ale przede wszystkim okazaniem braku szacunku drugiemu człowiekowi”. I nie ma nic gorszego niż świadomość, że jest się okłamywanym. O dziadku mówił niewiele, bo tak chciał, tak wybrał. Być może skrywał w ten sposób ból i tęsknotę. Albo mówił o nim niewiele, bo po prostu niewiele wiedział. Dziadek był. Nigdy się nie odzywał, ale był. Nie głaskał po głowie, nie przytulał, nie zabierał na ryby. Był, i tyle. Nie chodziło w tej rodzinie o wspólne życie, o robienie razem różnych rzeczy. Chodziło tylko o obecność, czyjąś milczącą obecność. Kiedy więc dziadek odszedł, mój ojciec odczuł brak tej obecności. Dziadka nie było już dłużej w domu. Nie wypełniał sobą przestrzeni, nie dotykał przedmiotów. Poza tym nic się nie zmieniło. Dla mojego ojca. Ale dla babki...

Mathilde am See.

Coś tu było nie tak.

ROZDZIAŁ 9

Świt przeganiania zmartwienia i strachy. Powtarzałam to sobie, parząc poranną kawę i przygotowując śniadanie. Temperatura spadła poniżej zera i śnieg nie roztopiał się już w momencie zetknięcia z ziemią, ale formował w łaty i zalegał na podwórku. Babcia wstawiła kilka lat temu nowy piec, który działał bez zarzutu, i w domu było teraz przyjemnie ciepło.

Przelałam kawę do kubka i chwilę delektowałam się zapachem. Przygotowałam gorącą owsiankę, nie tak smaczną, jak robiła moja babka, ale całkiem niezłą, i dorzuciłam do niej orzechy i rodzyunki. Pomyślałam, że trzeba zrobić listę wszystkich niepokojących zjawisk, dziwnych przedmiotów i pytań – na razie – bez odpowiedzi. Babka coś mi chciała powiedzieć, to pewne. Z jakiegoś powodu odłożyła tę rozmowę na po śmierci. Ludzie raczej tak nie robią. Kiedy czują, że zbliża się koniec, spieszą się, by wyznaczyć, czego wyznaczyć nie zdążyli, uporządkować swoje sprawy, zmienić testament... Albo zabierają tajemnice do grobu. A później przychodzą historycy, biografowie albo genealodzy, przychodzi ja, przychodzi Tomasz, i na zlecenie ciekawskich potomków rozgrzebujemy czyjaś przeszłość i wytrząsamy z niej sekrety. „Czy to możliwe, że moja babcia miała kogoś przed moim dziadkiem; czy to możliwe, że moja ciotka była komunistką, choć twierdzi, że nigdy; czy to możliwe, że mój stryjek maczał palce w śmierci mojej stryjenki; czy to możliwe, że mój dziadek kapował na Żydów Niemcom?” Często zadawane pytania. Było ich zawsze znacznie więcej i wiedziałam, że co najmniej na połowę z nich nigdy nie uzyskam odpowiedzi. Ale na sporo się dało.

Mathilde am See...

Napiłam się kawy i sięgnęłam po telefon. Tomek nadal nie oddzwonił, nie odpisał i nawet nie odczytał wiadomości. To mogło oznaczać tylko jedno. Poznał swoją kolejną wielką miłość, która właśnie brała prysznic w jego łazience. Zrobiło mi się trochę smutno, bo od dawna nikt nie brał prysznica w mojej łazience. Niemniej wolałabym, aby Tomek wstrzymał się na chwilę z amorami i odczytał esemesy. Byłam pewna, że przeanalizuje dziwny szkicownik i szybko wyciągnie jakieś wnioski. Ostatecznie musiał w końcu wyjść do pracy, a bez telefonu nie ruszał się z domu. Oby nie wpadł na pomysł, by łączyć nocą samotnie po cmentarzach. Wolałam już nową dziewczynę pod prysznicem.

Zjadłam śniadanie, obeszłam dom i po raz kolejny wyzwałam się w duchu od głupków. Nocą wyglądało to wszystko dokładnie tak samo, tyle że po prostu było ciemno. Koniec z histeriami. Miałam zagadkę do rozwiązania. Naciągnęłam czapkę mocniej na uszy i poszłam do komórki po kolejny słoik dżemu. Tym razem morelowy. Babka robiła tak dobre dżemy morelowe, że można je było jeść łyżką, bez pieczywa. Całe szczęście dla mnie, bo chleb, który przywiozłam z Wrocławia, nie wyglądał już najlepiej, a po świeży musiałabym iść do wsi. Uznałam, że skoro mam z czego ugotować sobie dzisiaj obiad, odłożę tę wycieczkę do jutra. Ruszyłam z powrotem w stronę drzwi wejściowych, by przy dżemie z moreli przeanalizować jeszcze raz „wiadomości” od babci. Może jest tam coś, co przegapiłam. Jakieś słowo klucz.

Ze słoikiem pod pachą obeszłam dom i zerknęłam na wąską ścieżkę prowadzącą do furtki i dalej, do lasu. Kiedyś chodziłam tędy często. Również tamtego dnia z Adamem nad jezioro. Dokładnie znałam drogę, za furtką prosto, przy ponemieckim słupie w lewo, znowu prosto, kępa krzaków, zagajnik, rozstaj, w prawo, młodniak i pierwszy pas wyższych drzew. Później znowu prosto. Jezioro połyskiwało między drzewami i było dobrze widoczne, zwłaszcza jesienią i zimą, ale prowadziły do niego tylko wąskie, dzikie ścieżki. I poza mną, jak się zdaje, nikt tam nigdy nie chodził. Według słów mojego ojca i moich własnych obserwacji.

Podeszłam do furtki. Nie zamierzałam iść do lasu, chciałam tylko zerknąć.

Nie od razu zrozumiałam, na co patrzę. A nawet gdy zrozumiałam, nie od razu wydało mi się to podejrzane. Ślady były wyraźnie odbite w śniegu, który przestał padać jakieś dwie godziny temu. Prowadziły z zagajnika i do zagajnika. Ktoś chodził też przy furtce tam i z powrotem. Nie wszedł do ogrodu i na podwórko, zatrzymał się właśnie tutaj. Obróciłam się w stronę domu. Wiedziałam, że na ścieżkę i furtkę wychodzą okna saloniku, w którym wczoraj siedziałam do późna i w którym dumałam nad zdjęciem babki. Ten ktoś, kto tu był, musiał widzieć, jak krążę po pokoju, zdejmuję fotografię ze ściany, jak przeglądam się w lustrze zawieszonym nad komodą. Dopiero później zasłoniłam okna. Chyba że nie stał tutaj w nocy, ale dopiero nad ranem. Tylko po co? Niczego ciekawego nie mógł wtedy zobaczyć, spałam jak zabita do siódmej. Chyba że to nie miało znaczenia. Może ślady w ogóle nie były ważne. Może ktoś chodził tędy często, może miał swój cel, o którym ja nie wiedziałam, ale o którym wiedziała babka. Nawet jeśli dawniej odwiedzałam ją i to miejsce często, nigdy nie wtopiłam się w otoczenie, nigdy się tu nie czułam w pełni u siebie. Byłam obca.

Pobiegłam do domu, zrzuciłam w korytarzu kurtkę i buty, po czym zastygłam w bezruchu. Co miałam

robić? Dlaczego uznałam, że babka coś mi tutaj zostawiła? Że był jakiś powód, dla którego miałam tu przyjechać? Mogłam się mylić. Mogło chodzić o sam dom, o to, bym przestała czuć się w nim obco. Babcia umiała sprawić, bym czuła się bezpieczna, chciana i kochana, ale nie umiała sprawić, bym czuła się tu u siebie. A jeśli teraz to robiła? Jeśli teraz chciała doprowadzić do czegoś, czego nie umiała sprawić, kiedy żyła?

Imbryk w grochy. To on przykuł moją uwagę, kiedy ojciec przekazywał mi kopertę od babki. Uznałam, że wskazówka kryje się właśnie w nim. A jednak parzyłam wczoraj herbatę w tym imbryku, nic w nim nie znalazłam. Chyba że służył za wabik. Babcia wiedziała, że nie uznam tych dwóch słów za nic nieznaczące bazgroły. Tylko jaki był następny krok?

Zerknęłam jeszcze raz w telefon, czy Tomek się odezwał. Nie odezwał się, ale odczytał wiadomości z wczoraj. Uspokoiliłam się nieco i zajrzałam do schowka pod schodami. Odgarnełam kilka pajęczyn, z którymi babka nie zdążyła się rozprawić, przetarłam duży kosz z farbowanej na zielono wikliny, który babka zawsze czyściła w Wielką Sobotę, a później zapełniała jajkami, kiełbasą, masłem, solą, chrzanem i chlebem. Przez lata zachował się w świetnym stanie. Uniosłam zakurzoną serwetkę i zajrzałam do środka. Była tam wielkanocna ozdoba z drewna – jajo, nieco większych rozmiarów niż kurze, pomalowane farbami w różne fantazyjne wzory. Poczułam, jak ścisła mi się gardło. Pamiętałam, że babcia przyniosła to jajo w pewien wczesnokwietniowy poranek. Powiedziała, że mogę je ozdobić, jak chcę i czym chcę, i mam się nie ograniczać. Malowałam więc kwiatki, kurczaki, dziewczynę z rudym warkoczem, kota w butach i motyle. Babcia oznajmiła wtedy z dumą, że talent mam nie tylko muzyczny, ale jej nie uwierzyłam.

Porzuciłam koszyk i z jajem w garści udałam się na ponowny rekonesans. Nie wiedziałam, czego szukam. Zajrzałam do salonu i otworzyłam kilka szafek, ale bez większych nadziei, bo wczoraj ten pokój sprawdziłam dość dokładnie. Podobnie jak pokój babki. Co do pokoju dziadka... wciąż czułam się nieswojo na myśl o nim, ale było tam dość pusto i również zajrzałam w niemal wszystkie kąty. Został jeszcze jeden pokój, ten, w którym spałam. Wczoraj ograniczyłam się do rozpakowania walizki, powieszenia ubrań w szafie i zmiany pościeli.

Wbiegłam po schodach na piętro. Ostrożnie położyłam jajo na starym biurku pod ścianą i zaczęłam otwierać szafki i szuflady. Nie było tego wiele. Wszędzie pusto. Znalazłam tylko kilka swoich własnych notatek jeszcze ze studiów, nuty z czasów „kariery” muzycznej i porzuconą tu dawno temu *Iliadę*, którą czytałam z wielką przyjemnością.

Przeszukałam cały pokój i nic nie znalazłam. Dość już zirytowana zerknęłam jeszcze raz na szafę.

– Naprawdę? – mruknęłam.

Weszłam na krzesło i zdjęłam z szafy stare pudło. Podniosłam wieko.

– Oczywiście...

Wyciągnęłam ze środka kolejne pudło, w którym tkwiła duża koperta.

Zjawa nie wiedziała, czy to drogowskaz, czy może po prostu kawałek ułamanej deski. Pustkowiemie nie miało żadnych granic i krańców, tylko horyzont, wszędzie jedynie horyzont, jak gdyby nie było końca tego świata. F. wyobrażał sobie wielokrotnie ten moment, choć nie wiedział przecież, czego się spodziewać – czy łąki usianej kwiatami, tunelu, ciemności, światła, czy może jałowej pustyni bez kropli wody. Nie liczył na to, że ominie go cierpienie, i nawet tego nie chciał. Uważał, że jego obecna forma – martwe, chude ciało odziane w lachmany – także jest odpowiednia. Głowa bardzo mu ciążyła i opadała na plecy, aż coś chrupało i dławilo w gardle.

Unosił się. Nie szedł, ale właśnie unosił się. Płynął. Czuł chłód w rozkładających się komórkach, powietrze między mięśniami, między kośćmi, jak gdyby jego wątył korpus nawleczano na niewidzialne nici. Pod nim była jakaś ścieżka, która znikwała wśród wzgórz. Ich wierzchołki były ostro zakończone, zbyt ostro jak na tak niskie wzniesienia. Nad nim przesuwwały się chmury, na przemian ciemne i jasne, jedne i drugie ciężkie, przytłaczające i złowrogie.

Unosił się i opadał, ale nigdy do samego końca. Nie czuł pod stopami podłoża i przez to miał wrażenie, że wcale nie istnieje.

Kiedy udawało mu się utrzymać głowę w pionie, rozglądał się za innymi ciałami nawleczonymi na niewidzialne nici. Musiały gdzieś tu być. Inne zjawy unoszące się w przestrzeni, nad pustkowiem, tak samo chude i bezradne, tak samo jednocześnie istniejące i nie. I patrzył też za światłem. Szukał go wśród jaśniejszych chmur, bo przecież jaśniejszy fragment nieba musiało oświetlać jakieś słońce. Chyba że to wcale nie było niebo, a jeśli nie było nieba, nie było też słońca.

Płynął, a jego powłoka się kurczyła. Głowa wciąż opadała do tyłu, jak głowa tamtego chłopaka, z którym dopiero co rozmawiał. Nie pamiętał imienia, ale pamiętał konserwę w ręku i jakieś obelgi na kaisera. Śmiali się, że na wojnie najgorsza jest sraczka. Wszystkiemu człowiek da radę, ale jak sraczka, to koniec. A później był huk i ta głowa na plecach.

Być może F. musi przestać o nim myśleć. Albo być może musi pomyśleć o krańcu pustkowia. Może o drzewie. O tym, czy będą na nim inne zjawy, takie jak on. Ze wspomnieniami, które nie odchodzą nawet w takim miejscu, nawet wtedy, gdy ciało się rozpada i dryfuje, i nie dotyka stopami podłoża, i przestaje istnieć, i nie istnieje, już w ogóle nie.

Wsunęłam kartkę z powrotem do koperty.

Opowieść wydawała się dość poukładana, ale nie pozbawiona również chaosu. Pamiętałam, jak babka snuła swoje historie wieczorami przy gorącym kakao i wtedy także wydawała się pewna tego, co mówi, choć zdania zdawały się nie zawsze do siebie pasować. Niektóre fragmenty jej opowieści mogły się wydawać niejasne, ale następowały po sobie tak, jak gdyby ich w ogóle nie szukała. Po prostu tam były, czekały gotowe do wypowiedzenia. Na tamtym nagraniu z pendrive'a, które otrzymałam jako pierwszy klucz do rozwiązania zagadki, babka na pewno nie czytała z kartki. Była taka jak wtedy, nad kubkiem kakao. Jednocześnie skupiona na słowach i oderwana od rzeczywistości. Wiedziałam już wówczas, że ona po prostu ma te obrazy w głowie. Że je widzi i dlatego umie opisać. Tomek również mówił o obrazach. Opowieści babki kojarzyły mu się z ilustracjami do jakiejś dziwnej baśni, ale jednocześnie był pewien, że faktycznie istnieją same obrazy. Że istnieją w ogóle, całkiem osobno, jako rzeczywiste przedmioty. Nie wydawało mi się wtedy, by mógł mieć rację. Dla mnie obrazy były zawsze tylko w głowie babki, były czymś, co należało tylko do niej. Ale teraz, gdy znalazłam szkicownik, pomyślałam, że może się myliłam. Nadal jednak nie wiedziałam, jak to połączyć, o co zahaczyć.

Pamiętałam, że babka mówiła mi kiedyś o tym, jak wyobraża sobie śmierć. Ogólnie uważała, że to bez sensu wyobrażać sobie śmierć, bo nikt, absolutnie nikt, nie może wiedzieć, jak tam – po drugiej stronie – jest. I czy coś jest. Przed wojną była wychowywana przez matkę na katoliczkę, zaraz po wojnie, jak mówiła, miała z Bogiem bardzo na pieńku, a jeszcze później od czasu do czasu chodziła do kościoła i jeśli ją o to pytałam, odpowiadała, że w zasadzie zawsze wierzyła, bo nawet jeśli masz z Bogiem na pieńku i mu wymyślasz, to przecież wierzysz. Ktoś, kto nie wierzy w Boga, nie może się z nim kłócić, a ona kłóciła się często. Podobnie jak z księżmi, których przyjmowała z kolędą i którzy usiłowali ją przekonać, by zaglądała do kościoła regularniej. I podobnie jak w ogóle z każdym, kto próbował ją przekonać, jak ma wyglądać wiara. A już zwłaszcza wtedy, gdy na tapecie pojawiał się temat wieczności. To ją irytowało najbardziej. „Jak gdyby ktoś z żyjących cokolwiek na ten temat wiedział”, mamrotała i szukała zajęcia dla rąk. To były rzadkie chwile, gdy wyraźnie okazywała emocje.

Jako osoba wierząca, choć mająca z Bogiem na pieńku, babcia znała koncepcję nieba, piekła i czyśćca. Wiedziała też, że ludzie – wierzący i niewierzący – snują różne wyobrażenia o życiu po śmierci. A jednak kiedy zaczęłam bardziej się interesować tym tematem i przynosiłam babce opowieści o pojmowaniu śmierci i rytuałach pogrzebowych w różnych kulturach świata, dziwiła się, że „to mogło pójść aż tak daleko”. I że „jest tego aż tyle”. Strach pomyśleć, że każdy może mieć rację. Że dla każdego jest tam coś przygotowane. Że jeśli nie dzielimy tych samych wierzeń i przekonań, możemy się po prostu nie spotkać. Mówiła o tym tak, jak gdyby człowiek budował sobie życie wieczne swoimi wyobrażeniami. „A jeśli w ogóle będziemy tam sami? Co wtedy?”

Pomyślałam o tym teraz i ponownie przeczytałam opowieść o pustkowiu i dryfującej w powietrzu zjawie.

A jeśli w ogóle będziemy tam sami? Co wtedy?

Babka powiedziała to raz. Że myśli czasem o pustkowiu, na które trafi. „Dlaczego o pustkowiu?”, zapytałam. „Czasem wydaje mi się, że po prostu wyjdzie z nas to, co mamy w środku. Taki wewnętrzny pejzaż, który stanie się zewnętrznym”.

Sięgnęłam po telefon, zrobiłam zdjęcie tekstu i przesłałam je Tomkowi. Nadal się nie odzywał, ale miałam nadzieję, że w przerwach od zajęć przynajmniej przez chwilę się nad tym wszystkim zastanowi.

Wyszłam z pokoju z zamiarem prowadzenia dalszych poszukiwań. Ale najpierw herbata. Z imbryka w grochy. Ruszyłam do kuchni, a kiedy mijałam salon, moją uwagę znowu przykuł ruch za oknem.

Ktoś był przy furtce prowadzącej do lasu.

ROZDZIAŁ 10

Nie zastanawiałam się nad tym, co robię, wskoczyłam tylko w buty i wypadłam z domu. Musiałam wyglądać jak szalona, kiedy pędziłam w stronę furtki, bo osoba, która tam stała, wcale nie zamierzała uciekać. Kiedy to zrozumiałam, wyhamowałam nieco i bez sensu kopnęłam jakiś kamyk.

– Kamila? Dobrze się czujesz?

Księżkowa Wiolka wpatrywała się we mnie dziwnie i z lekkim niepokojem. Kiwnęłam głową.

– Wyglądało to dość upiornie, jak tak gnałaś. Myślałam, że coś cię wystraszyło. Chciałam zobaczyć ten krzaczek, patrz, całkiem suchy, a teraz zima go dobije. To dlaczego tak pędziłaś?

– To nic. Po prostu... wydawało mi się, że chciałaś sobie pójść, a robię herbatę...

Nic głupszego nie mogłam już powiedzieć, więc umilkłam. Wiolka uśmiechnęła się pod nosem.

– Ten dom potrafi napędzić stracha, co? Nawet w dzień. A jak herbatę, to taką szybką, bo pędzę dalej. Mam dla ciebie do podpisania dwa papiery, chodzi o jedną firmę, która chce odkupić recepturę na powidła z renklod.

Weszliśmy do domu i zajęłam się przygotowywaniem herbaty. Było mi jakoś lżej z trajkoczącą Wiolką w kuchni.

– Nie wiedziałam, że receptury na powidła z renklod są czymś tajnym i że trzeba je odkupywać – powiedziałam, wykładając na talerz maślane ciastka, które przywiozłam z Wrocławia i których jeszcze nie zdążyłam zjeść. O dziwo.

Wiolka machnęła ręką.

– Twoja babka faktycznie miała rękę do takich rzeczy. Mogła zrobić o wiele lepszy interes, bardziej rozwinąć firmę, to teraz kupowalibyśmy jej powidła i dżemy w każdym supermarkecie, nie mówiąc o nalewkach. Jak ona zrobiła orzechówkę... albo malinówkę... Nigdzie takich nie kupisz. Po prostu nie. To była ta rzecz, która udaje się tylko jednej osobie. No ale twoja babka zawsze mówiła, że ona wcale nie chce być bogata, że jej wystarczy pieniędzy i wam też, więc niech będzie, jak jest, i po co komu więcej. Tłumaczyłam, że nie chodzi o bogactwo, ale o podarowanie ludzkości boskiej ambrozji, tylko że wiesz, jej można było tłumaczyć, powodzenia. Sprzedawała swoje rzeczy lokalnie, do sklepów, i wiem, że właściciele dostają czasem zamówienia z różnych części Polski, bo ktoś tu był na wakacjach, przejazdem, u rodziny, przypadkiem kupił dżem albo ze szwagrem pił orzechówkę, że niby na żołądek, a później sobie sprowadzał, tak mu posmakowało. I wtedy ja jej mówiłam: „A gdyby tak ten od szwagra mógł wejść do sklepu w swoim Kieleckim albo Suwałkach i kupić sobie twoją orzechówkę, toby nie było fajnie?”. Na co ona odpowiadała...

– Że co to za przyjemność, jak wszystko jest na wyciągnięcie ręki – dokończyłam.

– Właśnie. Z nią było ciężko, wiesz. To nie był łatwy człowiek. Chociaż i tak jakimś cudem ze wszystkimi się dogadywała.

Postawiłam kubki na stole i przyniosłam imbryk. Powiedzieć, że moja babka nie była łatwym człowiekiem, to nie powiedzieć nic. Ciekawiło mnie, czy Wiolka wie coś o zagadkach, które dla mnie zostawiła, ale trochę bałam się zapytać. Może babka wolała, by to zostało między nami.

Wiolka szybko przeżuła ciastko.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że ten dom potrafi napędzić stracha nawet w dzień? – zapytałam po chwili wahania.

– Hm, to ty nie wiesz? Przecież często tu bywałaś, a już zwłaszcza dawniej. Wszystkie wakacje, kiedy babka kazała ci doić krowę i zagłądać kurom pod tyłki...

– Tak, ale wtedy ona tu była, a przy babce ogólnie wszystko wymiękało, podejrzewam, że nawet duchy. Wiolka się roześmiała.

– Tak, to fakt. A chodziło mi o to – zamyśliła się na moment i jakby lekko zbladła – że tu się czasem coś słyszy. No, tak mówiła.

– Co mówiła?

– Że słyszy. Ich.

– Poprzednich mieszkańców? Niemców? – domyśliłam się.

– Tak. Rozmawiają sobie w kuchni. *Frau* przysmaża wursty, rozumiesz. Dzieci się kłóca. Młoda dziewczyna płacze, bo narzeczony poszedł sobie w cholerę do innej. Jest sroga zima i czy zwierzętom nie

zaszkodzi. Ocieplanie dachu. Wojna, chłopaka na front trzeba wysłać, wielka rozpacz. Chłopak nie wraca z frontu, ojciec chory, kto się zajmie kobietami, jak chłopą braknie. Ktoś topi się w jeziorze, tym w lesie, i w domu jest stypa. Potem Ruscy przychodzą, ogólnie nie są mili dla Niemców... Słowem, zwykła jak na okoliczności dziejowe historia domu i rodziny. Większość można sprawdzić w papierach, kto tu mieszkał i tak dalej. Twoja babka oczywiście sprawdziła. Po niej masz to sprawdzanie i grzebanie w cudzych życiach, gdybyś nie wiedziała.

– Nie wiedziałam – wtrąciłam słabo.

– W każdym razie po niej. Ale jej zależało głównie na tym, by sprawdzić, w czyim domu mieszka. I później, jak mówiła, że ich słyszy, to w zasadzie nie wiadomo, czy słyszała naprawdę, czy metaforycznie. Znała historię miejsca, wiedziała z grubsza, co tu się działo, więc nietrudno chyba wyobrazić sobie takie życie.

Wiolka wrzuciła do ust kolejne ciastko.

To wszystko było dla mnie raczej nowe. Dlaczego Wiolka wiedziała, a ja nie? Babka sprawdzająca papiery? Dokumenty to jedno, ale wszystkie te historie dookoła? Chłopak na froncie, chory ojciec? Dziewczyna porzucona przez narzeczonego? Ktoś, kto utopił się w jeziorze, w TYM jeziorze? Stypa w domu? Tu nie wystarczyło zaglądnąć do archiwów. Tu potrzeba było tego, co w naszej pracy zawsze robił Tomek – szukania kontekstu, zbierania opowieści. Wyobraźni. Albo faktycznie – głosów. Szeptów.

Pomyślałam o kopercie, w której tkwiła kartka z historią o zjawie na pustkowiach. Było tam coś o chłopaku z odstrzeloną głową. O konserwie i obelgach na kaisera. Czy o niego chodziło babce? O chłopaka z tego domu? Syna, który nigdy nie wrócił?

– Wiolka, powiedz mi... – zaczęłam nieśmiało. – Czy babcia mówiła ci cokolwiek o moim dziadku?

Spojrzała na mnie ze współczuciem i napiła się herbaty.

– O twoim dziadku nie mówiła nigdy. Nigdy, Kami. Rozumiesz? To było dziwne, bo ona miała takie swoje tematy, o których mówiła mniej, a o innych więcej, i człowiek musiał umiejętnie pytać, żeby się całkiem nie zaspawała. Ale twój dziadek... O niego nie dało się zapytać. Słowa po prostu stawały człowiekowi w gardle.

– Zostawiła jego ubrania. I nie powiedziała mojemu ojcu, że umarł. Wtedy, w pięćdziesiątym szóstym. Powiedziała, że musiał iść.

– Tak, ale w którymś momencie pewnie też umarł, bo teraz miałby... W zasadzie nie wiem ile. Zawsze wydawało mi się, że był dużo starszy od niej, ale tak naprawdę musiałam sama to sobie wyobrazić.

– Ja też tak to sobie wyobrażałam. Że był dużo starszy od niej. Myślisz, że ją porzucił?

Wzruszyła ramionami.

– Cholera go wie. O bardziej tajemniczym typie w życiu nie słyszałam. Trudno coś powiedzieć o kimś, kto...

– Jak gdyby nie istniał.

Wiolka krótko, po męsku ucisnęła moją dłoń. Pod wpływem impulsu opowiedziałam jej o tym, że szukałam dziadka i że nie znalazłam na jego temat zupełnie nic. A to mi się nie zdarza. Zawsze jest przynajmniej jedna rzecz. Chociaż jedna.

Wahałam się, czy powiedzieć jej jeszcze o zdjęciu z niemieckim podpisem. Uznałam, że się wstrzymam. Może zrobię to następnym razem. Zawsze mogłam zadzwonić.

– Obawiam się, Kami, że jeśli ty nie znalazłaś swojego dziadka, to nikt nie znajdzie – powiedziała Wiolka.

– Ja niestety też tak myślę.

– Muszę się zbierać. Dzięki za herbatę. Przywiozę ci jakieś ciasto na święta.

– Nie trzeba, naprawdę.

– Daj spokój, przywiozę. Wolisz z czekoladą czy z owocami?

– Z czekoladą.

– Całe szczęście. Ludzie, którzy wolą owocowe ciasta, zawsze wydają mi się podejrzani.

Odprowadziłam Wiolkę do samochodu i patrzyłam, jak odjeżdża. Kiedy zniknęła mi z oczu, odwróciłam się w stronę domu. Miałam nadzieję, że po tej wizycie nie zacznę słyszeć głosów.

ROZDZIAŁ 11

Zjadłam ryż z brokułami, zaparzyłam sobie kawę na pobudzenie i melisę na uspokojenie. Głucha cisza panująca w domu zaczęła mi już powoli doskwierać i zaczęłam się zastanawiać, czy szeptury martwych Niemców nie byłyby jednak lepsze. W zasadzie chętnie bym poznała historię chłopaka z okopów pierwszej wojny i tę o dziewczynie porzuconej przez narzeczonego. Z pierwszej ręki, tak bym nie musiała się już niczego domyślać. Babka zostawiła mi wystarczająco dużo materiału do domysłów.

Po tym, jak pobudziłam się kawą i uspokoiłam melisą, jeszcze raz zerknęłam na jej zapiski. Zjawia, pustkowie, F. Kim był F.? Mój dziadek miał na imię Stanisław, a przynajmniej taką wersję znałam. Tymczasem tutaj, w obu tekstach, pojawiał się F. F., który widział upiora nad lasem, czuł się z jakiegoś powodu winny, miał coś wspólnego z pianinem, muzyką, wojną, strzelaniem, konserwami, kaiserem i nietoperzem. Chyba. Nie byłam pewna, czy cokolwiek można tu traktować dosłownie.

Wspięłam się na schody, minęłam swój pokój, pokonałam kolejne stopnie i pociągnęłam za klapę w suficie. Lubiłam ten strych. Nie tylko za stare kufry, zapomniane „skarby” w postaci od dawna nieużywanych ozdób, sztućców, staromodnych grzebieni do włosów i bibelotów, które babka otrzymywała czasem od kogoś w prezencie i których nigdy nigdzie nie eksponowała. Nazywała je „gównostójkami”. Pod tym względem byłam do niej bardzo podobna, praktyczność i minimalizm, żadnych zbędnych rzeczy. Moje mieszkanie we Wrocławiu było przytulne dzięki książkom, kocom, poduszkom, kolorowym kubkom i kwiatkom w donicach, nie dzięki pierdółkowatym ozdobom. Niemniej tutaj, wśród pachnących drewnem starych ścian i w lekkim półmroku, każdy przedmiot wydawał się nieco bardziej atrakcyjny i tajemniczy. Lubiłam strych za zwinięte dywany i firanki, haftowane obrusy, serwetki i chustki do nosa, takie, jakich dziś nikt już nie używa. Za stary bębenek, który babka miała nie wiadomo skąd, i dzwonki, na których grałam jako dziecko. Do, re, mi... Babka patrzyła, jak uderzam pałeczkami w odpowiednie klawisze, i od razu wiedziała. Nie miałam pojęcia, czy kiedykolwiek uczyła się na czymś grać, ale na pewno kochała muzykę i kiedy tamtego dnia przyjechał po mnie ojciec, powiedziała: „Ona ma talent. Słyszy dźwięki”. Ojciec odparł: „Lepsze to, niż gdyby słyszała głosy”. Babcia zrobiła mi wtedy awanturę, że ma być poważny, chodzi o moją przyszłość. I rzeczywiście spoważniał. Posłał mnie do szkoły muzycznej, a ja aż do śmierci Adama naprawdę uważałam, że to faktycznie będzie moja przyszłość, moje życie. Gdy przestałam grać, babka nic nie mówiła. Nie pytała, czy kiedykolwiek do tego wrócę, nie sugerowała, że ból minie, a moje serce się poskleja, żadnych takich banałów. Nie zachęcała mnie też do tego, bym poszła nad tamtą „kałużę” i zmierzyła się ze wspomnieniami. Nie byłam tam od osiemnastu lat, choć chodząc po lesie za domem babki, z trudem ją omijałam.

Lubiłam wreszcie strych za pudła z bombkami i ozdobami choinkowymi. Babka trzymała ich tu wiele, a niektóre ozdoby były naprawdę stare. Nazywała je „cackami”. Nigdy niczego nie wyrzucała, uważała, że jeżeli jakaś rzecz raz trafi na choinkę, to z pewnością nie powinna później trafiać do kosza na śmieci. Jest coś szczególnego w bombkach i cackach, coś niematerialnego. Jakiś duchowy pierwiastek, echo śpiewanych kolęd, zapach ciasta i świerka, czyjś śmiech albo czyjeś łzy. Fragment historii. Śmiałam się, że można to powiedzieć o wielu przedmiotach, nie tylko ozdobach choinkowych, ale ona zbywała mnie machnięciem ręki. Nie powinnam się śmiać. Babcia tak rzadko stawała się wylewna, że powinnam była raczej cenić te chwile i próbować je przedłużyć.

Strych był wreszcie tym miejscem, w którym ukryłam się wtedy, po wypadku Adama. Siedziałam tu dwa dni. Babka przynosiła mi jedzenie i dolewała herbaty do dzbanka. Kiedy przyjechali moi rodzice, nie pozwoliła im do mnie wejść, a gdy zaczęli nalegać, powiedziała, że mają spadać. Dokładnie tak. „Spadajcie”. Do mnie odezwała się raz. Stała na dole, pod klapą, i zawołała: „Masz zjeść chociaż jedną kanapkę. Wymagam naprawdę minimum”. Zjadłam kanapkę. Była dobra, z żółtym serem, sałatą, jajkiem i szczypiorkiem. Babka hodowała szczypiorek w doniczkach przez całą zimę. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek później jadła równie dobrą kanapkę.

Na strychu. Byłam tu znowu.

– Co dalej? – zapytałam na głos.

Zaczęłam szperać w pudłach. Łańcuchy, aniołki, gwiazdki... Wyciągałam kolejne kartony. Bombki. Szyszki. Szklane sople. Zerknęłam na zegarek. Była prawie piąta, na zewnątrz zrobiło się ciemno, Tomek nadal nie oddzwaniał. Odczytał jednak wiadomość, w której przesałam mu zdjęcie tekstu o zjawie na

puszku. Nowa dziewczyna musiała być naprawdę wyjątkowa, skoro nie znalazł nawet pięciu minut, by się odezwać.

Uniosłam do góry piękną ręcznie malowaną bombkę. Pamiętałam ją dobrze, babka co roku wieszala ją na choince w najlepiej widocznym miejscu. Przedstawiała ośnieżone austriackie miasteczko. Złoty napis był dyskretny i ledwie widoczny. „Linz”. Babcia nigdy nie była w Linzu, ale uznałam po prostu, że ktoś przywiózł jej tę bombkę w prezencie. Przyjrzałam się dokładniej ośnieżonemu miasteczku. A jeśli to również była wskazówka? Nic tutaj nie wydawało mi się takie jak dawniej, wszystko budziło podejrzenia. Ostrożnie zapakowałam bombkę z powrotem w bibułę i odłożyłam na bok. Wpadałam w paranoję.

Chciałam sięgnąć po kolejną, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi wejściowych. Nikogo się nie spodziewałam, a z gości niezapowiedzianych Wiolka była jedynym człowiekiem, którego dobrowolnie poczęstowałabym maślanymi ciastkami. Wytarłam zakurzone dłonie w sweter i pospiesznie zbiegłam po schodach.

Na progu stał chłopak, który wydał mi się znajomy. Nie, nie był to chłopak. Z pewnością dobiegał czterdziestki, ale piegi na policzkach i zmierzwiłone włosy w kolorze piasku nadawały mu młodzieńczy wygląd.

– Kamila?

Uśmiechnął się, niezbyt pewnie. Prawdopodobnie skądś się znaliśmy, ja nie pamiętałam skąd, a on wiedział, że nie pamiętam.

– Tak – odpowiedziałam ostrożnie.

Pokiwał głową.

– Jasne, że to ty, bez sensu pytam. Pewnie mnie nie kojarzysz.

No właśnie.

Chłopak – mężczyzna – znowu się uśmiechnął, tym razem jakby przepraszająco.

– Wybacz, że tak cię nachodzę po nocach.

– Jest dopiero piąta.

– Po ciemku – poprawił się. – Ale w sumie głupia sprawa... Twoja babka co roku zamawiała od nas choinkę, to znaczy od mojego brata, on robi w biznesie choinkowym, ja mu tylko trochę pomagam przed świętami. W każdym razie przywoziłem jej tę choinkę zawsze siedemnastego grudnia. Tydzień przed Wigilią. I teraz... to znaczy wiem, że ona nie... ale pomyślałem, że może ty byś chciała. We wsi mówią, że siedzisz tu całkiem sama. A jest właśnie siedemnasty... Mogłabyś sobie udekorować drzewko, byłoby ci milej.

Pomyślałam, że bardzo dużo mówi – i bardzo poufałym tonem – jak na kogoś, kogo nie mogę sobie przypomnieć.

– Przepraszam, ale... kim jesteś? – zapytałam wprost.

Od wystawania w progę zrobiło mi się już zimno.

– A tak, jasne. Jestem – zawahał się i wzruszył ramionami – Jasiak.

– Jasiak?

– Dawno mnie nie widziałaś. Teraz ja też przyjeżdżam tu tylko na dwa tygodnie w grudniu i od czasu do czasu w lecie. Tak na kilka dni. Zresztą dawniej chyba też rzadko mnie widywałeś. Bo... po prostu. Jakoś tak się układało. Mieszkam w Warszawie. Twoja babka mi poleciła... tę Warszawę – plątał się. – Kiedy myślałem o studiach, zapytałem ją, co o tym sądzi. Nie miałem kogo, więc ona... Ona w ogóle udzielała mi różnych rad. Powiedziała, że dawniej Warszawa była całkiem inna, ale tamten duch ciągle jest pod spodem. Takich słów użyła. Kercelak, pałac Saski, żydowskie Nalewki... Tego nie da się zdusić, wymazać, nawet jeśli zetrze się na proch budynki, a ludzie znikną. Warszawa jest miastem, które odrodziło się z popiołów, mówiła, choć nikt jej nie dawał za wielkich szans. Mocnym miastem, odważnym. Czyli dobry wybór, jeśli się mam przeprowadzać. Tak więc teraz mieszkam w Warszawie, a kiedyś mieszkalem tutaj.

Przestąpił z nogi na nogę, coraz bardziej zakłopotany. Czekałam.

– Czasem pojawiałem się w tym domu, ale ty nie za bardzo zwracałaś na mnie uwagę. Zawsze byłaś czymś zajęta. Albo pomaganiem swojej babci, albo czytaniem, albo graniem. Graniem najbardziej. A później... później, kiedy tu byłaś, po tym, jak już przestałaś grać, wolałem nie przychodzić...

Urwał i spuścił wzrok. Przyglądałam mu się bez słowa. Robiło mi się coraz zimniej.

– Jesteś synem strażaka. Jednego z tamtych strażaków, którzy...

Tylko skinął głową i już się nie odzywał.

To nie było tak, że go sobie nagle przypomniałam. Nie umiałabym odtworzyć detali jego twarzy sprzed lat, był raczej figurą i głosem. Trzymały mnie jakieś różne ręce, a ja najpierw się wyrывałam, później oklapłam i te ręce musiały mnie łapać. On biegał wokół stawu, robił coś, coś podnosił, przytrzymywał, podawał. Wysoki, szczupły, z długimi kończynami, trochę przypominał pająka. Teraz miał nieco solidniejszą sylwetkę, choć nadal był smukły i wyprostowany jak struna. Nie przypominałam sobie tych jego jasnych włosów ani piegów, a głos... Głos być może tak. Słyszałam wtedy to jego „tato, tato”, ale nie wiem, co było później, po co wołał swojego ojca. Raz był przy drabinie wyciągniętej na lodzie. Potem chyba trzymał sznur. Młody chłopak. Młody mężczyzna. Ja miałam siedemnaście lat, więc on może ze dwa, trzy lata więcej. Pomagał im, tak sędzę. Później przyjechało więcej ludzi, policja, więcej różnych „fachowców”, którzy zepchnęli na bok wiejskich strażaków. Był gdzieś obok mnie. Chyba. Kiedy go znaleźli, kiedy znaleźli Adama. Kiedy go wyciągali. Krzyknęłam, a potem zwymiotowałam i ktoś podał mi swój szalik, żebym mogła wytrzeć sobie twarz. Nie byłam w stanie iść. Ktoś usiłował mnie stamtąd zabrać, ale ja nie mogłam, nie chciałam. Miałam ciężkie mięśnie, ciężką głowę, zamglony wzrok. I ten dziwny chłód w środku.

Jasiek spojrzął na mnie i ponownie wzruszył ramionami, ale już przestał się przepraszająco uśmiechać.

– Słuchaj, *à propos* tej choinki... – bąknęłam.

– Twoja babcia już za nią zapłaciła.

– Nie o to chodzi. Ja po prostu...

Objęłam się ramionami. Dlaczego w zasadzie nie ubrać choinki? Może miał rację i będzie mi milej z kolorowymi lampkami i bombkami? I tak zaczęłam już szperać w pudłach.

– No dobra. Masz ją tu gdzieś?

– Już przynoszę.

Jasiek wycofał się do samochodu. Faktycznie, na przyczepce leżało profesjonalnie opakowane drzewko. Kiedy wrócił z nim przed dom, czułam się w obowiązku zapytać:

– Masz ochotę na herbatę?

Oparł drzewko o ścianę i przeczesał dłonią włosy.

– A jest na nią szansa? Cały dzień pakowałam choinki i nie czuję nosa.

Chciałam mu pokazać łazienkę, by mógł umyć ręce, ale okazało się, że doskonale zna drogę. Babka też nieraz proponowała pewnie Jaśkowi herbatę. Skoro omawiali wspólnie jego plany na przyszłość i poleciła mu Warszawę, z pewnością nie był zwyczajnym dostawcą choinek. Poczulałam ukłucie zazdrości. Mnie babka nigdy nie polecała żadnego miasta ani żadnego kierunku studiów. Ale to pewnie dlatego, że nie pytałam.

Imbryk w grochy, herbata, maślane ciasteczka. Kończyły się. Westchnęłam ciężko i wyciągnęłam z szafki paczkę pierników w czekoladzie. Pierwszy dzień w grudniowym domu. Myślałam, że do wieczora odnajdę więcej wskazówek i rozwiążę choć część zagadki, którą zostawiła mi babcia. Tymczasem podejmowałam gości i dostałam choinkę.

Jasiek wszedł do kuchni i pociągnął nosem.

– Earl grey? Moja ulubiona.

Wziął ode mnie talerz z ciastkami i postawił na stole, potem to samo zrobił z cukiernicą – czyli słodził – i kubkami. Przez cały czas uśmiechał się i odnosił do mnie bardzo życzliwie. Aż się poczułam nieswojo.

Z początku nie mogłam się skupić na rozmowie, wciąż wracałam myślami do strychu i porzuconych tam pudeł z bombkami. Nawet do tej jednej konkretnej bombki przedstawiającej Linz. Zamierzałam zabrać ją na dół i dokładnie obejrzeć. Ale teraz, skoro miałam własne drzewko, równie dobrze mogłam znieść na dół wszystkie pudła i zrobić użytek z ozdób.

Jasiek upił łyk herbaty i zaczął mówić o domu mojej babki, o chwilach, kiedy tu zaglądał dawniej po to, by przekazać coś od rodziców albo coś dla nich odebrać, czasem, by coś kupić, bo choć jego rodzice także prowadzili gospodarstwo, nie mieli jednak tak dużych sadów, raczej mały ogródek z kilkoma drzewkami owocowymi. I oczywiście przychodził po renklody, od babki wszyscy kupowali renklody, bo zawsze miała najlepsze. Tak słodkie, że czasem aż zęby bolały. Powiadeł nie trzeba było nigdy niczym dosładzać. I gruszki miała dobre, szczególnie odmiana, Jasiek już nie pamiętał jaka. A jabłka... Wśród jabłek był ścisły podział, papierówki z prawej strony, antonówki z lewej, pośrodku renety. Jak to zawsze pachniało... A węgierki? We wsi każdy miał węgierki, przynajmniej jedno drzewo, ale tylko u babki w owocach nie czuło się goryczki i nigdy nie jadły ich robale. Jak to robiła? Nikt nie wiedział. Kiedy tu do niej zaglądał, zawsze mu dawała grubą kromkę miękkiego chleba ze świeżym masłem albo dżemem. Nigdy chyba później nie jadł nic lepszego.

Takiego smaku się nie zapomina.

– A jak to się stało, że rozmawialiście o Warszawie? – nie wytrzymałam.

Uśmiechnął się lekko, tak jak zawsze uśmiechają się ludzie, kiedy wspominają coś miłego. Zaraz jednak po jego twarzy przebiegł nerwowy skurcz. Jasiak był tego świadomy, bo poprawił się na krześle i odstawił kubek.

– Chciałem iść na studia. Nigdy się nie nadawałem do wiejskiego życia, ojciec szybko to zrozumiał, zresztą nie miał nic przeciwko temu. Nie prowadziliśmy aż tak dużego gospodarstwa, żeby było co przejmować i rozwijać dalej. To matka lubiła ziemię. Ojciec był strażakiem. Namawiał ją czasem, byśmy się przenieśli do miasta, ale ona nie chciała słuchać, całe życie na wsi mieszkała, teraz na pewno nie będzie się nigdzie przenosić. Należała do tych kobiet, które już za życia szykują sobie kuferek z ubraniami do trumny, rozumiesz...

– Rozumiem bardzo dobrze.

Spojrzał na mnie zaskoczony i nagle go olśniło.

– Oczywiście! Oczywiście, że rozumiesz, przecież jak ludzie przychodzą do ciebie po...

– Nagrobki – podsunęłam.

– Właśnie. Pewnie bywa, że musisz się różnych rzeczy nasłuchać. Różnych historii o zmarłych.

– Nawet to lubię. Chociaż nie jest to rzecz, o której opowiadam chłopakowi na pierwszej randce.

Parsknął śmiechem i pokiwał głową.

– W każdym razie matka powiedziała, że tu żyła i tu umrze. I tak się stało. Kiedy źle się poczuła, nie dała się nawet zawieźć do miasta do szpitala.

– Chciała umrzeć w domu.

– Tak. A później mój ojciec z różnymi rzeczami sobie sam nie radził i uznał, że na emeryturze zrobi wreszcie to, o czym zawsze marzył. Kupił małą kawalerkę we Wrocławiu i się przeprowadził. Mój brat zajął się biznesem choinkowym, między innymi, i...

– To nie jest cała historia, prawda? – zapytałam nagle.

Nie miałam pojęcia, dlaczego mnie to właściwie interesuje, ale coś sobie przypomniałam, urywki zdań mojej babki, pojedyncze uwagi, niby z niczym konkretnym niezwiązane. Przygotowywała na przykład paczkę z jedzeniem, różne słoiki, ser, szynkę, chleb i placek drożdżowy, a potem wpadała Wiolka i dla kogoś to zabierała. Babka ciągle angażowała się w różne zbiórki i sporą część dochodów oddawała na cele charytatywne, robiła tak przez całe życie, więc niespecjalnie zajmowałam się wtedy tą konkretną paczką. Ale czasem coś przy okazji mówiła, jak gdyby bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego, a już zwłaszcza do mnie. „Biedny chłopak”. „Jak tak można”. „Ja różne rzeczy rozumiem, ale rodzic to rodzic”. „Szkoda go, taki zdolny, ciężko, żeby się zmarnował”.

Jasiak dopił herbatę i rozejrzał się po kuchni. Jeszcze pół godziny temu naprawdę chciałam, by sobie poszedł, ale teraz niespodziewanie wolałam, by został i poskładał to wszystko w całość. I tak sam zaczął tę opowieść. Sam tu przyszedł. Nie zmuszałam go ani do choinki, ani do herbaty, ani do zwierzeń.

– Mój młodszy brat zaczął pić – powiedział po prostu. – Po śmierci matki. Nie żeby ich łączyła jakaś szczególna więź, ale nasza matka była specyficzna, miała tak twarde poglądy i tak silną osobowość, że trudno było wyzwolić się spod jej wpływu. Mój brat nigdy się nie wyzwolił, myślał jak ona, tradycja, ziemia, rodzina, wszystko w życiu musi być w odpowiedniej kolejności, każdy przejaw inności, która domaga się swoich praw, to skrzywienie albo rewolucja obyczajowa... Ja nie byłem taki. Jeździłem do szkoły we Wrocławiu, miałem własnych przyjaciół, osobne życie. Mój brat nie rozumiał, że można się nie zgadzać z matką. Wręcz spierać się z nią. Ojciec na pewno chciał, ale nigdy nie miał dość siły. Kiedy umarła, trochę się wycofał, ucichł, ale miałem wrażenie, że...

– Ulżyło mu?

– To nie jest wcale takie rzadkie, prawda? Człowiek nie dopuszcza do siebie myśli, że odczuwa ulgę z powodu czyjejś śmierci, ale niestety wielu ją odczuwa. I mój ojciec ją odczuwał. Mój brat natomiast nie mógł się z tym uporać.

– Wasza matka była osiłą – powiedziałam powoli. – Dawała mu strukturę. Mówiła mu, co ma myśleć i co robić, a później nawet nie musiała, wystarczyło, że była zadowolona lub nie, że go chwaliła lub ganiła, aprobowała jego zachowanie albo odmawiała swojej akceptacji. Różne rzeczy robił dlatego, że tak sobie życzyła, co wyrażała wprost lub poprzez sugestię. Nie zastanawiał się pewnie nawet, czy w ogóle sam chce

w ten sposób żyć. Czy chce mieć ziemię, rodzinę, dom, czy aż tak bardzo kocha tradycję i nienawidzi przejawów inności. Nie musiał się nad tym zastanawiać i pewnie nawet nie chciał. Uwolnienie się bywa bolesne. Czasem nie wiadomo, jak korzystać z tej wolności.

Jasiek skinął głową, przyglądając mi się uważnie.

– Babcia nic ci o nas nie mówiła?

– Babcia w zasadzie nie mówiła nigdy nic o nikim, uważała, że człowiek nie powinien się zniżać do obmawiania.

– Ale to nie obmawianie, tylko opowiadanie.

– Ona widziała to pewnie inaczej. Robiła swoje i uważała, że nie ma prawa do mówienia o czyichś prywatnych sprawach, że to nie jest jej historia. Domyśliłam się po prostu po różnych jej działaniach i półsłówkach. Nigdy nie widziałam, żebyś tu przychodził.

– Już mówiłem. Najpierw nie zwracałaś uwagi, bo albo grałaś, albo byłaś zajęta czymś w ogrodzie, a później starałem się nie przychodzić, kiedy tu byłaś. Po tamtym... nad jeziorem. Czuję się głupio. I też trochę się wstydziłem. Brata, tego, co robił. Tego, że potrzebowaliśmy pomocy.

– Twój ojciec wyprowadził się do miasta i zostawił was samych?

– Najpierw mój brat zaczął pić. To był główny powód. Ojciec nie umiał sobie poradzić z takim problemem, więc po prostu od niego uciekł. Ja byłem starszy, co prawda tylko o dwa lata, ale zawsze. Brat pił, a ja sprzątałem po nim, karmiłem go, przyprowadzałem do domu, chowałem przed nim wódkę i służyłem, jak się na mnie za to drze. Raz dostałem nawet w pysk. Sam nie wiem, jak mi się udawało uczyć. Zdałem maturę i odłożyłem na później marzenia o studiach. Uznałem, że nie mogę wyjechać i go zostawić. Byłem pewny, że przepije dom, że w ogóle sam zapije się na śmierć. Przestał chodzić do szkoły. Ojciec dawał nam jakieś pieniądze, ale bądźmy szczerzy, nie było tego dużo. Latem pracowałem. Twoja babcia mi pomagała, karmiła, wciskała jakieś ubrania, nawet nie wiedziałem, skąd je ma. Pożyczała pieniądze. Ona powtarzała, że to nie pożyczka, ale kilka lat później wszystko jej zwróciłem, co do grosza. Strasznie narzekała, że jej nie pozwalają zrobić dobrego uczynku i nie będzie miała za co iść do nieba.

– Brzmi jak moja babka.

– Była niesamowita. Kiedyś przyszedłem do niej się przespać, bo brat zaprosił kolegów. Sam jeden nie miałem jak im się postawić. Twoja babcia uznała, że brat musi iść na odwyk, że inaczej stoczy się na dno i mnie za sobą pociągnie. A przecież ja nie mogę się zmarnować. Wszystko załatwiła.

– Odwyk dla twojego brata?

– Tak.

– Moja babka?

– Tak. Nigdy ci o tym nie mówiła?

– Jak widać, nie mówiła mi o wielu rzeczach.

– Załatwiła mu odwyk, a mnie kazała się uczyć do egzaminów. Później był jeszcze jeden odwyk, bo pierwszy nic nie dał. Ale po tym drugim brat powiedział, że zobaczył naszą matkę. Tak się wystraszył, że postanowił zmienić swoje życie.

– Chcesz mi powiedzieć, że twój brat widział ducha?

Jasiek uniósł brwi.

– Wierzysz w duchy?

– Sporo ludzi w nie wierzy, zdziwiłbyś się.

– A ty?

– Żadnego nie widziałam, ale istnienia nie wykluczam.

– Rozumiem. Ja w każdym razie uznałem to za halucynacje.

– Prawdopodobnie prawidłowo.

– Na tyle mnie to zainteresowało, że w zasadzie nadal zajmuję się halucynacjami. Nie tylko, ale też.

– Czyli jesteś... psychiatrą? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Neurologiem. Wiem, nie wyglądam.

Nie wyglądał.

– I pomagasz bratu sprzedawać choinki?

– Tylko przed świętami.

– Ludzie kupują je jeszcze w jakimś innym czasie?

– Niezbyt, ale żeby mieli co kupić w grudniu, trzeba się trochę przez cały rok napracować. I w tym już nie uczestniczę.

Dolałam nam herbaty z imbryka i Jasiak podziękował. Znowu się uśmiechał. W ogóle nawet swoją własną, niezbyt wesołą historię opowiadał nie jak ktoś, kto chce się poskarżyć. Był chyba pogodzony z tym, co go spotkało. I musiał myśleć, że ja to wszystko po prostu już od dawna wiem. Choć miałam świadomość, że babka angażowała się społecznie, dziwnie było siedzieć obok kogoś, komu faktycznie pomogła, widzieć efekty tej pomocy.

– Czy ona... moja babka... opowiadała ci cokolwiek o sobie?

– Chodzi ci o jej młodość? Tylko gdy rozmawialiśmy o Warszawie. Mówiła, że w mieście było dużo bezdomnych, że na Czerniakowie mieszkała z matką i ojcem w jednopokojowym mieszkaniu, wychodek był na podwórku, a kiedy wybierano z niego nieczystości, szambiarz, czy jak tam go zwać, krzyczał, by zamykać okna, bo będzie cuchnąć. I że Łazienki były niedaleko, a zaraz za nimi ta lepsza, piękniejsza Warszawa. Twoja babcia wiedziała, gdzie w Śródmieściu mieszka pewna panienska z „dobrej” rodziny, która całymi dniami ćwiczyła grę na fortepianie. Nie znała imienia tej panienski, ale widziała jej głowę w oknie. I stawiała tam czasem, pod tą kamienicą, żeby słuchać. Bardzo lubiła muzykę i marzyła, by się uczyć grać, ale takie marzenia nie były dla dziewczyn, które mieszkały na Czerniakowie, w jednym pokoju bez wychodka. Na pewno ci o tym mówiła.

– Nie. Nigdy – przyznałam.

Nie wiedziałam, czy bardziej jest mi przykro, czy wstyd.

– Może po prostu nie pytałaś.

Nie, nie pytałam o wiele rzeczy, jak widać. A może powiedziałyby, gdybym zapytała. O Warszawę, jej młodość, o muzykę – skąd wiedziała, że mam słuch, jak to umiała rozpoznać. Nie odpowiedziałyby natomiast słowem na temat niczego związanego z dziadkiem. Próbowalam. Powiedziałam jej przecież nawet, że wiem o dowodzie osobistym, o tym, że dziadek go nie miał. I wtedy też milczała, milczała jak zaklęta. To mnie zniechęciło do dalszych pytań, do osobistych rozmów, dociekania, wyciągania z niej wspomnień. Teraz żałowałam. I czułam się winna, bo miałam wrażenie, że ona mogła czekać, aż zapytam. Na przykład o muzykę. Wiedziałam, że ją kochała. Wiedziałam, że uwielbiała słuchać, jak gram. Od tego mogłam zacząć.

– Twoja babcia nigdy nie odzywała się tylko na temat robót w Saksonii i twojego dziadka. – Jasiak bezbłędnie odczytał moje myśli. – Tu się nic nie dało zrobić, niestety. Niejedna osoba próbowała.

– To samo mówiła Wiolka.

Jasiak dopił herbatę i odstawił kubek.

– Muszę iść. Dziękuję ci bardzo.

– Nie ma za co. To bardziej ja dziękuję. Za choinkę i...

– Gdybyś czegoś potrzebowała, to dzwoń. Mój numer jest w telefonie twojej babci, na pewno go masz.

Nie znał mnie, ale zupełnie nie czuł się skrępowany. To pewnie przez ten dom. Zawsze był tu równie mile widziany jak ja. A może nawet bardziej.

Odprowadziłam Jaśka do auta, a później wróciłam do kuchni, sprzątnęłam naczynia i pobiegłam na strych, do pudeł z bombkami, zagadek i znaków zapytania.

ROZDZIAŁ 12

Zrobiłam parę zdjęć i wysłałam je Tomkowi. Przedstawiały strych i wszystko, co się na nim znajdowało. Później pstryknęłam jeszcze z kilku ujęć bombkę przedstawiającą Linz. Wciąż nie wiedziałam, dlaczego wydawała się taka podejrzana, ale nie dawało mi spokoju dziwne przeczucie, że z czymś się wiąże. Nadal nie miałam jednak zielonego pojęcia, o co zahaczyć ten Linz.

Zerknęłam na wyświetlacz telefonu. Tomek nie odpisywał i wciąż nie dzwonił. Ja też potrafiłam nie odzywać się do niego kilka dni, jeśli coś zaprzętało mi głowę, i jak słusznie zauważył tamtego dnia w moim biurze – gdyby mnie nie znał, pomyślałby, że się obraziłam. Ale mnie znał, a ja znałam jego. Coś zaprzętało mu głowę. Może nowa dziewczyna, a może jednak wcale nie. Jeśli dziewczyna, istniało ryzyko, że nie przyjedzie na święta. Będę tu sama. Poczulałam się nieswojo na tę myśl.

Chwycałam pierwsze pudło i zniosłam je na dół. Przy piątym byłam już zmachana i bolały mnie nogi od ciągłego chodzenia po schodach, ale wysiłek pomagał pozbyć się obaw. A przynajmniej w pewnym stopniu. Naliczyłam, że wszystkich pudeł jest dwanaście, więc czekało mnie jeszcze siedem rundek. Przy ósmej potknęłam się na ostatnim stopniu i runęłam na podłogę.

– Cholera! Jeszcze jakieś zadania, babciu?

Przypomniało mi się to, co mówił Jasiak. Że babka chciała grać na pianinie, ale nie miała pieniędzy na naukę. Że chodziła pod tamto okno w Warszawie słuchać, jak ćwiczy „panienka”. Ze mną nigdy o tym nie rozmawiała, nigdy mi nie mówiła, dlaczego rozpoznała we mnie talent. Nie mówiła o tym, że sama go miała, że czuła jakieś niespełnienie i brak. Jednak. Zawsze mi się wydawało, że babka robi to, co chce, i jest tym, kim chce być. I może się nie myliłam. Tęsknota za czymś nieosiągalnym nie musiała jednocześnie oznaczać, że babka nie odczuwała satysfakcji, wiodąc zupełnie inne życie. No ale równie dobrze mogłam się mylić i babka była jedną z tych osób, które po prostu dobrze ukrywały emocje. Zazdrościłam Jaśkowi, że znalazł do niej klucz. Zazdrościłam mu tej historii o „panience” i pianinie. Ta opowieść była dla niego, babka nie podarowała jej nikomu innemu, nawet mnie. Powtarzała zawsze, że zazdrość odczuwają tylko słabi ludzie, którzy wiecznie porównują się z innymi, zamiast skupić się na własnej pracy, umiejętnościach i osiągnięciach. A jednak ja nie zazdrościłam Jaśkowi żadnych jego osiągnięć, nawet ich w sumie nie znałam. Zazdrościłam mu rozmów. Wieczorów z babką. Chleba z masłem i dżemem – nie jedzenia oczywiście, ale tych chwil, które tu spędzał, przeżywając to wszystko, delektując się i słuchając jej głosu. Pewnie częstowała go jeszcze herbatą albo kawą zbożową z mlekiem. Tak, zazdrościłam Jaśkowi minut spędzonych w tym domu. Wypowiedzianych przez babkę słów.

Dwanaście pudeł. Moim zdaniem trochę przesadziła.

Przytaszczyłam do salonu choinkę od Jaśka i wetknęłam pień w stojak, który również znalazłam na strychu. Rozłożyłam gałązki i zaciągnęłam się przyjemnym, intensywnym jodłowym zapachem. Jak to było? Najpierw lampki? Miałam nadzieję, że przy pierwszej próbie nie zrobi się zwarcie.

Cisza w domu nagle zaczęła mi doskwierać i sięgnęłam po telefon, by odtworzyć z YouTube’a jakiś świąteczny hit. Babka nie lubiła świątecznych hitów, zawsze powtarzała, że koszmarnie trywializują i komercjalizują Boże Narodzenie. Zgadzałam się z nią. Nasza wspólna niechęć nie obejmowała Binga Crosby’ego i Franka Sinatry, więc teraz zdecydowałam się na *Let It Snow*. Babcia nie powinna być zirytowana.

Odłożyłam bombkę z Linzem na bok i wyjmowałam inne, oglądałam je uważnie, a później wieszałam na gałązkach. Niestety – nie znalazłam na nich żadnych wskazówek co do dalszych poszukiwań. Albo nie umiałam ich zauważyć.

Wreszcie przysunęłam sobie pudło, które zniosłam ze strychu jako ostatnie, i odsunęłam wieko. W środku nie było bombek. Usiadłam na podłodze i czułam, jak coraz szybciej bije mi serce. Chciała, żebym to właśnie pudło wyciągnęła na samym końcu. Tkwiło głęboko pod różnymi gratami, nie na tyle dobrze ukryte, bym nie mogła go znaleźć, ale nie na tyle widoczne, bym zajrzała do niego w pierwszej kolejności. Oczywiście nie mogła tego w stu procentach przewidzieć, ale zrobiła wszystko, bym się musiała trochę napracować.

W pudełku leżały płyty winylowe i wycinki z prasy. Muzyka klasyczna. Bach, Beethoven, Chopin, Mozart, Pachelbel, Liszt, Lutosławski, Moniuszko, Clara Schumann i kompozytorzy niegdyś sławni, a obecnie mniej znani, między innymi Friedrich Kalkbrenner. Przypomniałam sobie, jak babka słuchała kiedyś etiudy szóstej Kalkbrennera z opusu sto czterdziestego trzeciego. Powiedziała wtedy, że choć owszem, woli Chopina,

a Kalkbrenner „zadzierał nosa i uważał, że jest nie wiadomo kim”, to jednak trochę przykro wpisać teraz w Google’a jego nazwisko. Na pewno Kalkbrenner widzi, co wyskakuje w wyszukiwarce jako pierwsze, i jest mu smutno. Zrobiło mi się wtedy głupio, bo szczerze mówiąc, nigdy nie wpisywałam Kalkbrennera w wyszukiwarce, choć kiedy jeszcze marzyłam o karierze pianistki, grywałam również jego utwory, zwłaszcza tę etiudę. Uważałam, że jest naprawdę piękna, nawet jeśli owszem, nie był to Chopin. Usiadłam wtedy do komputera – internet w telefonie nie był jeszcze zjawiskiem powszechnym i komórek nadal używało się głównie do dzwonienia oraz esemesów – i wklepałam nieszczęsnego Kalkbrennera w Google’a. Wyskoczyły wyniki i jako pierwsze zobaczyłam nazwisko Paula Kalkbrennera, współczesnego kompozytora muzyki elektronicznej. Jako drugie – nazwisko Ryana Kalkbrennera, koszykarza. Jako trzeci wyświetlił się Fritz Kalkbrenner, producent muzyczny, brat Paula. Dopiero wpisane razem imię i nazwisko – Friedrich Kalkbrenner – prowadziło do informacji o dziewiętnastowiecznym muzyku. Babka dodała wtedy jeszcze, że nie wiadomo, co lepsze: odnosić sukcesy za życia i być niemal zapomnianym po śmierci czy też za życia nieustannie i z różnym skutkiem walczyć o uznanie, przetykać niepowodzenia i frustracje, ale po śmierci cieszyć się niegasnącą sławą przez kolejne stulecia. „Jeśli oni faktycznie gdzieś tu są – powiedziała – jeśli widzą, to chyba lepsze jednak to drugie”.

Rozłożyłam płyty na podłodze i obejrzałam okładki. Chodziło tylko o wspomnienia i pasję? O to, że babka kochała muzykę – że kochała ją tak naprawdę – i chciała mi o tym powiedzieć? A może próbowała przeprosić za opowieść, której nie podarowała mnie, lecz Jaśkowi? Może mówiła mi w ten sposób, że marzyła, by wszystkie te wycinki z prasy, o koncertach, sukcesach pianistów, festiwalach i nagrodach, dotyczyły jej?

Zajrzałam jeszcze raz do pudła i wyjęłam resztę papierów. Wśród nich była kolejna koperta. Kiedy ją otworzyłam, zaschło mi w gardle. To nie była nowa rzecz. Pożółkły papier, lekko przetarty na zagięciach, jak gdyby ktoś często go rozkładał. Wyblakły atrament. Drobne pismo, trudne do odczytania, ale bardzo eleganckie, ten ktoś na pewno pilnie uczył się kaligrafii. I nie była to moja babka. Pismo mojej babki wszyscy zawsze określali jako „lekarskie”, nawet jeśli bardzo się starała. Poza tym... tekst był napisany po niemiecku.

Zamknęłam YouTube’a i nagle zapadła głucha cisza. Na choince wesoło migają lampki, zupełnie niestosownie do sytuacji, bombki równie radośnie połyskiwały w świetle, ubrane drzewko w ogóle wydawało się takie piękne, usatysfakcjonowane tym, że dokonało się jego przeznaczenie.

Spojrzałam na kartki. Znałam niemiecki. Ale w tej chwili chyba wołałabym nie znać.

ROZDZIAŁ 13

Soča jest błękitna. Czasem zielonkawa, w głębszych miejscach, ale głównie błękitna. Przejrzysta. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego koloru w naturze ani nawet na obrazach, nie, w ogóle nie widziałem takiego koloru. A sądziłem, że widziałem już wszystkie. Być może Soča była dla mnie zbyt czysta i piękna. Piękna takim pięknem, że człowiek przystaje, by się zachwycić. Pięknem, którego nie trzeba się doszukiwać w rzeczach brzydkich i strasznych i które nie budzi wątpliwości. Soča oślepiła. Aż się chciało do niej wskoczyć, poczuć chłód na skórze, zobaczyć swoje własne ciało w tej zachwycająco czystej wodzie. Niewinnej wodzie. Soča wciąż była czysta i niewinna, mimo czerni i czerwieni dookoła, mimo brudu, potu, bólu, zakażonych ran i odstrzelonych głów. Odstrzelonych głów i zakażonych ran, a nie śmierci. Soča na pewno widziała wcześniej śmierć, bo śmierć jest tak samo stara i wieczna jak natura, tyle że silniejsza od niej. Ludzie mogą zniszczyć naturę, ale na pewno nie mogą zniszczyć śmierci.

Kiedyś chciałem ukazywać niewidzialne zagrożenie, labirynt bez wyjścia, który istnieje tylko w ludzkiej głowie, meandry szaleństwa, panikę bez wyraźnego i widocznego powodu, strach, który przychodzi nocą, kiedy człowiek spodziewa się zjaw i straszdeł i widzi je, naprawdę je widzi, tak wyraźnie, że można ich dotknąć i doświadczyć chłodu przenikającego przez skórę i kości. Ale to jest w środku – sądziłem, że najgorsze rzeczy, najgorsze lęki, najgorsze grzechy, najgorsze widoki człowiek ma w środku. Że to coś ze środka nie może wyjść na zewnątrz, bo jeśli wyjdzie, wszystko zginie. Ludzkość trwa, bo najstraszniejsze rzeczy ze środka pojedynczych ludzi trzymają się wewnątrz. Ale to się zmienia, kiedy pęka granica, kiedy można. Dlatego nad Sočą zachodzi słońce, na czerwono, jak czerwona jest krew, która barwi błękitną wodę. Aż chce się krzyknąć, by tę wodę zostawić, niech dalej będzie taka czysta i niewinna, ale nie, każde miejsce jest dobre, by zabić.

Otoczają nas skały i góry, stopy krwawią od butów, ręce krwawią od broni, oczy krwawią od patrzenia. Piekło nie istnieje gdzieś poza życiem. Piekło jest tu.

To pustkowie. Pustkowie z ostrymi krawędziami i strużką wody. To niebo nad nami i dużo skał. Góry są wysokie, choć czasem, z odległości, wcale tak nie wyglądają, zdają się niegroźne i przyjazne, sugerują, że można się na nie łatwo wspiąć, a później podziwiać widoki. Ale nie, kiedy już docierasz bliżej, wcale takie nie są. Czasem od długiego marszu pieką kolana, tak bardzo pieką, że zaczyna się o nich myśleć, ciągle tylko o kolanach, a potem o stopach, palcach nabrzmiałych od pęcherzy, które pękają w butach. Człowiek nigdy nie czuł bardziej swojego ciała, nie był świadomy, że je ma. Nie myślał o nim. O tym, że może odpadać. Rozkładać się. Śmierć może być wiecznym szukaniem i wieczną tęsknotą, wiecznym lękiem, że się nie znajdzie tego czegoś, czego szukamy. A nawet nie wiemy, co to jest. Po prostu oblewa nas strach. I płyniemy przez pustkowie. Przez ciszę i ciemność. Nasze ciało chudnie i odpada. Wędrujemy dalej i okazuje się, że wcale nie jesteśmy sami. Widzimy drzewa, suche i o nagich gałęziach, na tle trupiej poświaty. A na gałęziach także siedzą trupy, zbite w grupki, jak ptaki. Skulone, ze stopami wczepionymi w korę jak gdyby to były szpony. Dużo trupów w czarnych łachmanach, z nagimi czaszkami i pustymi oczodołami, wypatrujących nie wiadomo czego, nieszczęśliwych.

Idziemy, walczymy i zabijamy, widzimy skały, widzimy Socę, widzimy krew, widzimy śmierć, widzimy duchy na drzewach, po takim przejściu zawsze są jakieś duchy na drzewach, zmarli, których życie wcale nie miało skończyć się tutaj. To nie są strachy ze środka człowieka, z zakamarków czyjegoś umysłu. To prawdziwe zjawy, bo zjawy zawsze są prawdziwe. Ludzie nie odchodzą, ludzie wędrują przez pustkowie i siedzą na drzewach, i wyją, wyją, że jeszcze nie chcą, nie są gotowi, a Soča niech dalej będzie błękitna, czysta i niewinna.

Może duchom gra Kalkbrenner? To musi być niemiecki muzyk, dobry niemiecki muzyk. Może Kalkbrennera gra im człowiek przy pianinie, w pokoju z zegarem i dużym kwiatem w żółtej donicy? Przez okno wpada nietoperz. Wzbudza wiatr skrzydłami. Zjawy nasłuchują.

Mówią, że wygraliśmy.

Na tamtych spadła trująca chmura i zaczęli się dusić, kaszleć, łzawić i uciekać. Trująca chmura miała całkiem konkretne właściwości, co jako student chemii dobrze wiedziałem. Ester trichlorometylowy kwasu chloromrówkowego. Naukowa nazwa dla śmiercionośnego obłoku, który zamienia ludzi w zjawy, bardzo mało senna nazwa, mało baśniowa, nie jak ze strasznej opowieści czytanej tym, co lubią się bać. Brzmi jak coś ze zwykłego świata, nad czym pracuje się przy mikroskopie.

Myślimy, że wygraliśmy całą wojnę, ale nie. Tylko bitwę.

ROZDZIAŁ 14

Słów nie było wcale dużo. Dwie kartki zapisane jednostronnie. Przeczytałam to wszystko dwa razy i z nadmiaru emocji nie mogłam wstać z podłogi. Ciało stężało. Czułam, jak robi mi się zimno i jak zaciska się moje gardło. Jeszcze raz spojrzałam w tekst.

Soča. Socza. Rzeka. Przepływa przez Włochy i Słowenię. Włoska nazwa to... Isonzo. Autor tekstu jej nie użył, pisał o Soczy, może dlatego, że nazwa Isonzo jest bardziej rozpoznawalna. Choć to zależy dla kogo. Widziałam wyraźnie, że to nie jest żaden list, raczej fragment dziwnego pamiętnika, luźna impresja. I na dodatek spisana dość dawno temu, sądząc po papierze. Może jeszcze przed drugą wojną. Babka trzymała w domu trochę papierów sprzed wojny, świadectwo ze szkoły powszechnej, jakiś dyplom. Niektóre zachowały się w lepszym stanie niż te zapiski.

Zdołałam wreszcie podnieść się z podłogi i zaczęłam chodzić po pokoju. Isonzo. Ten człowiek pisał o pierwszej wojnie światowej, o bitwach nad Isonzo. Nie musiałam nawet odpalać Wikipedii, by to wiedzieć, dobrze orientowałam się w historii. Dwanaście bitew w dolinie rzeki Isonzo, oddziały włoskie walczyły z oddziałami Austro-Węgier. Toczone je ze średnim powodzeniem, dopiero dwunasta coś rozstrzygnęła, bo wspierające austriacką ofensywę oddziały niemieckie użyły gazu bojowego. Był to ester trichlorometylowy kwasu chloromrówkowego. Difosgen. Autor tekstu wiedział to jako student chemii. Student chemii wysłany na front pierwszej wojny nad Isonzo, Niemiec. Albo Austriak. Czy to był ten chłopak, który tutaj mieszkał, ten syn, który nie wrócił? Jednak przeżył? Przyjechał tutaj, znał moją babkę i... I co? Związał się z nią? Był moim dziadkiem? Miała przecież to zdjęcie na tle jeziora podpisane po niemiecku. Dlaczego jednak zjawił się tu po tej drugiej wojnie, kiedy ziemie były już polskie? Dlaczego nie wrócił po pierwszej, kiedy dom wciąż należał do jego rodziny, kiedy wszyscy tutaj czekali na niego z utęsknieniem, a później oplakiwali jego śmierć? Jeśli przeżył, komu... komu odstrzelono głowę?

Pisał o zjawie sunącej przez pustkowie. Ta opowieść współgrała z opowieścią mojej babki, która także mówiła o pustkowie i zjawie. Ale on wspominał jeszcze o trupach na drzewie. Które siedzą na gałęziach jak ptaki. Coś mi to przypominało.

Chciałam sięgnąć po telefon i powpisywać różne hasła w wyszukiwarce, ale mój wzrok zatrzymał się na winylowej płycie z utworami Kalkbrennera. To nazwisko też padło w tekście. Kalkbrennera gra im człowiek przy pianinie, w pokoju z dużym oknem, kwiatem w donicy i zegarem. Do pokoju wpada nietoperz. Już o tym czytałam. To była jedna z opowieści babci, człowiek siedzi przy pianinie i gra, a do pokoju wpada nietoperz.

F. chce jej powiedzieć o tamtym pokoju, w którym on też kiedyś grał, o czerwonym dywanie, dużym oknie, zegarze z wahadłem i kwiecie w doniczce. Widzi ten obraz wyraźnie przed oczami, a wtedy dziewczyna nagle się uśmiecha i mówi, że wie, zna to, również widziała.

Obraz. Nietoperz i pianista, duchy na drzewie, pustkowie i zjawa.

Zawahałam się nad płytą Kalkbrennera, ale sięgnęłam po telefon. Wpisałam w wyszukiwarce najpierw „duchy na drzewie”. Komórka prawie wypadła mi z ręki, kiedy zobaczyłam wyniki. To było proste. Za proste. Przełączyłam na grafikę. Na pierwszym miejscu pojawił się obraz Franza Sedlacka *Gespenter auf dem Baum*. Duchy na drzewie. Zaczęłam przeglądać inne jego obrazy i dla odmiany zrobiło mi się gorąco. Były tu. Pianista z nietoperzem – *Lied in der Dämmerung*, piosenka o zmierzchu. Zjawa nad pustkowie – *Gespenter mit Wegweiser*, duch z drogowskazem. Duchów i zjaw unoszących się nad jałowym krajobrazem było zresztą u Sedlacka więcej. Dalej – na wielu blogach poświęconych sztuce i portalach społecznościowych również przypisywano Sedlackowi autorstwo obrazu *Incantation*, zaklęcie. Szkicu właściwie, przedstawiającego przerażonego człowieka na skraju lasu, który spogląda w górę na straszliwą zjawę o pustych oczodołach. Pierwsza opowieść babki była o tym. Ale po obejrzeniu kilku obrazów Sedlacka widziałam wyraźnie, że to nie jest jego ręką. Zjawy nad lasem nie namalował Sedlacek.

Dlaczego wcześniej na to nie wpadłam? Co z moją artystyczną edukacją, studiami na ASP, wiedzą z historii sztuki? Nie musiałam być specjalistką od wszystkiego, ale przecież powinnam to skojarzyć.

Wybrałam numer Tomka i od razu włączyła się poczta głosowa. Zaklęłam pod nosem, a potem ponownie uruchomiłam wyszukiwarce. Po namyśle porzuciłam jednak telefon i otworzyłam laptop. Ściągnęłam z internetu grafikę z wizerunkiem zjawy i przerzuciłam się na wyszukiwanie obrazem. I wreszcie

go znalazłam. Anton Machek, grafik. Potomek barokowego malarza Antonína Machka. Pierwotnie śpiewak. Pracował w Deutsche Oper w Pradze. Stracił głos. Zmuszony zrezygnować z kariery muzycznej podjął pracę jako rysownik. Nie mógł utrzymać się z tego zajęcia, zatrudnił się więc w miejskim urzędzie personalnym. Pozostawił niemal siedemset rysunków. Zmarł w 1944 w Salzburgu.

Nie rozumiałam, skąd w tak czytelnych odniesieniach do twórczości Sedlacka w opowieściach mojej babki -nagle wziął się Machek. Odsunęłam ten temat na chwilę i poszukałam informacji na temat życia Sedlacka. W oczy rzuciły mi się trzy sprawy. Po pierwsze – Sedlacek był chemikiem. Po drugie – służył na froncie pierwszej wojny światowej i brał udział w bitwach nad Isonzo. Po trzecie – po dojściu nazistów do władzy złożył podanie o akces do NSDAP, a po wybuchu drugiej wojny służył w Wehrmachcie. Wysłano go do Norwegii, a później na wschód – do Stalingradu, następnie do Polski, gdzie zaginął w 1945, po obronie Torunia. Dopiero w 1972 uznano go za zmarłego.

Ciszę przerwało pukanie do drzwi.

*

– Wiem, o co chodzi z tymi tekstami!

Tomek wtoczył się do sieni i wciągnął za sobą walizkę. Dość dużą.

– Mhm – odparłam i zamknęłam za nim drzwi. – Franz Sedlacek.

Ramiona mu oklapły.

– Już wiesz?

– Babka zostawiła mi dość czytelne wskazówki. Herbaty?

– Z miodem i cytryną.

– Co tu właściwie robisz? Miałeś przyjechać za pięć dni.

– Rozumiem, że jestem niemile widziany, bo masz tu tyle zajęć...

– Żebyś wiedział, zniosłam ze strychu dwanaście pudeł i ubrałam choinkę. Jesteś wkurzony, bo Sedlacek nie jest dla mnie odkryciem? Zostało jeszcze mnóstwo rzeczy do wyjaśnienia, więc zdążysz się wykazać.

Poszliśmy do kuchni i zajęłam się parzeniem herbaty, a Tomek wypakowywał na stół bakalie, skórę pomarańczy, cukier, mąkę i jeszcze jakieś rzeczy, którym nie zdążyłam się dobrze przyjrzeć.

– Pomyślałem, że jak tu tak będziemy siedzieć, to możemy upiec piernik – wyjaśnił w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie. – Wziąłem wolne. W ostatnim tygodniu przed feriami świątecznymi już i tak nikomu nic się nie chce. I nie jestem aż takim sadystą, żeby wtedy robić jakieś kolokwium.

– A nasz klient, ten z Siedlec, od babki, która...

– Już załatwiony, to było proste. Większość elementów tego drzewa już ty sama odtworzyłaś, wystarczyło jeszcze tylko odszukać kilka grobów.

– I znalazłeś te groby? W Siedlcach?

– Podzwoniłem, powysyłałem maile i dostałem namiary na kwatery, sami sobie pojadą.

– Rozumiem.

– Nie wyglądasz na przekonaną.

– Zastanawiam się, o co naprawdę chodzi. Jeśli wzięłeś wolne, to znaczy, że masz ważny powód. I nie są to moje osobiste niewątpliwe wdzięki.

Tomek wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Myślę, że...

– Chyba wiem, co chcesz powiedzieć. Poczekaj minutę.

Pobiegłam do swojej sypialni i wróciłam ze szkicownikiem z szuflady dziadka. Położyłam go na stole przed Tomkiem, a on momentalnie zbladł.

– Kami! W realu wyglądają jeszcze lepiej niż na zdjęciach. To są szkice Sedlacka!

– Albo ktoś miał podobny styl.

Tomek ostrożnie przekładał kartki.

– Musiałby mieć bardzo podobny ten styl – mruknął.

– Sedlacek był na tyle dziwnym artystą, że przypisuje się mu autorstwo różnych dziwnych obrazów, których wcale nie namalował. Na przykład *Zakłęcie*, które narysował...

– Anton Machek. Widzę, że naprawdę się tu nie nudziłaś.

– W ogóle.

Kartkował dalej szkicownik i widziałam, że lekko drżą mu ręce. Pokrótce zrelacjonowałam, co znalazłam w domu babki. Powiedziałam też o wizycie Jaśka, a Tomek uniósł jedną brew.

– I tak od razu ze wszystkiego ci się zwierzył?

– Myślał, że babka sama mi powiedziała i już to wiem, a on tylko powtarza po niej.

– Ten szkicownik... Jeśli należał do Sedlacka, teraz będzie na pewno sporo wart.

– Sedlacek miał dzieci. Dwie córki. Ma potomków, więc ten szkicownik tak naprawdę należy do nich.

Rodzina przedstawia go jako człowieka mało zaangażowanego politycznie, niechętnie mówią o tym Wehrmachcie.

– Dziwisz się?

– Nie. W zasadzie do Wehrmachtu trafiali nie tylko ci naprawdę zindoktrynowani, wielu chłopaków nie miało wyboru i musiało iść walczyć za Hitlera. Ale Sedlacek sam chciał wstąpić do NSDAP.

– A jako młodzieniec lubił rysować antysemickie grafiki. Tylko nie wiadomo, co się z nim działo po drugiej wojnie. Czy naprawdę zginął.

Tomek spojrzał mi w oczy, a ja usiadłam naprzeciwko niego.

– Chcesz mi powiedzieć, że mógł być moim dziadkiem, tak? Franz Sedlacek, najbardziej szalony malarz na świecie?

– A nie przyszło ci to do głowy?

– Przyszło. Ale czuję, że nim nie był. Że chodzi tu o coś zupełnie innego. Tylko nie wiem o co.

*

Zjedliśmy kanapki i zaparzyłam jeszcze jeden dzbanek herbaty, który zabraliśmy do salonu. Tomek stanął w progu i gwizdnął.

– Choinka? Nie żartowałaś.

– Mówiłam ci, że Jasiak przyniósł.

Ustawiłam dzbanek na stoliku i pomyślałam, że cały dzień zleciał mi na picciu herbatek w czyimś towarzystwie. Ale przynajmniej czegoś się dowiedziałam, nawet jeśli pytań było wciąż więcej niż odpowiedzi.

– Pójdziemy jutro do tutejszego księdza? – odezwał się, kiedy Tomek podszedł do choinki i zaczął się przyglądać aniołkowi ze szkła.

– Obawiam się, że ślubu katolickiego nie da się tak szybko załatwić, trzeba by chodzić na nauki przedmałżeńskie, analizować kalendarzyk twojego cyklu, a potem iść do spowiedzi i wyznać, że generalnie już uprawialiśmy seks i bardzo żałujemy. Czysta hipokryzja, jeśli chcesz znać moje zdanie. Kto tego tak naprawdę żałuje?

– Co? – zapytałam w osłupieniu.

– W skrócie chodzi mi o to, że jeśli chcesz szybko załatwić ślub, to w kościele się nie da, lepiej iść do urzędu.

– Jaki ślub, do cholery?

– A po co ci ksiądz? Chodzi o kolejny pogrzeb? Ktoś umarł?

Potrząsnęłam głową i opadłam na fotel.

– Nigdy ze sobą nie spaliśmy – powiedziałam słabo.

– Prawdopodobnie to poważny błąd, ale nie nalegam.

Rzuciłam w niego serwetką. Poczułam się nagle dużo spokojniejsza i odetchnęłam głębiej. Cieszyłam się, że przyjechał. W domu nie panowała już taka ciężka, głucha cisza, która wyostrzała każdy szmer i stuknięcie i której nie miałam potrzeby przerwać teraz sztucznie jakimś YouTube'em. Tomek generował wiele dźwięków i nie musiałam już gadać do siebie. Nie popatrywałam też ciągle w okno i nie szukałam dziwnych cieni.

Opowiedziałam mu o śladach przy furtce na tyłach domu.

– Wiesz, to mógł być ktoś przypadkowy, chyba ludzie łążą po tej wsi non stop?

– Tak, łążą, ale niekoniecznie akurat tam. Babka mówiła...

Zawahałam się. Wiedziałam, że to, co zamierzałam powiedzieć, zabrzmiało bardzo głupio.

– Co mówiła? – Tomek zamieszał herbatę i przysunął sobie ciastka. – Jak twoja babka, to na pewno coś ciekawego.

Wsunął całe ciastko do ust i zaczął je przeżuwać. Był tak normalny, tak swojski i swobodny, tak bardzo związany z całym moim życiem, ze światem, który dobrze znałam. Zrobiło mi się dziwnie, jak gdybym nagle poczuła wzruszenie, bez konkretnego powodu, na samą tylko myśl, że cieszę się tym, co mam.

– Nie śmieję się...

– Tego nie mogę ci obiecać, śmiech to zdrowie.

Przewróciłam oczami.

– Babka mówiła, że...

– Słuchaj, ja wiem, że ścieżka za tą furtką prowadzi do jeziorka. Do TEGO jeziorka. Jeśli więc to dla ciebie trudny temat, naprawdę nie musisz mówić.

Przygryzłam wargę. Odkąd opowiedziałam Tomkowi historię o utonięciu Adama, temat został w pewien sposób zamknięty. Tomek o nic nie dopytywał, nie wyciągał szczegółów. Nadal prawdopodobnie czuł się zawiedziony, że nie powiedziałam mu wcześniej, ale nie drażył tej kwestii. Zastanawiałam się, czy naprawdę chodzi tu o mnie i moje ewentualne uczucia, czy też może chodzi o niego samego. O to, że po prostu trudno mu się rozmawia o tej sprawie.

– Nie, nie w tym rzecz. Babka mówiła o czymś innym, a furtka była tu jeszcze dawniej, długo przed... wypadkiem. Ona sama korzystała z niej często, cała nasza rodzina też, Adam, kiedy tu przyjeżdżał, i kilka moich koleżanek, które parę razy zaprosiłam. Korzystali z niej też czasem ci, którzy przyjeżdżali do babki z innych miejscowości, współpracownicy, klienci, znajomi i tak dalej. Jeśli akurat było im tamtędy wygodniej wyjść. No i Wiolka, ale ona w zasadzie również nie jest stąd, nawet jeśli wszystkich zna i bywa tu często. Nigdy natomiast nie korzystali z niej miejscowi. Nie wchodzili tamtędy na podwórko, nie spacerowali tamtą ścieżką, nie przechodzili przez zagajnik. Jeśli wybierali się nad jezioro, to zawsze inną drogą. Ale przeważnie się tam po prostu nie wybierali. Jezioro nigdy nie było we wsi szczególnie lubiane.

– Chcesz mi powiedzieć, że rzecz się rozбивa o jakieś duchy? – Tomek uśmiechnął się i wpakował sobie do ust kolejne ciastko.

– Wiedziałam, że będziesz sobie robił jaja...

– Kami, znam cię od dziesięciu lat i nasłuchiwałem się już tyłu historii o twoich klientach od nagrobków, którzy widzieli duchy, rozmawiali z nieżyjącymi przodkami i tak dalej, i tak dalej, że nie śmiem robić sobie jaj. Powiesz mi w końcu, o co chodzi?

– Babka wspomniała mi kiedyś o tym, o czym mówili ludzie we wsi. Sama ją zapytałam. Widzisz, ja nigdy nie próbowałam się tu z nikim integrować, nie zaprzyjaźniałam się z dziećmi, za bardzo nawet nie chodziłam na spacer. Jeśli już, to do sklepu. Do sklepu chodziło się po te rzeczy, których babka nie umiała zrobić sama, czyli na przykład po jakieś lizaki albo batonika, jeśli człowieka mocno przycisnęła ochota. Do piekarni bardzo rzadko, tylko wtedy, gdy babka miała dużo pracy i nie zdążyła upiec chleba. Zamiast więc paradować po wsi, wołałam łązić po polach i po lesie, nie za głęboko, bo zawsze bałam się w pojedynkę wchodzić głęboko między drzewa. Babka powtarzała, że do lasu trzeba mieć szacunek, bo jak się nie ma, to można nie wyjść. Nie wiedziałam, czy wystarczająco szanuję las, i wołałam nie ryzykować. Ale ścieżka do zagajnika, jezioro? Tam czułam się bezpiecznie. Czułam się normalnie. Pomiędzy drzewami, w oddali, widać było cały czas dom babki, nie było to więc nawet jakieś straszne odludzie. Jedynie za jeziorem, z jednej strony, zaczynała się gęstwina, na tyle dzika i nieujarzmiona, że przez cały czas było tam ciemno. Nikt nie wykarczował żadnej ścieżki. Ale ostatecznie dostęp do tego miejsca jakiś na pewno był, tylko człowiek się musiał przedrzeć przez chaszczę. Mnie się nigdy nie chciało. Babka mówiła, że to miejsce jak każde inne, że we wszystkich lasach są takie gęste, ciemne łąty. Różne zwierzęta sobie tam mieszkają. Wystarczyło mi takie tłumaczenie.

– Nie wierzę – wtrącił się Tomek.

– Wtedy wystarczyło – powtórzyłam. – Chciałam grać na fortepianie. Być muzykiem. Tajemnice z przeszłości, wnikanie w cudze życiorysy – to przyszło nieco później. Wtedy, gdy babka mówiła o ciemnym fragmencie lasu, byłam oczywiście zaciekawiona, ale nie należałam do tych dzieciaków, które wciąż czekają na swoją wielką tajemniczą przygodę życia i chłoną opowieści o nawiedzonych miejscach. Zresztą babka wcale nie mówiła o nawiedzonym miejscu, była najbardziej racjonalną, pragmatyczną osobą, jaką znałam. Nawet jeśli ponoć słyszała głosy ludzi, którzy tu mieszkali. Nie sądzę, by słyszała je naprawdę. To na pewno metafora.

– A dlaczego ją zapytałaś o to miejsce?

– Po pierwsze często je widywałam, więc w końcu sama z siebie musiałam zapytać. Po drugie... kiedyś spotkałam jedną panią, tutejszą. Szłam przez pole, gryzłam jakąś trawę, myślałam chyba o fudze Bacha, a jeśli nie o Bachu, to na pewno o jakiejś sonacie Mozarta, bo to był czas, gdy uwielbiałam grać jego sonaty. Przywitałam się grzecznie, a ona przystanęła i złapała mnie lekko za ramię. „Nie chodź tamtędy – powiedziała. – To niebezpieczne”. I poszła. Mogła mieć na myśli cokolwiek, ale ja czułam, że chodzi o ścieżkę, zagajnik, jezioro i chaszczę. Zagadnęłam więc babkę, a ona cmoknęła z bardzo dużym niezadowoleniem. „Ach, ten zabobonny lud. Oni myślą, że tam straszy”. Zdębiałam, ale też poczułam się trochę rozbawiona, bo faktycznie ja sama nie wierzyłam w duchy.

– Wtedy.

– Teraz też nie chodzi o to, że w nie wierzę, tylko po prostu...

– Nie wykluczasz, że istnieją. Kontynuuj.

– Tamta pani była starsza, mniej więcej w wieku babki. Jej pokolenie mówiło ponoć o jakimś... widmie, które krążyło nocą po lesie. I że to duch Niemca z domu babki, którego zamordowali Sowieci. Z tego domu.

– To możliwe. Nie, że duch krążył po lesie, ale że jakiegoś Niemca zamordowali Sowieci. To się raczej działo. Dość często.

– Tak, ale nie jestem pewna, czy rzeczywiście zadziało się tutaj. Babka... o tym nie wspominała. O tych ludziach. Tylko Wiołce, że ich tu słyszy, tę rodzinę. Mówiła o chłopaku z okopów, o rodzicach, o porzuconej narzeczonej, o kimś, kto utopił się w jezioro...

– Dość dużo materiału na posępne duchy.

– Może i tak, ale tu była konkretna historia, niektórzy we wsi wierzyli, że w lesie mieszka duch Niemca zamordowanego przez Sowieców. Babka nie powiedziała, że to się wydarzyło, ale tak mówiono. Jej pokolenie, urodzone przed wojną, to, które musiało się przenieść na obcą ziemię i zacząć tu nowe życie. Powtórzyła mi te słowa i zamknęła temat. W ogóle nie wydawała się poruszona. Byłam pewna, że uważa to za głupoty. Ja też zapomniałam o tej historii aż do momentu, w którym... zginął Adam. Siedziałam wtedy na strychu przez dwa dni. A potem, kiedy wreszcie zesłam, rodzice chcieli mnie zabrać do domu. Wsiadając do auta, zobaczyłam ją. Tę starszą panią. Stała w oddali i tylko na mnie patrzyła. Jakby chciała mi powiedzieć, że mnie ostrzegęła.

– I tak po prostu odjechałaś? Nigdy nie próbowałaś z nią porozmawiać?

– Odciełam ten temat, mówiłam ci. Przestałam nawet grać. A zresztą, kiedy wróciłam do babki w lecie, ta kobieta już nie żyła, zmarła wiosną. Mieszkała sama, nie miała rodziny. Ale w jakimś sensie posłuchałam jej, bo nigdy więcej nie poszłam już do lasu tą drogą, zawsze omijałam ścieżkę i zagajnik, wybierałam inną trasę, bliżej wsi. Po śmierci Adama odciełam się i od muzyki, i od jeziora. Nigdy jednak nie wiązałam jego wypadku i swojego zachowania z tamtą kobietą, raczej nie chciałam chodzić do miejsca, gdzie po raz ostatni byliśmy razem. Nie chciałam być tam sama, bez niego.

– Rozumiem – powiedział krótko i chrząknął. – A nie próbowałaś sprawdzić tej historii z Niemcem i Sowiecami?

– Jakoś nie. Sprawdzałam babcię i nie odkryłam niczego w jej życiorysie. Sprawdzałam dziadka i nie odkryłam niczego w ogóle, nawet jego samego. A tę historię jakoś sobie odpuściłam, sądziłam, że nie ma znaczenia.

– Dlaczego chcesz porozmawiać z księdzem?

– Żeby zapytać o księgi parafialne. Może zachowały się przedwojenne.

– A bazy danych? PRADZIAD? Geneteka? Archiwum Państwowe? Próbowałaś wyszukiwarkę...

– Tomek. Nie próbowałam. Wiem to wszystko. Mog-libyśmy przepuścić tę miejscowość i ten adres przez różne nasze sitka. Ale nie zaszkodzi zajrzeć do kancelarii, prawda? Podejrzewam, że coś się tam znajdzie, a może ksiądz też lubi zbierać miejscowe plotki...

– Te o duchach zwłaszcza.

– Skąd wiesz, że nie? Niemiec zabity przez Sowieców to jedno. Chciałabym dowiedzieć się czegoś o chłopaku, który tu mieszkał. O ile jakiś chłopak faktycznie tu mieszkał. Ten, co poszedł na wojnę i nie wrócił.

– Nie wierzysz, że zginął?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia...

– Podsumowując, ślady przy furtce wydały ci się podejrzane, bo we wsi ludzie nie lubią tej ścieżki?

– Tak.

– Nie chcę być nieuprzejmy...

– Wiem. Nie każdy jest zabobonny i ktoś po prostu mógł tamtędy iść. Ale one wyglądały dziwnie. Jak gdyby ktoś dreptał w miejscu.

– I patrzył na dom?

– Tak.

– To faktycznie dziwne.

Napiłam się herbaty, która zdążyła już ostygnąć, i spojrzałam na puste pudła po ozdobach choinkowych. Przy jednym wciąż leżały płyty winylowe.

– Cholera – mruknęłam.

Kucnęłam przy płytach i wybrałam jedną, z utworami Kalkbrennera. Miałam sprawdzić ją wcześniej, ale przerwał mi Tomek i zapomniałam. Niemiecki tekst, który teraz oglądał – oglądał, a nie czytał, bo nie znał niemieckiego – wspomina o Kalkbrennerze. Widma również słuchają Kalkbrennera. Przyjrzałam się uważniej opakowaniu płyty.

– Jeśli to naprawdę napisał Sedlacek – odezwał się Tomek – to jest to...

– Na pewno trochę warte, wiem, ale...

Urwałam i wyjęłam płytę z opakowania. Była gładka, lśniąca, prawie jak nowa. Tomek cicho gwizdnął.

– Te winyle to też niezła kolekcja.

– Mhm...

Obejrzałam puste opakowanie. Od wewnątrz była do niego przyklejona koperta. Oczywiście. Odkleiłam ją delikatnie i otworzyłam. W środku był kolejny tekst. Tym razem nie miałam wątpliwości, że napisała go moja babka.

ROZDZIAŁ 15

Nie tak dawno temu i wcale nie tak daleko stąd żyła dziewczyna, która niby była młoda, ale tak naprawdę zawsze trochę stara. Są pewne warunki, które czynią ludzi starymi, na przykład ciągle martwienie się o to, czy będzie co zjeść na kolację. Albo czy – jeśli akurat jest zima – będzie węgiel. Bo jeśli nie ma węgla, rano pod nosem zamarzają człowiekowi smarki. I jeszcze buty, z butami dziewczyna również miała problem. Od kilku lat nosiła te same, dostała je na dwunaste urodziny, ale od tego czasu stopy jeszcze urosły i teraz trzeba było podwijać palce, które wieczorem robiły się sine. Przez dziury w podeszwach wpadała woda i błoto. Na nowe nie było pieniędzy.

Dziewczyna nie żyła w złym miejscu, choć tak się o nim czasem mówiło, że to złe miejsce, że to „dół”. Człowiek z „dołu” miał w życiu ciężiej niż człowiek z „góry”. Mógł oczywiście marzyć, owszem. Widział tamten inny świat, kryształowe żyrandole przez duże szyby, wysokie regały z książkami, rośliny w dużych donicach, pianina. Wiedziało się, że w tamtym świecie można robić różne rzeczy, jedne dla własnego rozwoju, inne tylko dla przyjemności. Że chodzi się czasem na bale i ma się piękne suknie, a także długie białe rękawiczki. Potańcówki, na które ona sama niekiedy chodziła, były zupełnie inne, chłopcy ciąg--le sobie odbijali dziewczyny, a dziewczyny nie mogły odmówić, nie mogli odmówić też chłopcy, którzy akurat tańczyli z dziewczynami, takie były zasady, jeśli ktoś ich nie przestrzegał, wracał do domu z obitym pyskiem. Czula zmęczenie tańcami, choć na inne zabawy nie mogła liczyć. Tylko to ciągle odbijanie, raz ten, raz tamten, jak gdyby była piłką, którą między sobą przerzucają. Przestała przychodzić.

Matka dziewczyny była bardzo chora. Całymi dniami leżała w łóżku, a ręce i nogi miała wykręcone jak gałęzie stuletniego drzewa. Dziewczyna musiała ją poić i karmić, ale robiła to bez pretensji, bo przecież matka też kiedyś karmiła ją i poila. Należało się odwdziaczyć. Ojciec pił. Dziewczyna i o to nie miała pretensji, prawie wszyscy ojcowie pili, trudno było znaleźć takiego, co nie pił. Praca w fabryce była bardzo wyczerpująca, całe dnie, bez niedzieli, to samo. I ten brak nadziei. Wieczne poczucie niższości. Wódka pomagała. Dziewczyna wiedziała, że choruje nie tylko ciało, a kiedy choruje duch, mało kto zna lekarstwo. Wódka pomagała choremu, a jednocześnie szkodziła pozostałym. Dziewczyna myślała, że może tak powinno być i trzeba się dla ojca poświęcić. Dzięki wódce przynajmniej on nie czuje bólu i lęku. Przez chwilę. W życiu być może chodzi tylko o chwilę.

Dziewczyna dobrze gotowała i myślała, że może kiedyś jakoś będzie na tym zarabiać. Niewiele, tyle, by starczyło. Często patrzyła na tych, którzy mieli za dużo, raz widziała nawet, jak jedna piękna dama, wysiadając z taksówki, upuściła rękawiczki w błoto. Skrzywiła się z obrzydzeniem i nie podniosła ich. Dziewczyna więc odczekała chwilę, a później chwyciła rękawiczki i rzuciła się w gąszcz ulic, co najmniej jak gdyby je ukradła. A przecież tamta dama ich nie chciała. W domu wyczyściła je starannie, następnego dnia sprzedała. Za otrzymane pieniądze cała rodzina długo się mogła żywić. Dziewczynie wydawało się, że jest trochę tak, jak gdyby tamta dama wyrzuciła w błoto ich jedzenie, jedzenie dla biednych ludzi. Niegodne, by je podnieść z błota.

Matka wystękała pewnego dnia, że dziewczyna powinna iść do szkoły zawodowej, uczyć się na krawcową. Potem szybko znajdzie pracę i będzie trochę lżej w domu. Dziewczyna nie protestowała, nigdy nie protestowała. Poszła do szkoły, uczyła się, chodziła na praktyki. A od czasu do czasu przechadzała się w górę, do lepszej części miasta, gdzie dawała się pochłonąć kolorom, neonom, dźwiękom i ruchowi, wiecznemu ruchowi. Damy w pięknych pantoflach i cieniutkich pończoszkach mijały zawszonych bezdomnych i był to widok niemal zwykły, naturalna kolej rzeczy, jedni mają cienkie pończoszki, inni wszy. Chyba inaczej nie może być na świecie. Dziewczyna przechadzała się po mieście i oglądała, chłonęła, słuchała.

I było razu pewnego to okno, otwarte na oścież, w piękną wiosenną pogodę. Płynęła stamtąd muzyka. Piękna muzyka. Dziewczyna umiała to ocenić. Kiedy sama śpiewała, też zawsze wiedziała, że robi to dobrze. Muzyka płynęła, a dziewczyna zaczęła płakać. Nie mogła odejść spod tego okna, nie mogła zrobić kroku, płakała podwójnie na myśl o krokach, bo kroki oznaczały oddalanie się, oznaczały, że być może już nigdy czegoś takiego nie usłyszy. Ale musiała iść. Czekala matka. Ojciec na pewno nie wlał w nią zupy, na pewno pił. To był jej obowiązek karmić i poić matkę, obowiązek córki.

Wróciła tam, pod okno. Czekala, aż dźwięki znowu popłyną. Przychodziła odtąd, ilekroć mogła, chociaż na chwilę. Raz przyuważył ją dozorca kamienicy, chciał przegonić, czego tu szuka, zaczął, ale ona spojrzala

blagalnie i przyłożyła palec do ust. Ciiii. Umilkł. Złagodniał. Nic już więcej nie powiedział i pozwolił jej zostać.

Ta muzyka coś w dziewczynie zmieniała. Kiedy jej słuchała, czuła się inna, czuła się nowa. Jak gdyby dopiero się narodziła. Jak gdyby wcześniej nie żyła prawdziwym życiem, takim życiem, jakie się czuje w każdym nerwie. Teraz otwierała się przed nią wielka przestrzeń wypełniona nieznanym pięknem. Otwierała się opowieść bez słów, ale porywająca, chwytająca za serce tak mocno, że doświadczało się bólu, tęsknoty, smutku i jednocześnie radości, euforii, miłości do całego świata i wszystkich ludzi. Dziewczyna czuła, że w środku cała się trzęsie, że dłużej tego nie udźwignie. To tak jak wtedy, gdy idzie burza. Człowiek czuje drżenie ziemi, czuje zastygające powietrze, widzi błyski na niebie, ale jeszcze nie huczą pioruny. Nie wiedziała, gdzie ma pomieścić wszystkie te wrażenia.

Pewnego dnia przyszła znowu pod okno. Zaczynała się jesień, było zimno, siekł deszcz, ale dziewczyna i tak zamierzała słuchać. Bez słuchania nie było już życia. Wyjrzał dozorca i zawołał ją, myślała, że chce może pożyczyć parasol albo powiedzieć jej, by schowała się pod dachem do momentu, gdy „panienka” nie zacznie grać. Ale nie, on nic takiego nie powiedział. Był smutny. Mówił coś, jakieś słowa, ale nie od razu zrozumiała. „Panienska chora”. „Płuca”. „Do szpitala wzięli”. Pod dziewczyną ugięły się nogi.

Przyszła znowu. Pytała o „panienkę”. „Nic nowego nie wiadomo”. „Nic nowego”. „Mówią, że przestała jeść”. „Mówią, że lepiej”. „Mówią, że gorzej”.

„Nie żyje”.

Nie żyje. Dziewczyna nie wiedziała nawet, jak wyglądała ta „panienka”. „Panienska” była dla niej muzyką. Czyli było tak, jak gdyby umarła muzyka.

Patrzyła z daleka na żalobny kondukt i myślała o ostatniej drodze, o wszystkich tych modlitwach i pieśniach, które nie mogą przecież nieść pocieszenia. „Anielski orszak niech twą duszę...” Za trumną szła zapłakana matka, z kościoła na cmentarz. Niektórzy wsiadali do czarnych lśniących samochodów, ale ona nie, ona szła.

Dziewczyna skierowała się później do Łazienek i długo tam siedziała. Wiedziała, że źle robi, powinna wrócić do matki. Ale ciążył jej smutek. Może nawet bała się, że sama umarła. Ktoś się do niej dosiadł, ktoś równie smutny, równie mocno czymś przytłoczony. Mężczyzna. Może czterdziestoletni. Miał niezwykle oczy, tak ciemne, że zacierała się granica między źrenicą a tęczówką. Włosy kręcone, dość długie, czarne z nitkami siwizny. Uśmiechnął się smutno i zapytał, czy dziewczyna kogoś straciła, a ona od razu odparła, że tak. „To widać. Widać koło ciebie tę śmierć. Ale możesz przywołać ją z powrotem”. „Panienskę? Zza grobu?” Skinął głową. Zawsze można kogoś przywołać. Są różne sposoby. Nie powiedział jakie, ale wciąż smutno się uśmiechał. „Sama znajdziesz sposób”. Jak miała sama go znaleźć? „Daleka droga przed tobą, dziewczyno, ale czuję, że jeszcze kiedyś się spotkamy”. Odszedł, a dziewczyna poczłapała do domu i nakarmiła matkę.

Mężczyzna miał rację. Dziewczyna przywołała panienskę. Dzięki pamięci, dzięki melodiom przechowywanym pod skórą jak najcenniejszy skarb. Rzeczywiście czekała ją długa wędrówka. Była po drodze śmierć rozwarstwiona, śmierć wielokrotna, globalna, potężna. Widziała jej wiele. Wciąż ją widziała. Różne śmierci. Czasem bez żadnych śpiewów, bez modłów i słów, bez odprowadzania i płaczu, bez ceremonii, otoczki, rytuału. Dziewczyna szła przed siebie, a śmierć jakoś schodziła jej z drogi. Jeszcze nie teraz, myślała. Jeszcze nie przyszedł mój czas. Pewnego dnia w dalekim kraju usłyszała dźwięki. Te same dźwięki, rozpoznała je. Dźwięki „panienki”. Zapytała, co to za melodia. Śmiali się z tego pytania, mówili, że ma zbierać kartofle i nie myśleć, bo od myślenia są inni. Nie pytała więcej, ale znalazła sposób, by się dowiedzieć. Raz trzeba było w piecu napalić, przyszła z wiaderkiem węgla i zobaczyła nuty na stole. Beethoven. Pachelbel. Mozart. Kalkbrenner. Sami niemieccy kompozytorzy, ale głęboko pod spodem także Chopin. Chopin ukryty, nielegalny. Zapamiętała nazwiska.

Wiele lat później zadbała o to, by mieć tę muzykę w domu. Słuchała jej prawie codziennie. I tak, mężczyzna miał rację. Przywołała ją, „panienkę”. Wiedziała, że ona gdzieś tu jest, obok, że przebiera palcami, że wciąż przepływają przez nią dźwięki. Przywołała ją z powrotem. Nie zapomniała.

I jeszcze w jednym się nie mylił. Znowu się spotkali.

ROZDZIAŁ 16

Dawniej śmierć zawsze była wydarzeniem społecznym. W znaczący sposób wpływała na życie rodziny albo całej grupy, przeobrażała przestrzeń, wymuszała zmianę zachowania, wyglądu i ubioru. Zmarły nie znikał tak po prostu. Jego nieobecność była wyraźnie wyczuwalna. Nieobecność lub też fakt, że istnieje dalej, ale w inny sposób.

Właśnie tak to czułam. Że babka istnieje, ale w inny sposób. Istnieje bardziej nawet niż kiedyś. Jest mocniejsza i wyraźniejsza, mówi do mnie, chce mi coś przekazać. Tomek zapytał wczoraj, dlaczego zostawiła na swój temat taką, a nie inną opowieść, dlaczego niczego nie napisała wprost, tylko ujęła wszystko w konwencję baśni. Dla mnie to było jasne. Babcia umiała opowiadać tylko baśnie. Zawsze wymyślała je sama, prawdopodobnie zainspirowana czymś, o czym ja nie miałam pojęcia. Ale były to baśnie, nie „historie z jej życia”. Nigdzie nie padało jej imię ani w ogóle żadne konkretne imię, ewentualnie przydomek, przezwisko lub pierwsza litera. Jak „F.” w jej opowieściach o upiorze nad lasem i zjawie na pustkowiu. F. Franz? Franz Sedlacek? Naprowadziła mnie na niego i miała jakiś powód, którego wciąż nie znałam. Ale było właśnie tak, że ona nadal – również teraz – opowiadała baśnie. Jak za życia. Można było podejmować próby interpretacji, szukać powiązań z realnym światem, stawiać pytania o pierwowzory bohaterów. Ona jednak nie musiała odpowiadać. Mogła utrzymywać, że opowieść nie ma związku z rzeczywistością, a bohaterów od początku do końca wymyśliła sama.

Wiedziałam jednak, że historia o dziewczynie, która uczyła się na krawcową i słuchała gry „panienki”, naprawdę miała związek z rzeczywistością. Odkryłam już wcześniej, że babka mieszkała na Czerniakowie, była biedna i podczas wojny została sierotą. O tym, że chodziła pod tamto okno słuchać pianina, powiedział mi Jasiek. Odnalazłam w Warszawie groby pradziadka i prababki, ich akty chrztów i zgonów, adres, ślad zatrudnienia mojego pradziadka w jednej z ówczesnych fabryk. W datach, papierach i na nagrobkach nie było jednak informacji o tym, że prababka chorowała i nie wstawiała z łóżka, a pradziadek pił. Nie było informacji o tym, że ich córka nigdy nie miała do nikogo pretensji. Że lubiła gotować i śpiewać, kochała muzykę, szwendała się po mieście i rozmawiała z tamtym dozorcą o „panience”. Że widziała tamten pogrzeb i spotkała tajemniczego mężczyznę w Łazienkach.

On faktycznie miał rację, można przywołać zmarłego. Patrzyć na jego zdjęcia, dotykać ubrań, słuchać głosu na nagraniach, jeść jego ulubione potrawy, powtarzać ulubione powiedzonka. Wspominać. Ożywić go poprzez muzykę, którą grał. Te płyty były symbolami. Dla ludzkości Chopin i Mozart nigdy nie umarli. Dla mojej babki nigdy nie umarła tamta „panienka”. Ale co z człowiekiem z Łazienek? Skąd wiedział, że jeszcze się spotkają? I gdzie to nastąpiło? Przed wojną czy już po?

Wczoraj wieczorem po przeczytaniu tekstu babki chciałam od razu dalej szukać. Bo przecież coś musiało tu jeszcze być, w tym dziwnym domu, być może coś było tu zawsze, te wszystkie rzeczy, listy, opowieści, szkicownik i fragment niemieckiego pamiętnika. Tomek skłonił mnie jednak do tego, by zrobić sobie przerwę. Zaproponował, abyśmy upiekli ten piernik, ale ja poprosiłam go, by przyniósł z komórki orzechówkę babki. Postawiłam na stoliku małe kryształowe kieliszki, kupione specjalnie do jej nalewek. Zawsze tkwiły w widocznym miejscu na półce przeszklonego kredensu. W dzieciństwie lubiłam przyciskać nos do tej szyby i patrzeć. Były tam małe szklaneczki ze rżniętego szkła, kryształowe kieliszki, pięćdziesiątki do wódki, duże kieliszki do wina, zestaw malutkich, pięknie malowanych filiżanek i srebrna cukiernica. Babka pozwalała mi przyciskać nos do szyby, ale później wręczała płyn i ściereczkę i kazała „wyczyścić ze szkła tę małą paszczę”. Czyściłam bez protestu. Babka zawsze się przy tym uśmiechała.

Tomek przyniósł orzechówkę i w milczącym porozumieniu wypiliśmy całą butelkę. Nie miałam siły analizować razem z nim tekstu babki, wiedziałam, że on i tak wszystko rozumie. Czułam się zmęczona i sfrustrowana. Żałowałam, że babcia nie zdobyła się na rozmowę ze mną. Żyła sto lat. Miała naprawdę sporo czasu, by znaleźć odwagę. Pomyślałam jednak o tym, co mi zostawiła. O pierwszym nagraniu, tekstach. Sięgnęłam po opowieść o dziewczynie i „panience” i zerknęłam na papier. Był stary. Żadna kartka w kratkę czy w linię, wyrwana z zeszytu. Po prostu czysty, pożółkły, dość gruby arkusz. Zrozumiałam, że ona pracowała nad tym już od dawna. Nie umiała ze mną rozmawiać, ale wiedziała, co chce mi zostawić. Opracowała cały plan i myślała nad nim długo. Urządziła wszystko tak, bym nie mogła wprost zadawać jej pytań. Bym nie czekała na odpowiedzi, lecz poszukała ich sama.

*

Tomek mieszał w rondlu i nucił pod nosem *Do They Know It's Christmas*. Zauważyłam, że na komodzie pod ścianą stoi wazon ze świeżymi gałązkami świerka. Z dzbanka parowała kawa, a z koszyka na pieczywo wyglądały świeże wielkie bułki. Dochodziła dziesiąta. Nie pamiętałam, kiedy ostatnim razem tak długo spałam, i poczułam się jak na wagarach. Ziewnęłam przeciągle i poprawiłam wielki rozpinany sweter, który służył mi zamiast szlafroka.

– Kawy sobie nalej, bo ja teraz nie mogę odejść od rondla.

– Jajecznica?

Kiwnął głową. Tomek nie uznawał jajeczniczy smażonej na patelni, twierdził, że jest za sucha i w ogóle beznadziejna. Uważnie przestudiował programy Gordona Ramsaya i nauczył się przyrządzać ją w rondlu. Trwało to dłużej, ale jajecznica faktycznie była lepsza. Tomek zawsze nad nią cmokał i powtarzał: „*so tender, so soft*”, co było chyba cytatem z kulinarnego – i dość wrednego – guru. Do tego obowiązkowo pomidory w plastrach oprószone solą i pieczywo ze świeżym masłem. Aż zazdrościłam wszystkim jego dziewczynom tych śniadań. Tomek twierdził, że „wszystkim” było sporym wyolbrzymieniem, bo jego kulinarny talent doceniły tylko dwie. Inne były na diecie, a on nie potrafił przyrządzać dietetycznego jedzenia. Uważał wręcz, że nie istnieje coś takiego jak „dietetyczna jajecznica”. Zarówno ja, jak i Tomek gotowaliśmy bardzo dobrze, ale on naprawdę to lubił. Dla mnie gotowanie było czymś prozaicznym i koniecznym, stojącym w jednym szeregu z praniem i sprzątaniem.

– Lepiej się czujesz? – zapytał Tomek i zaczął przekładać jajecznicę z rondla na talerze.

– Psychiczenie czy fizycznie? Fizycznie to głowa mnie boli.

– Wiem, że kiedy kładłem się spać, poszłaś do komórki po drugą orzechówkę.

Milczałam.

– Mam tylko nadzieję, że nie wypitaś całej.

Zerknęłam na półkę z ozdobnymi glinianymi dzbankami, a spojrzenie Tomka powędrowało w ślad za moim. Nie wiedziałam, dlaczego postawiłam butelkę akurat tam. Orzechówki zostało naprawdę niewiele.

– Świetnie – powiedział.

– To dla mnie trudny czas – bąknęłam.

– No pewnie. Najedz się przynajmniej.

Postawił przede mną talerz, a ja poczułam, jak z głodu skręca mi się żołądek.

– Dziękuję.

– Dzwoniłem do kancelarii parafialnej.

Pospiesznie przeżułam kęs bułki, a Tomek usiadł naprzeciwko mnie i leniwie sięgnął po masło. Był z siebie bardzo zadowolony.

– I co? – zapytałam. – Powiedziałeś im coś głupiego?

– Że chcemy się wypowiedzieć z seksu? Nie.

Bez sensu było drać to dalej. Czekałam, aż sam powie.

Tomek wyjątkowo wolno kładł sobie na talerzu plasterki pomidora, potem smarował bułkę masłem, później przysunął sobie kubek z kawą...

– Wystygnie ci jajecznica! Gordon Ramsay na pewno sądzi, że należy jeść ją na ciepło – syknęłam.

Uśmiechnął się.

– To jest dość stary ksiądz – powiedział.

– Mhm. To źle?

– W tym wypadku to bardzo dobrze. Nieźle się znali z twoją babką. Często się z nim kłóciła. Potrafiła mu powiedzieć, że kazanie było głupie, bo trudno od ludzi oczekiwać, by w dwudziestym pierwszym wieku żyli jak w średniowieczu. Przypomniała mu, że obiecał z pieniędzy parafialnych wybrukować ścieżkę dookoła kościoła, wyremontować dzwonnice, posłać jakiś obraz do konserwatora i wstawić nowe ławki, bo na starych strach siedzieć, tak się gibią. Bardzo go pilnowała, by się wywiązał ze wszystkich obietnic. Na przykład wpadała niby to z dzemami i serem, a już od progu wypominała, że z takimi ławkami się nie da, że dzwonnica to się niedługo zawali, a już przypomina wieżę w Pizie, że kiedy pada deszcz, to się błoto robi i nie ma jak przejść do kościoła, no chyba że ksiądz, zamiast wybrukować ścieżkę, będzie po parafianki wychodził i im pod nogi kładł swoje płaszcze, jak robiono przed Elżbietą I.

- Jednym słowem – mruknęłam – babka była wrzodem na dupie.
 - Lubił ją.
 - Jasne. O zmarłych albo dobrze, albo wcale.
 - Nie o to chodzi. Naprawdę ją lubił.
 - Jak to możliwe?
 - Poprosił, żebyśmy idąc do niego, kupili mu po drodze czerwone marlboro. Zapasy mu się skończyły, a zawsze uzupełnia we Wrocławiu, tylko teraz akurat nie ma kiedy pojechać, bo święta idą, roraty są, ludzie przychodzą się hurtem spowiadać. A we wsi nie kupuje, bo potem jest gadanie.
 - Aha?
 - Ma dużo starych papierów, księgi parafialne sprzed wojny i ogólnie dużo wie o tej wsi. Tym razem to ja się uśmiechnęłam.
- *

Na plebanię szliśmy pieszo mimo minusowej temperatury i gęsto sypiącego śniegu. Tomek uznał, że nie będziemy się błądzić, jadąc niecały kilometr samochodem, a poza tym trzeba obserwować otoczenie. Nie dało się jednak obserwować otoczenia, bo śnieg sprawiał, że posuwaliśmy się do przodu zgięci w pół i w zasadzie z zamkniętymi oczami. W którymś momencie Tomek wciągnął mnie do sklepu i przypomniał, że przecież obiecaliśmy księdzu marlboro.

– Ty obiecałeś – mruknęłam, otrzępując kaptur.

Tomek podszedł do kasy, a ja przebiegłam wzrokiem po półkach. Jeśli faktycznie miałam piec piernik, to przydałaby się jeszcze jakaś sensowna przyprawa korzenna. Zamierzałam jej poszukać, ale Tomek skutecznie mnie zdekoncentrował, gromkim głosem prosząc o pięćdziesiąt paczek czerwonego marlboro.

– Ile? – zapytała sklepikarka.

– Pięćdziesiąt.

– Dla dzieci pan hurtem kupuje? Z tej wsi i wszystkich dookoła? Jak panu nie wstyd tak młodzież demoralizować?!

Zamarłam. Moim zdaniem nic by się nie stało, gdyby Tomek był bardziej dyskretny.

– Ale dla jakich dzieci, przecież ja nic...

– A pani? Pani jest wnuczką Matyldy? I ładnie tak się po kątach chować? Zawsze się chowała, jakby była lepsza od nas wszystkich. Babka też taka zawsze osobno, ale chociaż pracę ludziom dawała i nie udawała, że niby więcej warta.

Zrobiło mi się zimno, a za chwilę upiornie gorąco. Walczyłam ze sobą przez kilka sekund, po czym podeszłam do lady. Sklepkikarka wyprostowała się i wypięła pierś.

– Zastanawiające – syknęłam – że osoba, którą pierwszy raz w życiu widzę na oczy, ma tyle do powiedzenia na mój temat. Babcia nigdy o pani nie wspominała, w przeciwnym razie z pewnością zawiadomiłabym o pogrzebie i stypie. Było stąd kilka pań.

Kobieta zbladła i zmrużyła oczy.

– Ja się nie naprzykrzam tam, gdzie mnie nie chcą – rzuciła.

– I słusznie – odparłam.

– Jak tak można było ją we Wrocławiu chować, jakby tutaj domu nie miała...

– We Wrocławiu mieszka cała jej rodzina i jest łatwiej doglądać grobu, to było jej życzenie, o czym wiedziałyby pani, gdybyście naprawdę były ze sobą blisko. Ale widocznie nie byliście. I to nie pani sprawa.

Sklepkikarka zbladła jeszcze bardziej, a Tomek nieznacznie pokręcił głową. Wiedziałam, co powie, jak tylko stąd wyjdziemy. Że miał wszystko pod kontrolą, a ja przez swój brak wycucia i dyplomacji schrzaniłam sprawę.

– Kamila?

Głos rozbrzmiał za moimi plecami, o ile zdążyłam się zorientować, gdzieś spod regału z barszczami instant. Odwróciłam się powoli.

– Cześć, Jasiu.

– Jakiś problem jest?

– Nie, skąd.

– Ja tylko twierdzę, że skoro jej babka mieszkała tu przez tyle lat, to ona nie powinna się przed ludźmi

chować.

– Myślę, Anetko, że Kamila się nie chowa, tylko nie czuje potrzeby się integrować. Chyba w dzisiejszych czasach...

– No tak, gdzieżbym śmiała krytykować, co ja tam wiem o dzisiejszych czasach, jestem wsiową babą, nie to co wy.

Przeniosłam wzrok na „Anetkę”. Chrząknęłam i lekko szturchnęłam Tomka łokciem.

– To jest mój przyjaciel, Tomasz Stern. A to Jan...

Urwałam. Zapomniałam, jak miał na nazwisko.

– Żabczyński. Jan Żabczyński. – Wyciągnął rękę do Tomka.

– Tak – powiedziałam. – My już z Tomkiem musimy iść, jesteście umówieni.

Tomek odwrócił się na powrót w stronę sklepikarki.

– To ja poproszę te pięćdziesiąt paczek marlboro.

– Pięćdziesięciu nie ma – rzuciła Anetka, nawet nie sprawdzając.

– No to dwadzieścia pięć. Najwyżej okoliczne dzieciaki spalą po pół na łebka.

Tomek wręczył mi siatkę z fajkami i włożył rękawiczki.

– Nie chcesz mi powiedzieć, że miałeś wszystko pod kontrolą? – nie wytrzymałam.

– A po co? Przecież to i tak bez sensu. Zastanawiam się raczej, o co jej chodziło. Dość młoda i dość ładna kobieta, a zrzędzi jak... I bardzo demonstracyjnie się zachowywała. Jak gdyby chciała, żebyś koniecznie zwróciła na nią uwagę.

– Zamierzałaś powiedzieć, że zrzędzi jak stara baba? Wiesz, że nie lubię, kiedy wiekowi stereotypowo przypisuje się...

– Znowu się zaczyna, tak, wiem, nie lubisz stereotypów związanych z wiekiem i rolami społecznymi, i jeszcze...

– Chciałaś też powiedzieć, że nie jest to matrona w wieku mojej babki, która poczuła się urażona tym, że wnuczka zmarłej znajomej nie przyszła do niej złożyć wyrazów szacunku, więc nie powinna robić szopki, bo młodzi ludzie mają w nosie takie rzeczy.

Tomek ciężko westchnął.

– Coś w tym stylu.

– Po prostu wyskoczyłeś z zamówieniem, jakbyś się szykował na kontrabandę.

Zatrzymał się i zabrał mi siatkę z fajkami.

Ruszyłam przed siebie, ale Tomek złapał mnie za rękę.

– Czy między tobą i tym Jaśkiem coś...

– Rozmawialiśmy raz w życiu i wyżarł mi ostatnie maślane ciastka. Idziemy? Ksiądz czeka na papierosy.

ROZDZIAŁ 17

Kiedy przechodziliśmy przez teren kościoła na plebanię, rzuciła mi się w oczy wybrukowana ścieżka i nagle zachciało mi się płakać. Poczułam się trochę tak, jak gdyby babka osobiście kładła te kamienie. Mogła mi coś powiedzieć. Cokolwiek. Mogła mnie zabrać na awanturę do księdza, a później wszyscy razem spalilibyśmy w tajnym miejscu fajkę pokoju. Zerknęłam jeszcze w górę, na dzwonicę, ale przez wirujące wielkie płatki śniegu niczego nie byłam w stanie dostrzec.

Tomek zadzwonił do drzwi, które po chwili otworzyła sympatycznie wyglądająca starsza pani.

– Pochwalony – odezwał się niepewnie.

– Szczęść Boże, proszę, tędy.

Poprowadziła nas do kancelarii i zaproponowała coś do picia.

– Ja poproszę herbatkę, jeśli to nie kłopot, a koleżanka dzisiaj mało spała, więc pewnie kawki by się napiła.

Uśmiechnął się szeroko, a starsza pani kiwnęła głową.

– O, jest ksiądz proboszcz.

Do kancelarii wszedł siwy mały pan z brodą Gandalfa. Wyglądał bardziej na popa niż katolickiego księdza, ale nie można się przecież sugerować warunkami zewnętrznymi. Przywitał się z nami pospiesznie, po czym wychylił głowę i sprawdził, czy gospodyni oddaliła się na wystarczającą odległość.

– Dało radę załatwić?

Tomek z porozumiewawczym mrugnięciem wyciągnął siatkę, którą przed wejściem na plebanię przezornie ukrył pod kurtką. Księdzu zaświeciły się oczy. Ponownie wyjrzał z kancelarii, po czym sprawnym ruchem wyjął jedną paczkę i wetknął sobie do kieszeni sutanny, a resztę szybko schował do zamykanej na klucz szafeczki.

– Przepraszę państwa na minutkę – powiedział i gdzieś się ulotnił.

Tomek usiadł na krześle i splótł ramiona.

– Ksiądz poszedł puścić dymka w kiblu.

Tak, pomyślałam. I kryje się z tym przed gospodynią.

Miła starsza pani wróciła z tacą i postawiła przed nami filiżanki. Minutę później w kancelarii ponownie pojawił się ksiądz. Niestety zapach, który za sobą przywlekl, nie pozostawiał wątpliwości. Gospodyni wyprostowała się gwałtownie i uniosła pustą tacę. Naprawdę myślałam przez chwilę, że przyłoży ją proboszczowi. Nieszczęsny Gandalf przestąpił z nogi na nogę.

– Bóg zapłać, pani Lucynko – powiedział nieśmiało.

– Proszę księdza! Przecież ksiądz obiecał! Lekarz kazał! I kto księdzu dostarczył... – Pani Lucynka bezbłędnie zastosowała mechanizm dedukcji i rzuciła wrogie spojrzenie Tomkowi. – Niech się pan wstydzi! Tak ludzi na złą drogę sprowadzać!

Już drugi raz uznano dziś Tomka za złowieszczego dilerę, który demoralizuje niewinne duszyczki. Rozsiadłam się w fotelu. Nagle zaczęłam się tutaj całkiem dobrze bawić.

Ksiądz Gandalf z namaszczeniem przewracał strony jednej z ksiąg. „Liber baptizatorum”. „Księga ochrzczonych”. Zachowała się w dość dobrym stanie, podobno dlatego, że mało kto do niej zaglądał, odkąd pani Lucynka wprowadziła większość danych do tabelki w Excelu. Pani Lucynka była najwidoczniej nie tylko gospodynią i moralnym drogowskazem, lecz także świetnie zorganizowaną sekretarką. Ksiądz zapytał, czy chcemy obejrzeć tabelkę, czy może księgę, bo ludzie mają różne upodobania, ale on by polecał jednak księgę. Kiedy ją otworzył, wymieniliśmy z Tomkiem znaczące spojrzenia. Gandalf włożył bawełniane rękawiczki i zachowywał się z najwyższą ostrożnością. Obchodził się z księgą tak, jak się powinno, mimo wszystko miałam ochotę wygłosić uwagę, że przydałyby się jakieś zabiegi konserwatorskie, by ją zabezpieczyć. Była bardzo stara, papier cienki i kruchy, pismo gdzieś tam wyblakłe. Tomek na pewno cierpiał na ten widok jeszcze bardziej niż ja, miał fioła na punkcie starych ksiąg, starych obrazów i starych mebli, a ja tylko na punkcie starych nagrobków. Uważał oczywiście, że sztuka jest jak wino, nabiera wartości z wiekiem, ale i wino trzeba umiejętnie zabezpieczyć i przechowywać.

– Nigdy ksiądz nie myślał, by przekazać tę księgę do archiwum diecezjalnego? – nie wytrzymał.

Gandalf zupełnie go zignorował. Zmarszczył brwi i pochylił się nad jedną stroną. Mamrotał coś pod

nosem i cmokał.

– To była niemiecka wieś – odezwałam się nieśmiało, bo bałam się wyrwać go z zamyślenia. Uznałam jednak, że jeśli nie zapytam od razu, później o tym zapomnę. – Czy w takim razie ten kościół nie był kościołem ewangelickim?

Proboszcz spojrział na mnie nieprzytomnie, jak gdyby się zastanawiał, kim w ogóle jestem i czego chcę. Potrząsnął głową.

– Tu były dwa kościoły. Babka nigdy ci nie mówiła? A sama nie sprawdzałaś? Ewangelicki Ruscy zburzyli. Potem ludzie powywozili gruz, a z cegieł, które się zachowały, pobudowali sobie komórki. Twoja babka też ma komórkę z kamieni pokościelnych. Aż dziwne, że nie wspominała.

Zrobiło mi się głupio i przykro. Przykro, bo była to kolejna rzecz, o której babka ze mną nie rozmawiała. Głupio, bo nigdy nie pytałam i – właśnie – nie sprawdziłam sama. Nawet później, kiedy interesowałam się historią, nie zaciekawiałam się dziejami tej wsi. A przecież ciekawiłam się dziejami wielu wsi. Zwłaszcza tych dolnośląskich. Jeździłam po okolicy, szukałam ruin, śladów tego, co zapomniane. Może babka czekała na tę chwilę, kiedy zacznę szukać i tutaj. Może to jednak moja wina, że zdecydowała się zostawić mi swoje opowieści dopiero po śmierci.

– A ci ludzie – zaczęłam znowu – którzy mieszkali wcześniej w domu babki, jak rozumiem, byli katolikami?

Nie odpowiedział. Widocznie pewne rzeczy były już dla niego od dawna oczywiste i dla mnie też powinny być.

– O tu, jest! – zawołał.

Wskazał środek strony. Pochyliłam się i spojrzałam mu przez ramię.

W tym czasie ksiądz sięgnął po dwie inne książki i zaczął je delikatnie przeglądać. „Liber matrimoniorum” i „Liber mortuorum”. „Księga zaślubionych” i „Księga zmarłych”.

Ponownie spojrzałam na stronę, którą wskazał. Dokument był oczywiście sporządzony po niemiecku i na dodatek spisany bardzo nieczytelnym pismem pełnym zawijasów. Udało mi się jednak wyciągnąć z niego najważniejsze informacje.

Rolf Heckmann, urodzony i ochrzczony w 1900, ojciec Steffen Heckmann, matka Alma *de domo* Neumayer. Z tych samych rodziców córka Ann-Katrin Heckmann, urodzona i ochrzczona w 1897. Steffen Heckmann, urodzony i ochrzczony w 1875, ojciec Thomas Heckmann, matka Birgit *de domo* Luft. Thomas Heckmann, urodzony i ochrzczony w 1840, ojciec Noah Ben Heckmann, matka Rachel *de domo* Zimmermann, ochrzczeni w 1838.

Spociłam się z wrażenia i spojrzałam na Gandalfa, który podsunął mi dwie kolejne książki.

Śluby i zgon. „Księga zaślubionych” nie pokazała mi niczego nowego na temat tej rodziny. Przebiegłam wzrokiem po stronie „Księgi zmarłych” i odnalazłam Steffena. Zmarł w 1945. Jego żona Alma w 1940. Dzieci natomiast... Ann-Katrin w 1919. Miała zaledwie dwadzieścia dwa lata. Akt zgonu zawierał podstawowe informacje, dane personalne, świadkowie, dzień i godzina zgonu. 15 kwietnia 1919. Brak informacji o przyczynie.

Przy Rolfie Heckmannie zaś zapisany był rok 1917. Siedemnastolatek. Byłam pewna, że to był właśnie chłopak, który wyruszył na front. Pochyliłam się nad aktem zgonu. Wiedziałam, że już pod koniec dziewiętnastego wieku Niemcy ustalili dokładnie opracowaną procedurę postępowania w wypadku zgonu żołnierza poza terenem stacjonowania jednostki macierzystej, czyli rodzaj zapisywanych informacji i sposób ich przekazywania do właściwego urzędu stanu cywilnego. Błogosławiłam w duchu pruską dokładność. Było tu wszystko, czego potrzebowałam, by potwierdzić swoje przypuszczenia. Chłopak nazywał się Rolf Heckmann, zgadzały się imiona rodziców, jego wiek, adres, wyznanie rzymskokatolickie. I podano również okoliczności śmierci – poległ w rejonie Kobaridu (włoska nazwa: Caporetto) nad rzeką Soczą (Isonzo) w bitwie stoczonej między armią włoską a austro-węgierską i niemiecką.

– Ale czy on naprawdę jest tu pochowany? – zapytałam.

Ksiądz Gandalf uśmiechnął się pod nosem.

– Twoja babka miała rację.

– W związku z czym?

– Że przyjdiesz tu, zażadasz pokazania ksiąg i zadasz dokładnie to pytanie. Powiedziała, że nie wie, kiedy konkretnie to zrobisz, ale na pewno tak się stanie. Oczywiście po jej śmierci, tylko tyle była w stanie

określić.

Zamknęłam oczy. Dla mnie nie było to wcale upiorne, że babka myślała o tym, co się stanie po jej śmierci. Ja sama myślałam nieustannie o różnych sposobach oswojenia śmierci i wyobrażeniach tego, co jest po drugiej stronie. Od wielu lat. Od momentu, w którym straciłam Adama. Ale fakt, że babka tak łatwo przewidziała moje kolejne kroki, kazał mi wyciągnąć wniosek, że ona знаła mnie o wiele lepiej, niż sądziłam. Nie widziałam tego wcześniej. Wielu rzeczy nie widziałam wcześniej i doprowadzało mnie to teraz do szału.

– Czyli? Został tu pochowany? Na pewno tego nie wiadomo. Cmentarza w ogóle już nie ma, są tylko...
– Otworzyłam oczy i gwałtownie zerwałam się z krzesła. – Są tablice pamiątkowe na murze za kościołem! Ksiądz, który objął tę parafię po wojnie, nie zgodził się na zniszczenie i zaoranie niemieckiego cmentarza, wstawił tablicę, w której wykuł napis, że dzięki ludziom, którzy byli tu wcześniej, możemy korzystać z dóbr, które nas otaczają. O! To się nie spodobało...

– Oczywiście, że nie, nikt wtedy nie lubił Niemców – podjął Tomek, a Gandalf potwierdził.

– Niemniej on i tak to zrobił, musiał się zgodzić na likwidację niemieckiego cmentarza i zastąpienie go polskim, ale zadbał o to, by niemieckie tablice nagrobne zostały zdjęte i zawieszono na murze. Ku pamięci. Nie sprawdziłam tam tego chłopaka... Rolf, bo nie wiedziałam, jak się nazywał. Ale nawet jeśli jest tam tablica, to przecież nie ma dowodu...

– Że on tu faktycznie leżał? – wtrącił się ksiądz. – Nie, nie leżał. Grób był tylko symboliczny i zachowała się tablica. Ale on tu nie leżał.

– Ach tak?

– Pewnego dnia jednak przyjechał do jego rodziców jakiś młody mężczyzna, który utrzymywał, że walczył z Rolfem pod Isonzo. Przywiózł jakieś jego pamiątki, które tamten miał przy sobie. Chciał oddać.

– A ksiądz skąd to wie?

Gandalf uśmiechnął się i przeczesał palcami brodę. Sięgnął po szarą teczkę. Flamastrzem ktoś napisał na niej po polsku „Grunty parafialne i zarys cmentarza do 1945”. Ksiądz postukał w tekturę, a potem wręczył mi czyste bawełniane rękawiczki.

– Mam oglądać niemiecką mapę cmentarza? – zapytałam.

Pomyślałam, że to na pewno będzie ciekawe, ale poza numerkami nic nie znajdę. Chyba że był tu jeszcze spis zmarłych. Ale nawet to nic mi nie dawało, bo przecież Gandalf wyraźnie powiedział, że Rolf nie został tu pochowany.

– Mapa jak mapa – powiedział niby od niechcenia. – Ale skoro znasz niemiecki, to z pewnością ucieszą cię notatki księdza.

Żołądek podszedł mi do gardła.

– Notatki księdza? Przedwojennego księdza? Prawdziwego przedwojennego niemieckiego księdza? Pamiętnik...?

– Nie, pamiętnik to za mocne słowo. Kilka kartek. Ksiądz Günter lubił chyba zapisywać sobie różne niecodzienne zjawiska. A to mała wieś. Nie było tu zbyt wielu niecodziennych zjawisk.

Patrzyłam na niego w osłupieniu.

– I te... notatki... dlaczego nie są w jakimś archiwum? Muzeum może?

Ksiądz Gandalf spojrział na mnie z miną niewiniątka.

– Jakoś nie było okazji. Poza tym, gdyby każdy oddawał stare notatki, dzienniki, dokumenty do archiwów i muzeów, to wszystkie te placówki niechybnie utonąłyby pod papierami. No! To ja skoczę na dymka do łazienki, pani Lucynka i tak jest już zła, bardziej nie będzie.

Wyszedł z kancelarii, a ja podniosłam wzrok na Tomka.

– Chyba trochę mi słabo, jak patrzę na te papiery – powiedział. – One muszą...

– Wiem, być odpowiednio zabezpieczone. Ale słyszałaś, jakoś nie było okazji, poza tym gdyby każdy... Zobaczmy, co tu jest.

Otworzyłam teczkę, wyjęłam mapę gruntów parafialnych i cmentarza, a po nich plik kartek. Zerknęłam na pismo. Było w miarę wyraźne, ale i tak trochę się musiałam namęczyć, żeby to odczytać. Przyniosłam krzesło do biurka i rozłożyłam papiery. Tomek stanął za mną i pochylił się tak nisko, że czułam jego oddech na ramieniu.

– Nie wiem, dlaczego oni się kiedyś upierali na te zawijasy – powiedziałam. – No ale dobrze, spróbujmy.

– Mogłem się trochę pouczyć jednak tego niemieckiego. Ale jakoś zawsze wolałem włoski. A nawet łacinę. Podejrzewam, że wszystko wchodziłoby mi lepiej niż niemiecki.

– Ja nie znam włoskiego, musimy się jakoś uzupełniać. Tu jest napisane, że czyjaś krowa przestała dawać mleko i kobieta krzyczała na nią tak głośno, że słyszała cała wieś. Poprosili księdza, by przemówił jej do rozumu. Hm. Dalej. Wybuch pierwszej wojny. „Na pewno maluczkie narody o słabych moralnościach będą się teraz chciały wybić na niepodległość”. To chyba o nas. Dalej. Obyczajowe skandale. Panna w ciąży, ojciec kijem obił. Jakiś mężczyzna wdowę po sąsiedzie zbałamucił, sam żonatym będąc. Syn jednego gospodarza zbyt się interesował młodym parobkiem, o czym cała wieś wiedziała. Jakaś suka urodziła zdeformowane szczenię. Dalej, dalej... O, mam! „Małżeństwo Heckmannów odwiedził młody człowiek. Elegancko ubrany, wysokie czoło, włosy zaczesane do tyłu. Bez dużego bagażu, znać, że nie z dłuższą wizytą. Steffen Heckmann roztrzęsiony później do kościoła przybiegł, modlić się i dziękować za te ostatnie słowa o synu. Młody mężczyzna znał bowiem Rolfa Heckmanna i walczył z nim nad Isonzo. Rolf wykazać się miał odwagą i wzorową postawą na polu walki, a także zachowywał się jak dobry i oddany przyjaciel. Mężczyzna więc odnalazł jego rodziców, by oddać im kieszonkowy zegarek syna i złoty krzyżyk, który ten zawsze nosił na szyi, jak na przykładnego chrześcijanina przystało. Sporządził też ołówkowy portrecik Rolfa, który im podarował. Steffen Heckmann nie mógł dojść do siebie po tej wizycie, długo rozmawiał ze mną i modlił się do Boga za duszę syna. Dobry, porządny katolik. Nie poznać po nim, jakich ma przodków”.

Obróciłam głowę w bok i chciałam spojrzeć na Tomka, ale w tym samym momencie on także spojrział na mnie i nieco się speszyłałam, bo nasze twarze znajdowały się zbyt blisko siebie. Odsunęłam się nieco, a on po chwili także się cofnął.

– Przodków – powiedział w zamyśleniu.

– To proste i oczywiste, wszystko jest w księgach. Pradziadek Rolfa nazywał się Noah Ben Heckmann, a jego prababka Rachel Zimmermann. Ochrzcili się jako do-rośli ludzie.

– Byli Żydami. A ustawy norymberskie...

– Określały czystość rasową do pokolenia trzeciego. Ale, właśnie, chodziło o rasę, nie religię. Dzieci i wnuki konwertytów nadal były dla nazistów Żydami.

– Ale Rolfowi, jak prawnukowi Rachel i Noaha, łatwiej było ukryć to dziedzictwo niż jego ojcu.

– Steffen przeżył jednak prawie całą wojnę. W akcie zgonu figuruje data styczniowa. Styczeń 1945. Nie było tu jeszcze wtedy Sowietów, więc nie mogli go zabić, jak głosi miejscowa legenda.

– A jego duch nie może straszyć w zagajniku.

– Duch może straszyć, tylko zmienia mu się kontekst. Jak więc...

– Otruł się – powiedział ksiądz Gandalf, który w chmurze dymu powrócił do kancelarii. – Tego dowiedział się mój poprzednik, świętej pamięci ksiądz proboszcz Piotrowski. Całą wojnę Steffen uchował się jakoś, myśląc o tym, czy ludzie ze wsi doniosą na niego Gestapo, że jest Żydem. A on czuł się Niemcem. Potem usłyszał o tym, że idą Ruscy, i uznał, że ten świat nie jest już dla niego dobrym miejscem. Dla Niemców był zły jako Żyd, dla Ruskich byłby zły jako Niemiec. Miał dość. Poza tym został sam, więc nie miał motywacji, by się dalej starać.

Przełożyłam kartki i odnalazłam jeszcze jedną wzmiankę o tej rodzinie w zapiskach niemieckiego kapłana.

– „Kolejna tragedia spadła na rodzinę Heckmannów. Dwa lata nie minęły jeszcze od symbolicznego pochówku Rolfa, a tymczasem nieszczęsna dziewczyna, Ann-Katrin, opuszczona przez narzeczonego, który po powrocie z frontu oddał jej słowo i poślubił inną pannę, wypadła z łódki i utonęła w leśnym jeziorze. Nieszczęśliwy wypadek jest tragedią dla jej rodziców i wstrząsem dla całej wsi”.

Odchyliłam się na krześle i musnęłam czubkiem głowy brodę Tomka. Tym razem się nie cofnął.

„Ktoś” utopił się w tym jeziorze, jak powiedziała Wiolka. Teraz już wiedziałam kto. Ann-Katrin, siostra Rolfa. To po niej płakała rodzina i na jej cześć urządzono w domu stypę.

– Podsumowując – powiedziałam powoli. – Rolf Heckmann zginął na froncie pierwszej wojny, Ann-Katrin utonęła w jeziorze, Alma zmarła podczas drugiej wojny, zakładam, że się po prostu rozchorowała, a Steffen się otruł, bo nie widział już sensu życia. To jest ta rodzina. Rodzina, która mieszkała w domu przed moją babką.

Gandalf skinął głową.

– Historia jak z powieści o Hiobie – odezwał się Tomek.

– I do Steffena przyjechał jakiś człowiek. Kolega Rolfa z wojska.

Ksiądz przyglądał mi się chwilę w milczeniu.

– A... rzekomy duch z lasu? Czy ksiądz coś o tym słyszał?

Sięgnął po paczkę marlboro i tym razem nie wychodził do łazienki. Poczęstował nas, a my automatycznie sięgnęliśmy po papierosy, choć żadne z nas nie paliło. Teraz każdy zaciągnął się mocno i wypuścił z ust dym.

– Duch – zaczął Gandalf – miał mieszkać za jeziorkiem. Ale ponoć widywano go czasem i w innych miejscach, w zagajniku koło waszego domu i na ścieżce prowadzącej do tylnej furtki.

Tomek mruknął coś niewyraźnie.

– Babcia i dziadek – zaczęłam ostrożnie – nie mieli ślubu, prawda?

– Nic mi o tym nie wiadomo, by mieli – powiedział ksiądz.

– I dziadek nie jest wymieniony w akcie chrztu mojego ojca. Sprawdziłam rodziców chrzestnych, ale oboje nie żyją, zresztą jak sądzę, babcia poprosiła swoich najbliższych sąsiadów, bo było jej raczej wszystko jedno. Rok czterdziesty szósty, grudzień. Wojna niby się skończyła, ale wciąż siedziała w ludziach, kto by dziewczynie pytania zadawał. Mogły jej się różne rzeczy przytrafić przecież. Zapytałam ją o to kiedyś... czy na pewno była w ciąży z tym człowiekiem, którego uważam za swojego dziadka, a mój ojciec za swojego ojca. I choć szykowałam się już na wymowne milczenie, ona, o dziwo, od razu odpowiedziała, że tak. Wierzyłam jej. Wierzę nadal. Powiedziała to tak dobitnie, pewnie. Tym bardziej więc nie rozumiem, dlaczego dziadka nie ma w żadnych dokumentach. W ogóle nigdzie. I dlaczego odszedł.

– Pewne starsze panie ze wsi, które niestety już nie żyją, twierdziły także, że twoja babcia przyjechała tu najpierw sama – dorzucił Gandalf, gasząc papierosa na spodku od herbaty. – I była już wtedy z małym dzieckiem. Dopiero później pojawił się twój dziadek, który przez cały czas siedział w domu. Jeśli wychodził, to na podwórko, nigdzie indziej.

– Tyle też wiem. To znaczy o dziadku, że nie wychodził. Nie wiedziałam, że przyjechała sama z dzieckiem. Nic już niestety nie rozumiem. Jest jeszcze gorzej niż kilka dni temu, kiedy miałam mniej informacji. Czy to wszystko jakoś się ze sobą wiąże? Historia domu, mojej babci i dziadka? Fakt, że przyjechała sama z małym dzieckiem, może oznaczać dwie rzeczy. Ten człowiek, który pojawił się potem w domu, jednak wcale nie jest moim biologicznym dziadkiem i babcia mnie okłamała. Albo... znali się wcześniej.

Gandalf wzruszył ramionami i sięgnął po kolejnego papierosa. Zaczęłam się martwić, że pani Lucynka z samego rana złoży wymówienie. Tomek położył dłoń na moim ramieniu. Czułam jej ciepło i przyjemny, pokrzepiający ciężar.

– Chyba... chyba już pójdziemy i nie będziemy księdzu zawracać głowy. Ale jeśli ksiądz coś sobie przypomni... cokolwiek... – wydukałam i urwałam.

Chciałam zadać mu więcej pytań, o tę krzywą dzwonnice i brukowaną ścieżkę, o babkę, która wpadała do niego z dzemami, żeby się poawanturować, ale nie umiałam znaleźć słów. Gandalf machnął ręką.

– A nie napijecie się nalewki wiśniowej? Strasznie się nudzę...

ROZDZIAŁ 18

Światło rzucane przez kilka latarni ustawionych dookoła kościoła ledwie docierało do starego poniemieckiego muru, który ciągnął się aż za plebanię. Nie było tu ścieżki – prawdopodobnie babka nie zdążyła się o nią wyklócić – a ziemię pokryła dość gruba warstwa świeżego śniegu. Tomek chwycił mnie mocno za rękę i brnęliśmy po kostki w białym puchu, odczytując po kolei nazwiska na tablicach nagrobnych. Było tego sporo. Społeczność umarłych, którą odcięto od potomnych. Być może ktoś tu się czasem pojawiał przy okazji wycieczki w rodzinne strony przodków. Jakiś kuzyn, wnuki. Ale na pewno nie było to częstą praktyką. Niemieckie cmentarze z reguły likwidowano i zmieniano na nekropolie polskie lub też orano ziemię i przeznaczano ją na inne cele. We Wrocławiu wiele osiedli i parków istniało na terenie dawnych cmentarzy. Ten mur tutaj był jednym z nielicznych wyjątków. Zastanawiałam się, ilu pochowano tu przechrzczonych Żydów, w których rodzinach przetrwały jeszcze opowieści o trójpodziale duszy i świętości szczątków.

Tomek zatrzymał się przed jedną z tablic i oświetlił ją latarką z telefonu komórkowego.

– Ann-Katrin.

Pochyliłam się i odczytałam napis. Imię, nazwisko, daty. Nic dodatkowego, żadnego „zmarła tragicznie”.

– Myślisz, że to był naprawdę wypadek? – zapytał po chwili Tomek.

Język lekko mu się plątał po nalewce wiśniowej księdza Gandalfa.

– Tak po prostu pływała łodzią i utonęła? – ciągnął. – Mieszkała tam przecież od urodzenia, pewnie nieraz wypływała na to jezioro. Założę się, że nie tylko łodzią, na pewno chodziła tam z bratem w letnie dni, żeby się popluskąć.

– Wypadki się zdarzają – odparłam. – Częściej, niż myślisz. Nawet jeśli ktoś umie pływać, to nie znaczy, że...

– Kami, przepraszam.

Spojrzałam na niego zaskoczona, a Tomek zgasił latarkę w telefonie.

– Za co?

– Być może nie chcesz rozmawiać o tym, że ktoś utonął.

– Nie musisz się ze mną cackać, nie jestem szklaną figurką.

– Nie, na pewno nie jesteś. Ja po prostu nie wiem, jak mam się wobec tej... sprawy zachowywać. Nie wiem, czy mam ten temat omijać, czy też wręcz przeciwnie. Nie wiem, na jakim jesteś etapie...

– Żałoby? Minęło prawie osiemnaście lat.

– Mimo wszystko sama wiesz, że czasem takie rzeczy nie mijają nigdy. Przychodzą do nas ci wszyscy ludzie, którzy chcą poznać swoje korzenie, dla których sporządzamy drzewa genealogiczne. Wiesz, że to się dzieje z różnych powodów. Jedni chcą nakarmić własne ego, znaleźć sobie jakiegoś hrabiego albo księcia wśród przodków, chcą poczuć się przez to lepiej sami ze sobą, że mają w żyłach błękitną krew. Inni chcą znać prawdę, by lepiej poznać siebie. Prześledzić powtarzalność zdarzeń, zataczanie koła historii, skłonności, styl życia, miejsca i tak dalej. Bo tam, w tym wszystkim, znajdują się też oni sami. Jeszcze inni wciąż są w żałobie. Przychodzą, bo tęsknią za kimś na tyle, że jest im potrzebna ta historia. Przodkowie, przeszłość, korzenie kogoś, kogo kochali. Albo zamykają tym samym jakiś etap w swoim życiu, albo nie, idą z tym wszystkim dalej, tylko po prostu wiedzą więcej.

– Nie zawsze trzeba coś zamykać – powiedziałam i zgarnęłam warstwę śniegu z tablicy nagrobnej Ann-Katrin. – Jestem zwolenniczką teorii o bagażu, który zbieramy przez całe życie. Ciągłe jakieś rzeczy do niego dokładamy, po prostu. Nie chodzi o to, by zamykać kolejne etapy, ale by umieć żyć z tym, co niesiemy na barkach. Uznać, że wszystko jest po coś. Wyrobić sobie silniejsze mięśnie.

– I nie uważasz, że twój Adam...

– Zachorował i umarł bezsensownie? Przez lata tak uważałam. Że była to niepotrzebna śmierć, bo więcej pożytku byłoby z takiego wspaniałego chłopaka tu, na ziemi, niż... gdzieś tam. Ale co ja tak naprawdę wiem? Skąd mogę mieć pewność, że ta śmierć naprawdę była bezsensowna?

– Nigdy nie byłeś zbyt gorliwą katoliczką, a teraz mówisz, jak gdybyś była.

– Nie jestem w ogóle gorliwą katoliczką. Akceptuję po prostu to, że nie wszystko umiem racjonalnie wytłumaczyć. A wracając do Ann-Katrin... Niektórzy wierzą, że ludzie, których spotkała tragedia, stają się

duchami przywiązanymi do konkretnego miejsca. Do miejsca, w którym umarli lub zrobili coś złego, do miejsca, w którym mieszkali, do swojego grobu na cmentarzu. Może ktoś wyczuł wokół domu mojej babki złą energię. Na tej ścieżce, przy zagajniku, przy jeziorku. Może nie chodzi nawet o nią, ale o całą tę rodzinę, którą spotkało nieszczęście.

– I dlatego twoja babka zostawiła ci tę opowieść o upiorze nad lasem?

– Nie wiem. Myślę, że niczego nie należy tu interpretować zbyt dosłownie. Ona chciała, żebym coś wiedziała, żebym szukała, ale żebym jednocześnie zaakceptowała, że nie wszystko uda mi się do końca wyjaśnić. Jest jeszcze tyle pytań...

Tomek ponownie skierował snop światła na tablicę z nazwiskiem Ann-Katrin. Przeszliśmy kawałek dalej i w końcu znaleźliśmy również tablice jej rodziców i brata. Rolf Heckmann, lat siedemnaście. Poległ w walce za ojczyznę. Znowu nazwiska i daty. Historia życia sprowadzona do liter i liczb. Pomyślałam o wszystkich tych opowieściach o zjawach na cmentarzach. O ludziach, którzy dla zabawy przychodzili wywoływać duchy. O specjalistach od zjawisk paranormalnych i parapsychologii, którzy uważali, że takie rzeczy nigdy nie dzieją się bez konsekwencji, że nie ma czegoś takiego jak „dla zabawy”. Duchy raz wezwane w końcu przyjdą. Nie, nie wierzyłam w duchy. Ale faktycznie nie wykluczałam, że istnieją, i wiedziałam, że wielu ludzi w nie wierzyło. Wierzyło w to, że naprawdę je widzieli, rozmawiali z nimi, doświadczyli ich obecności i słyszeli ich głosy. Ja skłaniałam się raczej ku teorii, że to projekcje ludzkiego umysłu, nie duchy. Projekcje, które pojawiają się pod wpływem strachu albo pragnienia, obsesji, tęsknoty, może miłości. W pewnym sensie Tomek i ja, tropiąc ślady osób dawno umarłych, również wywoływaliśmy duchy.

– Myślisz – odezwał się cicho Tomek – że to Sedlcek przyjechał tutaj do rodziny Rolfa Heckmanna?

– Tak. A kto inny mógł to być? Babka próbuje mi coś na ten temat powiedzieć. We fragmencie tego niemieckiego pamiętnika autor wspomina o Isonzo, chłopaku z oderwaną głową, opisuje obrazy. Píše o wygranej walce, która nie jest jeszcze wygraną wojną. Na pewno chodzi o niego. Jego historia jakos łączy się z naszą. Wiadomo, jak się łączy z historią ludzi, którzy mieszkali wcześniej w naszym domu. Ale jak się łączy z nami?

– I wciąż odrzucasz ewentualność, że Sedlcek jest twoim dziadkiem?

Pokiwałam głową. Nie mógł nim być. Czułabym, gdyby był. Czułabym?

*

Kiedy obudziłam się rano, głowę miałam tak ciężką, że z trudem oderwałam ją od poduszki. Zwlekłam się na dół i poczłapałam do kuchni, gdzie Tomek, również nieco blady i niemrawy, przyglądał się jajkom. Na mój widok sięgnął po kubek i nalał mi świeżej kawy.

– Moim zdaniem coś było nie tak z tą nalewką – powiedział. – Wchodziła za dobrze i działała z dużym opóźnieniem.

Ziewnęłam i przyznałam mu rację. Tuż po spożyciu nalewki Gandalfa czułam się naprawdę dobrze, a przy tablicach nagrobnych, jak sądziłam, mówiłam z sensem i mądrze, ale im bliżej byliśmy domu, tym trudniej stawiało się kolejne kroki, a klucz nie chciał trafić do zamka w drzwiach. Kiedy w korytarzu wypłatywaliśmy się z kurtek i szalików, dostaliśmy najpierw głupawki, potem czkawki, jak gdybyśmy byli jednym organizmem. Tomek powlekł się do salonu i zaczął szamotać z łóżkiem polowym, na którym spał. Odmówił rozgoszczenia się w pokoju babki lub dziadka, choć tłumaczyłam mu, że z tego drugiego nikt nie korzystał od bardzo wielu lat i być może czas to zmienić. Sama czułam się dziwnie ze świadomością, że Tomek rozwiesi swoje ubrania w szafie dziadka i schowa skarpety do szuflady, choć babka przez tyle lat utrzymywała tam porządek i niczego nie wyrzuciła. Może i byłoby to naruszenie jego prywatnej przestrzeni. Ale ostatecznie dziadek i tak długo miał tam swoje muzeum. Tomek jednak stanowczo zaprotestował i powiedział, że on pięknie dziękuje, nie zamierza się prosić o zemstę z za grobu, a moja babka na pewno nie wytrzymałaby nerwowo z jego sposobem wciskania piżamy pod poduszkę. Mojego dziadka nie znał i wołał nie kusić losu. Kto wie, co by mu się wydało niestosowne. Kiedy więc dwa dni temu Tomek szykował się tu do snu po raz pierwszy, przyniosłam ze schowka pod schodami łóżko polowe, które prawdopodobnie było tylko trochę wygodniejsze od żelaznej dziewicy. Wczorajszego wieczoru uznałam, że skoro raz już poradził sobie z rozkładaniem, to uda mu się ponownie, nawet po pijaku, i wdrapałam się na schody, do siebie. Zasypiałam przy dźwiękach skrzypienia, trzasków i cichych przekleństw.

– Chyba nie dam dzisiaj rady sprostać jajecznicy Gordona Ramsaya, choć na kaca byłaby idealna.

Tosty?

- Toster babki ma jakieś dwadzieścia pięć lat – odparłam, dmuchając na kawę.
- Ale działa?
- Tak mi się zdaje.

Tomek gmerał przy tosterze i niezbornymi ruchami układał w nim chleb z serem. Dolałam sobie kawy i po namyśle posłodziłam ją odrobiną miodu, bo mój organizm domagał się cukru. Przypomniałam sobie dzień, w którym babka kupiła ten toster na coponiedziałkowym targu, który rozkładał się na placu w środku wsi, nieopodal kościoła, przez całe lato. Nie było lipca i sierpnia bez targu. Babka mówiła, że można tam kupić wszystko, od pierścionków z ruskiego złota po chemię z Niemiec. I choć szał na ruskie pierścionki minął krótko po zmianie ustroju, chemia z Niemiec cieszyła się powodzeniem przez całe dekady, aż do teraz. Z tosteru babka była bardzo dumna, wtargała go do kuchni i postawiła na stole, później uznała, że jednak nie, musi go dać koło lodówki, bo tam jest kontakt, a przecież kabel nie może się ciągnąć od ściany do stołu. Podłączyła, przygotowała chleb, ser, keczup. Później postawiła mi talerz i kazała jeść. Powiedziałam, że wolę, jak smaży mi grzanki na patelni, bo ser tak fajnie skwierczy i się ciągnie, a ona nie odzywała się do mnie do wieczora. Przy kolacji wreszcie otworzyła usta i wygłosiła uwagę o tym, że chciała wprowadzić do naszego życia nieco „zachodniej cywilizacji”. Zdziwiłam się, bo akurat babka zawsze miała w nosie zachodnią cywilizację. Wschodnią, gwoli ścisłości, również. Później, by zrobić jej przyjemność, jadłam czasem tosty, choć jeśli miałam wybór, wolałam chleb z twarogiem, dżemem, pomidory i jajka. Albo owsiankę. Babka robiła najlepszą owsiankę na świecie.

Teraz było mi wszystko jedno, co przeżuję, więc sięgnęłam po tosty zrobione przez Tomka. Rozłożyłam na stole kartki z opowieściami babki, w bezpiecznej odległości od jedzenia. Tomek usiadł obok mnie i również na nie spojrział.

- Jakie plany? – zapytał.

Dobre pytanie. Z jednej strony miałam ochotę zrobić sobie przerwę i przez jeden dzień nie szukać żadnych wskazówek, z drugiej nie mogłam się doczekać, aż znajdę wszystkie i coś się wreszcie wyjaśni.

– Nie wiem. Sporo miejsc już przeszukałam i zastanawiam się nad tymi, do których jeszcze nie zajrzałam – odparłam. – Babka chowała różne rzeczy w szafie pod pościelą, jakieś stare koszule nocne, halki, szmatki, których się już nie nosi albo których nie noszą teraz młode kobiety. Nie były to rzeczy do wyrzucenia, ale do zacerowania. Babka prawie nigdy nie uznawała, że coś jest naprawdę do wyrzucenia. Rzeczy można przecież cerować, naprawiać, przerabiać. Chowała je więc, nawet jeśli nigdy ich już potem nie wyciągała. W ogóle rzadko coś cerowała, tylko z konieczności, jak gdyby bardzo niechętnie brała się do szycia. Mimo że szyć umiała bardzo dobrze.

- Mówiłaś, że zajrzałaś już do tego pokoju.
- Ale jednak nie w każdy zakamarek.

Dokończyliśmy śniadanie w milczeniu, później ja zmywałam, a Tomek uznał, że potrzebny mu zimny prysznic. Kiedy skończył i ubrany wrócił do kuchni, poszłam w jego ślady i również weszłam do łazienki. Czułam zapach jego żelu pod prysznic i szamponu, kabina i lustro były zaparowane, a na grzejniku suszył się ręcznik. Było coś intymnego w tej scenie i poczułam się dziwnie. Dobrze, a zarazem nieswojo, jak gdybym przekroczyła granicę, której nie powinnam przekraczać. Albo na przekroczenie której nie byłam jeszcze gotowa. Albo też... musiałam się po prostu porządnie obudzić i zacząć myśleć trzeźwo.

Kąpiel szczególnie mi nie pomogła, ale pozbyłam się przynajmniej nieprzyjemnej ciężkości w głowie. Wysuszyłam włosy, włożyłam dzinsy i duży, miękki sweter. Tomek czekał już na mnie na piętrze, oglądał zdjęcia i obrazki zawieszzone na ścianie.

- Szukasz zakamuflowanego Sedlacka? – zapytałam, widząc, jak niecierpliwie marszczy brwi.
- Wiem, nie wisiałby tu tak po prostu. Zbyt wiele szczęścia. Gotowa?

Skinęłam głową i weszliśmy do pokoju babki, jak gdyby nadal żyła, czekała tam na nas, a my mielibyśmy jej coś ważnego do powiedzenia.

Od razu ruszyłam do szafy, uklękłam i wysunęłam dolną szufladę, do której babka, jak mówiła, wkładała „rzeczy do zacerowania”. Wyjmowałam po kolei halki i koronkowe koszule, bardzo piękne i bardzo staroświeckie. Ścisnęło mnie w gardle na widok tych porzuconych przedmiotów pozbawionych ciała, które mogły otulać, pachnących starym drewnem i kurzem. Niektóre koszule były mniej eleganckie, uszyte z ciepłej, grubej flaneli. W jedną z nich coś było zawinięte. Ostrożnie rozłożyłam koszulę na podłodze.

Tomek gwizdnął, ale ja poczułam wściekłość. Co jeszcze? Co jeszcze wymyśliła babcia, by utrudnić mi poznanie prawdy? I dlaczego to robiła? Jeśli nie chciała, bym poznała tę historię, wystarczyło nie robić nic. Wystarczyło po prostu... odejść. Bez słowa, jak mój dziadek przed laty.

– No proszę, proszę – mruknął Tomek. – VHS. Czy tu jest może gdzieś... Kami?

Usiadłam na podłodze i rozplakałam się z bezsilności. Próbował przyciągnąć mnie do siebie i objąć, ale odsunęłam się i oparłam o ścianę.

– Nie rób tego, nie przytulaj mnie, to nie jest jedna z tych sytuacji, kiedy kobieta szuka rękawa, żeby się wypłakać.

– Okej. – Uniósł dłonie w obronnym geście.

– Mam dość. Mam, kurwa, dość.

– Rozumiem, że magnetowidu w tym domu nie ma – powiedział i usiadł obok mnie, niezbyt blisko.

Na podłodze przed nami leżała kasetka. VHS. Owszem, babka miała kiedyś kamerę, stary model, mówiła o niej, że jest „wielka jak krowa”. Chciała mnie nagrywać. Pierwsze kroki, pierwsze słowa, jakieś wierszyki recytowane z pamięci i piosenki. Pierwsze „koncerty”, jak mówiła z dumą, choć było to za wielkie słowo. Później kamera się popsowała, a kolejne, coraz poważniejsze i prawdziwsze koncerty, które o wiele bardziej zasługiwały na to określenie, i tak zawsze ktoś nagrywał, więc pamiątki były. Jeśli babka zarejestrowała coś dla mnie tą swoją starą „krową”, zrobiła to lata temu. Ponownie pomyślałam, że szykowała się do tego wszystkiego od dawna. Byłam jej projektem. Pośmiertnym projektem. Oczywiście na tej kasecie mogło być równie dobrze *Przeminęło z wiatrem*.

Tomek chrząknął.

– Słuchaj, Kami. Kupimy ten odtwarzacz. Zamówimy online czy coś. Na pewno da się kupić, ktoś musi takie coś sprzedawać. Przywiozą nam i obejrzymy...

– Ona inaczej to wymyśliła – przerwałam mu.

– Inaczej?

– Tak. Musiała mieć ubaw, naprawdę.

– Przestań, twoja babcia nie żyje.

– Jak gdybym mogła o tym zapomnieć – odwarknęłam. – Ona wymyśliła to inaczej. Choć jestem pewna, że magnetowidu w domu nie ma, musi być do niego jakiś dostęp. Nie mam pojęcia jaki. Ale inny niż poprzez kupno... Być może... powinnam go od kogoś pożyczyć.

– Myślisz, że ktoś trzyma jeszcze w domu magnetowid?

– Na tej wsi? Wszystko możliwe.

Wstałam z podłogi i otrzepałam spodnie z kurzu.

– Możemy sprawdzić piwnicę – powiedziałam z mieszaniną wściekłości i rezygnacji. – Albo zajrzeć pod schody. Albo do schowka za kuchnią. Piwnicy nikt nie lubił, jest mała, ciasna, ciemna, zimna... Najlepiej przeszukać ją najpierw i mieć z głowy. Wątpię, czy coś tam będzie, przy takiej temperaturze długo by się nie uchowało bez szwanku.

– Chyba że schowała tam to coś niedawno.

– Jak widzisz, przygotowała te swoje niespodzianki dla mnie na różnych etapach życia.

– Mogła przygotować, ale ukryć mogła niedawno. Skoro wiedziała, że zbliża się jej czas...

– Daruj sobie tę poezję.

Tomek również wstał i wyciągnął do mnie rękę.

– Chodź, zerkniemy w tę piwnicę.

Żarówka kołysała się pod sufitem i w niewielkim stopniu oświetlała pomieszczenie. Były tu rozmaite stare gliniane donice, skrzynki na warzywa, worki do przechowywania ziemniaków i dwa blaszane regały na narzędzia ogrodnicze. Tych narzędzi, z których babka regularnie korzystała, nie trzymała w piwnicy, lecz w komórce za domem. Tutaj tkwiły zapomniane motyki, łopaty, szpadle, jakieś grabie, zardzewiały młotek i przedpotopowy sekator.

– Nie skalecz się tylko – powiedział Tomek. – Bo zakażenie murowane. A to? Co myślisz?

Wskazał na jedną z półek, którą widział dobrze, ale ja musiałam wspiąć się na palce.

– Podsadzić cię?

– Nie, dziękuję.

Wyciągnęłam szyję i zobaczyłam dużą płócienną torbę z nadrukiem. Rozpoznałam ją. Sama kupiłam

babce tę torbę jakieś dwa lata temu. „*Keep calm and eat vegetables*”. Była zadowolona, kiedy przetłumaczyłam jej to zdanie, mówiła, że idealne dla niej i w ogóle tego miejsca. Choć oczywiście nie rozumiała, dlaczego wszystko musi być teraz po angielsku.

Ściągnęłam torbę z półki. W środku było duże płaskie pudełko, a w nim... owinięta w dwie warstwy folii bąbelkowej koperta. Oczywiście.

Spojrzałam na Tomka i skrzywiłam się.

– Kolejny prezent od mojej kochanej babci, wesołych świąt!

– Ja myślę, że ona wcale nie była złośliwa – odparł szybko.

– A jaka?

– Być może twoja babcia... chciała, żebyś pobyła w tym domu. Obejrzała go tak naprawdę, niemalże wyróciła go na lewą stronę. Żebyś pobyła z nią. Żebyście porozmawiały i żebyś naprawdę poznała ją i swojego dziadka.

– Mogła mówić, kiedy żyła.

– Albo nie mogła. Czuła lęk, zażenowanie, miała blokadę, wiedziała, że jakoś ją będziesz oceniać, jej wybory, jej błędy. Nie każdy potrafi opowiadać o sobie i swoim życiu. Większość tak naprawdę tego nie potrafi.

– A VHS? To twoim zdaniem nie jest złośliwość?

– Może zrobiła to przed erą komórek. I chciała, żebyś ją zobaczyła, a nie tylko usłyszała jej głos? Żebyś mogła... spojrzeć jej w oczy. W pewnym sensie.

Ponownie poczułam ściskanie w gardle. Babka wołała się wściekać niż płakać i w tej chwili również dla mnie było to lepsze wyjście.

– Zobaczmy, co jest w tej kopercie – powiedziałam i szybko wyszłam z piwnicy.

ROZDZIAŁ 19

Kochał ten dom. Często coś się w nim psuło, ale S. się nie przejmował, raczej się cieszył, że ma co robić, może wziąć młotek, gwoździe, piłę, zając ręce. To go uspokajało. Coraz częściej czuł to drganie w środku, z którym nie wiedział, co zrobić. Na pewno istnieli inni ludzie na świecie z taką samą przypadłością jak jego. S. mówił o tym „przypadłość”, nie „dar”. Z daru człowiek się cieszy, a jemu daleko było do radości, wolałby normalne życie, wolałby pójść do urzędu i wypełnić dokumenty, by dostać dowód, ale nie umiał, pocił się na samą myśl, ręce mu się trzęsły. Wtedy zawsze zaczynał mówić po niemiecku. Jak gdyby odzywał się w nim tamten chłopak z Breslau, który uważał, że język trzeba znać, że z izolowania się od ludzi nic dobrego nie przyjdzie. Chciał mieć normalne życie w szkole i jeszcze nie wiedział nic o świecie. Nie miał pojęcia, że nawet jeśli zna niemiecki i umie się normalnie porozumieć, i tak należą mu się baty i wyrzucanie książek za okno. Znow był tym chłopakiem, który nienawidził małych Niemców, a jednocześnie chciał się z nimi zaprzyjaźnić. Nie lubił samotności. Nie wiedział, co zrobił źle. Znow był młodym człowiekiem, który uśmiechał się uroczo do pięknych dam i przepowiadał im przyszłość. Który kłamał, jeśli było trzeba, bo one wcale nie oczekiwały prawdy. Pocił się i mówił po niemiecku, nie umiał znaleźć polskich słów, więc kobieta – ukochana kobieta – dawała spokój. Wiedział, że się martwiła, że wieczorami ogryzała paznokcie i patrzyła w okno, na las. Próbował nie dostarczać jej zmartwień, ale to było silniejsze od niego. Jak gdyby mieszkał w nim ktoś drugi. Jak gdyby się podzielił na dwie osoby.

Uwielbiał to, co kobieta zrobiła z domem i ogrodem. Była zaradna, mądra i bardzo pracowita. Miał wrażenie, że jest jak podlany kwiat. Dostała możliwości i korzystała z nich, jak tylko się dało. Mówili we wsi, że ma złote ręce. Wkrótce dom, podupadły w ostatnich latach wojny, odzyskał kształt. S. otynkował i pomalował fasadę, wstawił furtkę na tyłach, by można było wyjść wprost do lasu. Powbijał w ziemię tyczki, a kobieta przywiązywała do nich pomidory. Latem unosił się nad nimi słodki, odurzający zapach. S. najlepiej smakowały zerwane prosto z krzaka, rozgrzane słońcem, ale kobieta lubiła je z solą. Latem mogła na każdy posiłek jeść pomidory ze śmietaną i solą. Do tego świeży chleb z masłem. Pewnego dnia aż dostała od tego wysypki i ograniczyła pomidory do jednego posiłku.

Uwielbiał ten ogród latem. Strączki chrupiącego groszku, fasola szparagowa, młode marchewki, salata. Sad, w którym brzęczały owady. Kobieta nigdy nie odpoczywała. Ulepszała przepisy na dzemy i powidła, a także studiowała nocami książki kucharskie poprzedniej pani domu. Matki tego chłopaka z nad Isonzo. S. także lubił je podczytywać, zapisała sporo ciekawych potraw. Kobieta wciąż wprowadzała do nich jakieś zmiany, a to składnik, a to przyprawa. Piekla takie ciasta, że najprawdopodobniej nie mogli się z nią równać dawni cesarscy cukiernicy. I jeszcze mleko, śmietana, sery. Nic jej się nigdy nie psuło. Podziwiał ją. Pomagał w domu, jak mógł. Reperował meble po Niemcach – zgadzali się co do tego, że nie wolno ich wyrzucić, póki nadają się do użytku. Nie musiał jej mówić o pamięci zamkniętej w przedmiotach. Zbijał nowe półki z desek i ławeczki do ogrodu. Wytyczał ścieżki wśród kwiatów, układał kamienie, podlewał rośliny, zbierał owoce. Cerował ubrania. Kobieta umiała szyć, ale szycie kojarzyło się jej z tamtą kamienicą za rzeką, gdzie wprowadziła się po powrocie do miasta. Z tamtym czasem, kiedy nie miała własnego domu i nie wiedziała, co będzie. Teraz patrzył, jak z każdym dniem staje się silniejsza. I mieli syna. Cichego i spokojnego, ale o silnym charakterze. Miał talent do języków obcych. S. chciał go nawet pouczyć niemieckiego. Nie mógł, było na to za późno. Kiedy chłopak stawiał pierwsze samodzielne kroki i powtarzał pierwsze polskie słowa, S. mówił coraz mniej. Z trudem znajdował własny język. Nie umiał już wypowiedzieć całego zdania w jednym języku, mieszał polski i niemiecki, a potem łapał się za głowę, ścisnął, potrzasał, jak gdyby w ten sposób coś tam w środku chciał naprawić. Kobieta podbiegała do niego w takich chwilach i chwytala za ręce. „Co ty robisz, przestań! Nie możesz tak robić!” S. zaciskał pięści i starał się, tak bardzo się starał. Ale patrzył na las i mówił „wald”, a później jęczał, jak gdyby coś go zabolalo. Kobieta chciała go zawieźć do szpitala, jednak nigdy się na to nie zgodził. Prędeż odejdzie. Powiedział jej przecież kiedyś. Uprzedził.

Słyszał ich, w tym domu. Steffena i jego Frau, Rolfa, Ann-Katrin. Mówili, że Rolf spoczywa w pokoju, że jest cichym duchem, ale Ann-Katrin nadal czuje złość. Wcale nie chodziło o narzeczonego, choć może trochę tak. Porzucenie przez narzeczonego było gwoździem do trumny. Chodziło o to, że nie mogła wybrać. Że musiała zostać i czuła się niespełniona, niepotrzebna. Że świat wydawał się jej taki mały, skurczony do domu i wsi. Że niczego w życiu nie widziała, a chciała zobaczyć wiele. Planowali z Rolfem podróż. Miał trochę podrosnąć,

zyskać pełnoletniość. Wiedziała, że samej rodzice nigdzie jej nie puszczą, ale z bratem? To nic, że młodszy, liczyła się płeć. Planowali. Wiedeń. Linz. Salzburg. Breslau też, ale Breslau było blisko, było po prostu miastem, do którego jechało się czasem po zakupy. Ann-Katrin chciała więcej. Jechać godzinami koleją. Zobaczyć Wenecję. Jak marzyła o tym, by zobaczyć Wenecję! S. z trudem unosił jej smutek, nie wiedział, jak jej pomóc. Chodził nad jezioro i mieszaniną języków mówił, że Wiedeń był ładny, ale teraz podupadł, a Breslau stał się Wrocławiem. Że Salzburga nigdy nie widział, ale zawsze chciał pojechać. Że wiele lat minęło i Ann-Katrin może już odpocząć. Ale czy minęło wiele? Trzydzieści. Minęło dopiero trzydzieści, odkąd utonęła.

S. widział różne rzeczy, kiedy zamykał oczy. Pożary. Ruskich wyrzucających z domu dzieci, barykadujących się z samymi kobietami. Słyszał krzyki. Widział zamrożonego chłopca za jedną małą chałupą i dziewczynę, która zatrzasnęła się w komórcie. Widział matkę, która prowadziła dzieci do zagajnika, gdzie później ktoś usypał im bezimienne mogiły. Nie chciała, by wpadły w ręce Ruskich. Widział młodą Żydówkę ukrywającą się w ziemiance, jej brudne paznokcie i pusty wzrok. Wiedział, kto umrze. To było najgorsze, że wiedział, kto umrze.

W pewnym momencie porzucił próby opowiadania kobiecie o tym wszystkim i nie wymówił już ani słowa. Nie wychodził z domu, a jeśli, to tylko do ogrodu i do lasu, ścieżką za domem, nocą, by nikogo nie spotkać. Kobiecie wydawało się, że unika ludzi, bo nie chce nic o nich wiedzieć. Nie chce wiedzieć, kiedy umrą. Nie chce widzieć zjaw na drzewach.

Szkicownik i zapiski znad Soczy od F. ukrył gdzieś w pokoju. Dopiero gdy odchodził, dał go kobiecie. Nie protestowała. Nie mówiła, by został, choć na pewno tego chciała. Nie płakała, choć to na pewno również chciała zrobić. Może później, kiedy nie widział. S. wciąż ścisnął się za głowę, kręcił nią, potrząsał, jak gdyby chciał wytrząsnąć z niej wszystkie głosy i widoki. On płakał, owszem.

Poszedł do lasu, tam gdzie nikt nigdy nie zaglądał, bo mówili, że straszy. On jeden wiedział, że duchy są wszędzie, że nie trzeba do tego mroku i gęstych drzew.

I już tam został.

ROZDZIAŁ 20

Szalik zaplątał mi się w rękaw kurtki i szamotałam się z nim przez chwilę, aż wreszcie – niechętnie – pomógł mi Tomek.

– Czy ty widzisz, co się dzieje za oknem? – zapytał.

Widziałam. A w zasadzie nie widziałam, bo nagła śnieżycy pozwalała dojrzeć tylko zarysy zabudowań i drzew. Dom rezonował, słyszałam przeciągłe zawrozczenie wiatru, trzeszczenie futryn i okiennic. Temperatura spadła i wiedziałam, że trzeba podkręcić piec, ale zupełnie nie mogłam skupić się na praktycznych rzeczach, które powinnam zrobić. Włożyłam buty, a Tomek podał mi kurtkę, potem szalik. Zasunęłam zamek, opatuliłam się pod sam nos i wcisnęłam na głowę czapkę.

– Może chociaż pójde z tobą – zaproponował, wciąż popatrując w okno.

– Potrzebuję побыć chwilę sama. Muszę się przewietrzyć, tylko chwilę.

Kiedy skończyliśmy czytać kolejną opowieść babki, poczułam, że zaraz się uduszę. Tomek zaproponował, byśmy przeczytali ją jeszcze raz, od nowa, ale ja nie potrafiłam się zmusić do ponownego zderzenia ze słowami babki, jej pismem, niewyraźnym i rozwleczonym, pismem babki takiej, jaką była niedawno, prawie stuletniej, siwej i przygarbionej, o wciąż bystrym, kryształowym, sprawnym umyśle, ale fizycznie coraz słabszej. Babki o drżących dłoniach i blaknących oczach, która na pewno miała problem z utrzymaniem długopisu. Nie napisała tego dawno temu. Tylko kiedy dokładnie to zrobiła? Przed naszym ostatnim spotkaniem czy po nim? Po tym, jak rozmawiałyśmy o mojej pracy, jak mówiłam jej o klientach i nowych projektach nagrobków, a ona lekko kręciła głową, o badaniach genealogicznych, ulubionych obrazach Tomka, o mężczyznach, z którymi się spotykałam i z którymi się rozstawałam, o Wrocławiu, zmieniających się budynkach i ulicach? Czy kiedy robiłyśmy to wszystko, ona słuchała mnie jednym uchem, ale tak naprawdę myślała już o tym, co napisze, o słowach, które przeleje na papier po moim wyjeździe? Pamiętałam, jak wtedy wyglądała i brzmiała – pamiętałam jej niski, zachrypnięty od papierosów głos, pamiętałam kruchą sylwetkę w fotelu przy oknie, z wełnianym kocem na ramionach, jej rozpinany sweter i luźne brązowe spodnie w kant. Ulubione. Była chuda i miała wąskie biodra, do końca życia nosiła rozmiar S. Pamiętałam jej siwe, ale nadal bardzo gęste włosy, ścięte do linii żuchwy i naturalnie kręcone. Zawsze podtrzymywała je wsuwkami z prawej strony, by nie opadały na oczy. I pamiętałam zapach. Pachniała chlebem i truskawkami, zawsze. Pytała mnie o pracę, życie, głupoty, a tymczasem wciąż nosiła to pod skórą, rzeczy, o których nie umiała mówić, ale których postanowiła jednak nie zabierać do grobu.

I jeszcze S. Mój dziadek. To był właśnie mój dziadek, o nim mówiła. „Szkicownik od F. ukrył gdzieś w pokoju”. F. był Sedlackiem. A S.? Babka mówiła zawsze o dziadku „Staszek”, ale ja, szukając danych o Stanisławie Janowskim, uznałam, że pod takim imieniem i nazwiskiem łatwo ukryć się komuś, kto oficjalnie nie istnieje. I nadal wydawało mi się, że miałam rację. Babka mówiła o nim „S.”, bo opowiadała o moim dziadku, ale to wcale nie musiało znaczyć nic konkretnego. Poza tym w całej tej zwariowanej, zagmatwanej i trudnej do zrozumienia historii jedno było jasne – S., mój dziadek, był „chłopakiem z Breslau”. „Uważał, że język trzeba znać”. Chciał mieć przyjaciół, nawet jeśli byliby to przyjaciele spośród Niemców. Chodził do niemieckiej szkoły i choć znał język, dokuczano mu i wyrzucano jego podręczniki za okno. Musiał być Polakiem. Polakiem, który mieszkał w niemieckim mieście i znał niemiecki język, który nie chciał się izolować, ale zasymilować pewnie też nie potrafił. I pod koniec życia – czy na pewno pod koniec? – zaczął mieszać języki. Chciał mówić po polsku, a z jego ust wysypywały się niemieckie słowa. Jakaś forma afazji? Zaburzenia neurologiczne, coś, co uszkodziło ośrodki mowy? I nie tylko. Widział je przecież i słyszał. Duchy. Widział tych, którzy umarli, i wiedział, kto miał do nich dołączyć. Babka pisała, że to było dla niego najgorsze – świadomość, kto umrze. I jeszcze jedno zrozumiałam. To S., mój dziadek, był duchem z lasu. To on był nieszczęsną figurą uginającą się przed upiorem, którego twarz straszyla ponad koronami drzew. I tak jak autor szkicu opisywanego przez babkę – Anton Machek, niespełniony śpiewak operowy – S. stracił głos. S. zamilkł dla ludzi, dla siebie, dla życia. Machek zamilkł dla sceny. Podobnie jak ja. Ja również zamilkłam dla sceny, byłam muzykiem, który stracił głos – moc wydobywania dźwięków z instrumentu. To nas łączyło, wiązało nasze życiorysy. Byliśmy podobni. Babka podsunęła mi obraz, który opowiadał nasze historie. Nie byłam pewna, czy mój dziadek się bał. Raczej czuł wielki ciężar. Ciężar, który trudno mu było udźwignąć, ale który postanowił mimo to nieść w pojedynkę, by nie obarczyć nim ukochanych osób. Uznał, że musi zmierzyć się

z tym sam. Musiał patrzeć na dom, na światło w oknie, na swojego syna, który bawił się w ogródku, a potem czytał tam książki, bo przecież wiecznie i wszędzie czytał. Może czasem S. podchodził. Ścieżką na tyłach domu, nocą, do furtki. Babka dawała mu jedzenie i ubranie na zmianę. Wypowiadała kilka słów. Może prosiła, by wrócił, a on się nie odzywał, bo w tym czasie nie istniał już dla niego żaden konkretny język, obrazy nie przekładały się na słowa. Stawała w oknie i patrzyła na las. Robiła tak codziennie jeszcze wiele lat po jego odejściu.

Wybiegłam z domu. Tomek coś jeszcze wołał, ponownie proponował, że ze mną pójdzie, a właściwie – chyba – prosił, bym mu pozwoliła. Mocniej naciągnęłam czapkę na uszy i ruszyłam do furtki, oczy mi łzały, policzki piekły z zimna. Pośliznęłam się i ledwie złapałam równowagę. Nie wiedziałam, czy to mgła, czy może wiatr wzbija w powietrze śnieg, ale biegłam na oślep, instynktownie stawiałam kolejne kroki, czułam, że już za chwilę wejść w niewielki zagajnik, a później w gęściejszy las. Poprzez mleczną zasłonę zdołałam dostrzec, że drzewa i krzewy są wyższe, że jest tu ciemniej niż kiedyś. Świat się zmieniał. Las nie stanął w miejscu i nie czekał, aż się namyślę, by wrócić, żył nadal własnym życiem. A jeziorko? Nie byłam tu od lat. Jeszcze kilka kroków i powinnam dotrzeć na miejsce. Ale nie, jednak nie, szłam dalej, ścieżka stawała się węższa, wreszcie zniknęła całkiem, przykryta leśnym runem. Zrozumiałam, że od bardzo dawna nikt tędy nie chodził. Odgarniałam gałęzie i brnęłam dalej. Zaczepiłam o coś ostrego i usłyszałam, jak trzeszczy materiał kurtki. Moje ubrania nie nadawały się na surwiwal w dzicy. Gałęzie zahaczały o szalik i czapkę, szarpały za włosy. Może to faktycznie duchy. Może to wcale nie przyroda. Ludzie mieli rację, czekają tutaj na każdego, kto jest na tyle naiwny i nieostrożny, by zejść z utartych szlaków. Nieszczęśliwy Rolf. Zawiedziona Ann-Katrin. Mój dziadek. Franz.

Coś chlupnęło pod moimi stopami i poczułam, jak przemakają mi buty, również nieodpowiednie na taką wycieczkę. Spojrzałam w dół, a później rozgarnęłam kolejne gałęzie. Kilka kroków ode mnie rozpościerała się pusta przestrzeń. Wirowały nad nią płatki śniegu, które muskały pomarszczoną taflę wody. Mróz trzymał za krótko i zbyt często odpuszczał, by jeziorko porządnie zamarzło. Tu i ówdzie wiatr przesuwiał po wodzie cienkie, przezroczyste kry. Spojrzałam w górę, na niebo zasnutę ciężkimi, ciemnymi chmurami. Dochodziło może południe, a miałam wrażenie, że to zmierzch. Oddychałam z trudem i zdecydowanie za szybko, już czułam, jak kręci mi się w głowie, a nogi miękną. Spróbowałam się uspokoić. Oddychać tak, jak oddychałam kiedyś przed koncertem, gdy siadałam do fortepianu, a w głowie nagle miałam kompletną pustkę. Skupienie na przeponie i mięśniach brzucha, na płucach, w których zatrzymywałam na chwilę powietrze, pomagało mi wrócić do żywych, zakotwiczyć się w przestrzeni. Byłam tu i teraz, to były moje dłonie, moje palce, mój instrument. Mój oddech. I teraz też. I teraz. To było... moje jezioro.

Cofnęłam się o krok, bo buty miałam już całkiem przemoczone. W zawierusze udało mi się dostrzec niewiele, wystarczyło jednak, by zrozumieć, że jeziorko zostało zapomniane i porzucone. Już dawniej dość mocno zarośnięty brzeg z kilkoma prześwitami dającymi dostęp do wody teraz w całości przesłaniały dzikie chaszczce. Usiłowałam dojrzeć, co jest po drugiej stronie. Po tamtej „nawiedzonej” stronie, gdzie nikt nie zachodził i gdzie najpewniej zaszył się S. Mój dziadek. To nie było tak daleko. Może właśnie za blisko. Dlaczego nie zorientowałam się wcześniej? Dlaczego nie zaprzyjaźniłam się z nikim we wsi, z żadnymi dzieciakami, na przykład z takim Jaśkiem, który na pewno miał dostęp do lokalnych plotek, który oddychał tutejszym powietrzem i słyszał niejedną legendę, niejedną powtarzaną przez lata bajkę o miejscowych demonach, duchach, potworach, zjawach czy jak je tam zwać. S. widział Ruskich gwałcących kobiety, Żydówkę w ziemiance, kobietę, która najpewniej zabiła w zagajniku własne dzieci, a później popełniła samobójstwo, zamrożonego chłopca. Widział śmierć. Może to dlatego wybrałam taki zawód. Dlatego ja także – w pewnym sensie – zajmowałam się śmiercią i wciąż rozmawiałam o niej z innymi ludźmi. Przychodzili do mnie, a ja ich słuchałam, wybierałam dla zmarłych odpowiednie formy i symbole wykute w kamieniu, miałam świadomość, że grób może przetrwać dłużej, niż żył człowiek. Być może miałam coś z mojego dziadka. Nie wiedziałam, kto umrze, ale wskrzeszałam historie tych, którzy już odeszli.

Owinęłam dłonie w rękawy kurtki i naciągnęłam szalik mocniej na twarz. Babka nazywała to jezioro „kałużą”. A teraz jeszcze bardziej zarosło. Nie było duże. Musiałam dać mu radę. Osłoniłam twarz ramieniem i zaczęłam przedzierać się przez chaszczce w stronę „nawiedzonego” fragmentu lasu. Czułam, jak ostre, nagie gałęzie szarpią mnie za kurtkę i drapią materiał. Raz spadła mi czapka, z szalika wystawały pasma włóczki. Torowałam sobie drogę wzdłuż dawnego brzegu, tego brzegu, na którym siedziałam, kiedy z wody wyciągano Adama. Między nami również mogło być inaczej. Mogłam razem z nim poznawać własną historię, wciągnąć

go w zagadki i opowieści o duchach. Ale wtedy byłam inna. Byłam osobą, na której nadbudowałam obecną siebie. Mieliśmy muzykę, to właśnie tę rzecz dzieliliśmy ze sobą w sposób doskonały. I tak musiało zostać. To dlatego nie grałam. Nie miałam już z kim dzielić tej miłości i nie potrafiłam jej sama celebrować.

Powinam z nim porozmawiać. Teraz. Powiedzieć mu, że mimo wszystko jestem szczęśliwa, bo przez chwilę był w moim życiu. Powiedzieć, że pamiętam każdy moment, kiedy uśmiechał się do mnie znad nut, kiedy znajdował w torbie kanapki przygotowane przez jego matkę i drapał się po głowie, bo znowu zapomniał zjeść. Potrafił nie jeść całymi dniami. Kto by jadł, skoro można było grać? Pamiętałam tamte zimowe dni, kiedy przygotowaliśmy się do koncertów świątecznych, a później graliśmy wśród pachnących choinek i błyszczących ozdób. Ze świąt Bożego Narodzenia robiliśmy święto muzyki. Pamiętałam, jak po raz pierwszy przyniósł mi prezent. Były to nuty. Skomponował dla mnie melodię. Prostą i piękną, powiedział, że nigdy wcześniej tego nie robił. Pamiętałam tamten dzień i chwilę tuż po zakończeniu roku szkolnego, kiedy zmęczeni kolejnym koncertem siedzieliśmy na murku przed szkołą i jedliśmy czekoladki z bombonierek, których nie daliśmy nauczycielkom. Były z wiśniowym likierem. Zemdliło nas po nich. Pamiętałam tamten obóz letni, na którym po raz pierwszy kochaliśmy się w lesie. Pamiętałam tamten poranek, kiedy...

Przystanąłam.

Kiedy...

Kiedy tu przyszliśmy. Rano, przed śniadaniem, po tym, jak trochę poćwiczyłam na keyboardzie, słuchaliśmy radia i padł jeden słaby dowcip. Adam zaczął opowiadać inne, lepsze dowcipy, i babka śmiała się tak bardzo, że aż się popłakała. Pamiętałam, że jej śmiech sprawiał mu przyjemność. I mnie też.

Pamiętałam.

– Pamiętam!!! – wrzasnęłam nagle, a śnieg, wiatr i drzewa połknęły mój krzyk.

I zrobiło mi się jakby lepiej. Skądś miałam pewność, że on naprawdę mnie usłyszał.

Zabrałam ze sobą telefon komórkowy, ale zasięg nad jezioro nie docierał. Nie miałam zamiaru do nikogo dzwonić ani nikogo wzywać na pomoc, pomyślałam jednak, że na wszelki wypadek jakąś łączność ze światem trzeba sobie zapewnić. Gdy wyskubałam telefon z kieszeni, by włączyć latarkę, zobaczyłam tylko, że zanim zasięg się urwał, Tomek próbował się do mnie dodzwonić. Nie postąpiłam wobec niego elegancko, ale poczułam się na tyle przytłoczona, że to tutaj – wrzeszczenie i karczowanie lasu – musiałam zrobić sama.

Okrażyłam pół jeziora i dotarłam do nawiedzonego zagajnika. Nie wiedziałam, czy to tu niemiecka matka przyprowadziła swoje dzieci, czy też może miejscowi – i mój dziadek szaman – mieli na myśli tamten drugi zagajnik, za naszym domem. Tak czy owak rozumiałam już, że babka przez prawie całe swoje życie mieszkała w podejrzanej części wsi. Włączyłam latarkę i skierowałam snop światła na gąszcz krzewów. Jeżeli kiedykolwiek była tu gdzieś jakaś ścieżka, to na pewno dawno zarosła. Wiedziałam, że nie przedrę się tędy bez porządnego ostrego narzędzia. I najlepiej, gdyby ktoś mi towarzyszył. Wyłączyłam latarkę i niechętnie zawróciłam do domu. Kiedy ponownie przedarłam się przez krzaki i odnalazłam ścieżkę, spodnie miałam mokre aż do kolan, porwaną kurtkę i niemal całkiem spruty szalik. Od zadrapań i śniegu piekła mnie skóra na twarzy. A jednak czułam się lepiej. Byłam spokojniejsza, miałam lżejszą głowę.

Wyszłam z lasu i spojrzałam na dom. W jednym z rozświetlonych okien na chwilę pojawiła się sylwetka Tomka. Trzymał dłoń przy uchu. W tym samym momencie mój telefon musiał złapać zasięg i usłyszałam sygnał. Przyspieszyłam kroku. Spojrzałam na furtkę i żołądek podszedł mi do gardła. Stał tam. To na pewno był on. Nawet w taką pogodę rozpoznałam to nijakie ubranie, džinsy, czarną puchową kurtkę, czapkę. Takie samo jak wtedy. A może to była jego sylwetka, kształt ramion, sposób, w jaki obrócił głowę. Ten człowiek był na cmentarzu, przy grobie babki. A teraz opierał się o furtkę i zaglądał w okna jej domu.

ROZDZIAŁ 21

Tomek wbiegł do salonu z apteczką, otworzył ją i wysypał na stół zawartość. Wzdrygnęłam się, kiedy woda utleniona brzęknęła o blat. Babka lubiła szklane buteleczki, plastik uznawała tylko w ostateczności. Na szczęście nic się nie rozbiło. Tomek gmerał przez chwilę w plastrach i bandażach, ale widać było wyraźnie, że w szkole średniej przespał zajęcia z przysposobienia obronnego. Siedziałam grzecznie na krześle i na wszelki wypadek się nie odzywałam. Na drugim krześle, ustawionym w bezpiecznej odległości ode mnie, siedział intruz spod furtki. Był sporo wyższy i na pewno silniejszy niż ja, ale wzięłam go z zaskoczenia. Sama się zdziwiłam, że potrafię tak mocno przyłożyć komuś pięścią w nos, choć uznałam, że chrupnięcie pod palcami i fontanna krwi nie są warte tej satysfakcji. Intruz krzyknął tylko: „Co pani?!”. A potem złapał się za twarz. Z domu – wymachując kijem od szczotki – wybiegł Tomek. „Co tu się, do kurwy nędzy, odstawia?!”. Wyjaśniłam, że człowiek z cmentarza tym razem nie zdążył uciec. Tomek zawahał się i lekko zbladł na widok jego zakrwawionej twarzy. Albo na mój widok, tego w tamtej chwili jeszcze nie mogłam stwierdzić. Dopiero kiedy Tomek poprowadził faceta w stronę domu, a ja weszłam za nimi do sieni i zerknęłam w lustro, zrozumiałam, że sama nie wyglądam najlepiej. Ale ostatecznie były w tej chwili poważniejsze zmartwienia. Powiedziałam, gdzie babka trzymała apteczkę, i usiadłam na krześle, wciąż brudna, w podartej kurtce i przemoczonych butach.

Teraz Tomek niezdarnie pochylał się nad facetem i tłumaczył mu, że głowę musi trzymać w miarę prosto i tylko delikatnie odchylić do tyłu, nie mocno, bo jak odchyli mocno, może się zachłysnąć krwią. Czyli jednak coś tam z lekcji PO zapamiętał. Zdjęłam czapkę i wyplątałam się z szalika. Coraz bardziej piekła mnie twarz i bolały ręce. Intruz mruczał i jęczał. Tomek przycisnął mu do karku mokry ręcznik, a do nosa naręcze chusteczek.

– Mam nadzieję, że nie jest złamany – powiedział.

– A dlaczego właściwie? – zainteresowałam się. – Jak się wystaje pod cudzymi domami, to można się spodziewać, że się dostanie w końcu po pysku.

Tomek ciężko westchnął i zobaczyłam, jak wymieniają spojrzenia z intruzem.

– Chwila – powiedziałam. – Czy wy coś...

– To jest pan Karol Żabczyński – odparł z kolejnym westchnieniem Tomek. – Wpadł do nas na chwilę. To znaczy do ciebie wpadł, bo to twój dom. Pan Karol jest bratem...

– Cholera – mruknęłam i zaczęłam się szamotać ze strzępami kurtki, bo nagle zrobiło mi się gorąco.

Żabczyński. Jak Jasiek. Czyli ten człowiek musiał być jego bratem. Mężczyzną po przejściach, który teraz pracuje w biznesie choinkowym.

– Właśnie – ciągnął Tomek. – Pan Karol wpadł na chwilę, przyniósł ci wielkie pudełko czekoladek i jeszcze paczkę trufli, żebyś mogła zawiesić na choince, jak robiła twoja babcia...

– Fakt, robiła tak.

– Mhm. I pan Karol chciał przeprosić za to, że spóźnił się na pogrzeb. To znaczy nie, żeby został o nim oficjalnie poinformowany, ale wisiała klepsydra i tutejszy ksiądz Gand... proboszcz informował po mszy w ogłoszeniach parafialnych, gdzie się odbędzie ceremonia. Pan Karol niestety wyruszył później, niż zamierzał, i utknął w korku. A kiedy zobaczył ciebie na cmentarzu, poczuł się jak intruz, więc wolał odejść.

– Uciec – poprawiłam.

– Pan Karol był pewny, że babcia opowiedziała ci o nim i o jego bracie, i uważał, że masz pełne prawo czuć do nich pewną rezerwę. A już zwłaszcza do niego.

Zmrużyłam oczy, a Tomek wzruszył ramionami.

– Cóż za wyrafinowany język – syknęłam.

– Mama uczyła mnie, że gości trzeba traktować z szacunkiem.

Musiałam przyznać, przed nimi i samą sobą, że pogwałciłam dzisiaj wszelkie prawa gościnności. Ale skąd mogłam wiedzieć?

Sięgnęłam po telefon.

– Zadzwońię po Jaśka. Jest neurologiem, ale umie chyba rozpoznać, czy nos jest złamany, czy nie.

*

– Mówiłem ci chyba ze sto razy, żebyś się nie czaił pod domem, tylko normalnie zapukał! Kamila jest bardzo sympatyczną osobą!

Jasiek zamachał nerwowo rękami nad swoim bratem, a ja spuściłam głowę. Karol mógł prawdopodobnie powiedzieć o mnie wiele rzeczy, ale raczej nie to, że jestem bardzo sympatyczna. Tomek, dziwnie zrezygnowany, wrócił do przemywania zadrapań na mojej twarzy wodą utlenioną. Usiłowałam nie podskakiwać, choć piekło niemiłosiernie. Czułam coraz mocniejszy ból w kościach i łzawiły mi oczy.

– Naprawdę? – szepnął. – I po co ci to było? Mogliśmy pójść razem, wziąłbym...

– Byłaś nad jeziorem – rzucił niby od niechcenia Jasiek i nie było to pytanie. – Nos nie jest złamany – zwrócił się do brata. – Ale niewiele brakowało, to był piękny cios.

Karol Żabczyński zerknął na mnie niechętnie i wrzucił zakrwawione chusteczki higieniczne do podsuniętego przez Jaśka worka.

– Czy mógłbym skorzystać z łazienki? – zapytał.

– Zaprowadzę pana – zaoferował Tomek.

– Nie trzeba „pan”, wystarczy Karol.

Jasiek przejął wacik z wodą utlenioną, ujął mój podbródek i obejrzał pod światło zadrapania.

– Nie wygląda to jakoś bardzo źle, ale i tak nieźle się załatwiłaś.

– Wyjdę z tego, panie doktorze?

– Chcesz wiedzieć, czy ucierpi na tym twoja uroda? Nie sądzę.

Spojrzał mi w oczy, a ja chciałam opuścić głowę, ale niestety Jasiek wciąż trzymał mnie za podbródek.

– Powinnaś się przebrać, bo trzęsiesz się z zimna – powiedział miękko. – Masz jakieś witaminy? Musisz coś wziąć, wypić gorącą herbatę i od razu położyć się do łóżka. Inaczej jutro będziesz chora i spędzisz święta z gorączką.

Nie odwrócił wzroku, wciąż dokładnie oglądał moją twarz.

– Babcia robiła różne syropy z czarnej porzeczki, malin i lipy, powinno pomóc.

Pokiwał głową i pochylił się. Przez chwilę miałam wrażenie, że chce mnie pocałować.

– Przepraszam za Karola. Śmierć twojej babci mocno go ruszyła, cały czas powtarza, że nigdy się jej nie odwdzieczył.

– Nie sądzę, by dla niej miało to jakiegokolwiek znaczenie. Ona nie pomagała ludziom po to, by potem byli jej wdzięczni.

Nadal patrzyliśmy sobie w oczy, kiedy Tomek stanął w progu i głośno chrząknął. Wydawał się zły.

– Przeszkadzam?

Jasiek zmieszał się i zabrał dłoń z mojego podbródka, a ja wstałam z krzesła.

– Pójdę się przebrać – powiedziałam i szybko wyszłam z salonu.

Skóra na policzkach piekła mnie jeszcze mocniej, ale tym razem chyba nie od zadrapań.

*

Wzięłam gorący prysznic i przebrałam się w ciepłą piżamę. Czułam, jak opuszcza mnie wszelka energia, i nie miałam już siły zejść na dół, by zrobić sobie herbatę. Schowałam się w swoim pokoju i skuliłam pod kołdrą. Słyszałam, jak Tomek rozmawia jeszcze w salonie z Jaśkiem i Karolem, a potem żegna się i odprowadza ich do drzwi. Kiedy przed domem zamruczał silnik, na schodach zadudniły kroki. Tomek biegł po dwa stopnie, jak zwykle. Zajrzał do mnie po cichu, a ja mruknęłam, że nie śpię.

– Poszli. Twój nowy chłopak bardzo chciał cię jeszcze zobaczyć, ale w końcu odpuścił.

Dźwignęłam się na łokciu do pozycji półsiedzącej.

– Przecież wiesz, że to nie jest żaden...

– Kami, ja nie wnिकam, naprawdę.

Machnął ręką, ale unikał mojego wzroku. Nie miałam siły się z nim kłócić.

– Przyniosę ci herbatę – powiedział.

– Dzięki. Tomek? Przepraszam.

– Za co?

– Za to, że tak po prostu dzisiaj... uciekłam. Wiem, że się martwiłeś. Ja też bym się martwiła na twoim miejscu. Ale musiałam...

– I poczułaś się lepiej? Zrobiłaś to, co musiałaś?

– Tak. Tak myślę. Jeśli jutro będę w miarę żywa, mog-libyśmy wziąć jakieś ostre narzędzia i pójść do zagajnika za jeziorem. Tam się nie da przejść bez jakiegoś sekatora czy chociaż noża. Sama nie dam rady. A wydaje mi się... wydaje mi się, że tam coś jest. Albo kiedyś było. Coś związanego z moim dziadkiem.

– I chcesz iść tam ze mną?

– A z kim?

Uśmiechnął się szeroko i wyszedł z pokoju.

Opadłam na poduszkę i naciągnęłam kołdrę po sam nos. Pomyślałam o tym, jak chrząknął w progu, kiedy Jasek i ja patrzyliśmy sobie w oczy. I jak uznał, że „nie wnika”. Nigdy wcześniej nie zawisło między nami takie napięcie. Pracowaliśmy razem i przyjaźniliśmy się, ale to było wszystko. Przynajmniej jak dotąd z jego strony. Kiedy się poznaliśmy, przez pewien czas myślałam o nim inaczej i liczyłam na coś więcej, choć nigdy się z tym nie zdradziłam. On ciągle kogoś miał, a i ja nie żyłam w celibacie. Nigdy go nie zapytałam, czy domyślił się wtedy moich uczuć i świadomie nic o nich nie wspominał, by nie psuć naszej relacji. Nie zaczęłam tematu. Nie zaprosiłam go na kawę – na inną „kawę”, niż zazwyczaj piliśmy. A wreszcie mi przeszło. Coś spowszedniało, zasklepiło się i uspokoiło. Nie byłam pewna, czy teraz warto to naruszać. Zresztą, moje uczucia się zmieniły. A dziś coś we mnie pękło. Chyba teraz dopiero tak naprawdę pozwoliłam Adamowi odejść.

Wrócił Tomek i przyniósł mi herbatę.

– Może upiekę ten piernik?

– Poradzisz sobie sam?

– Żartujesz? Ogląda się Gordona Ramsaya przecież.

Upiłam łyk gorącego naparu z lipy i przymknęłam oczy. Chciałam tylko spać.

ROZDZIAŁ 22

Nie mogłam się powstrzymać i na śniadanie ukroiłam sobie kawałek piernika, który Tomek faktycznie upiekł. Cierpliwie wysłuchałam komentarzy o tym, że piernik musi się „odstać”, i oblizałam palce z polewy czekoladowej. Chyba sama nie upiekłabym lepszego, ale nie powiedziałam tego głośno.

– Pycha – mruknęłam tylko i sięgnęłam po kawę, która sprawiła mi dziś jeszcze większą przyjemność niż zazwyczaj.

Odrobinę drapało mnie w gardle i mówiłam przez nos, miałam kilka śladów na twarzy po bliskich spotkaniach z krzakami, opuchnięte ręce i bolące nadgarstki, nieprzyzwyczajone do karczowania lasu, ale poza tym po wczorajszej przygodzie nie pozostały mi żadne inne pamiątki. Czułam się zaskakująco dobrze i nawet porządnie się wyspałam. Zerknęłam przez otwarte drzwi do salonu i na chwilę wpatrzyłam się w kolorową choinkę. Do Wigilii zostały już tylko trzy dni. Nie czułam świątecznego nastroju, ale piernik Tomka nieco poprawił mi humor. Nadal jednak jedyną rzeczą, nad którą się zastanawiałam, było to, czy uda mi się w tak krótkim czasie odczytać wszystkie wskazówki babki. Czułam się trochę jak Scrooge nawiedzany przez swoje trzy duchy. W celebrowaniu Bożego Narodzenia przetrwało wiele pogańskich zwyczajów, między innymi ustawianie na wigilijnym stole talerza dla „zbląkanego wędrowca”. To wcale nie jest talerz dla wędrowca. To talerz dla ducha, dla zmarłego z rodziny, który może dołączyć do wieczerzy i spotkać się z żyjącymi. Dawniej w niektórych domach ustawiano nawet dla ducha osobny stolik, a na nim potrawy bez soli i przedmioty bez żelaza. Duchy nie lubiły ani soli, ani żelaza. Pomyślałam o babce. Nigdy nie zapomniała o pustym talerzu. Być może w tym roku powinnam ustawić dwa.

Tomek dokończył sprzątanie kuchni i nalał sobie kawy.

– Miałem kiedyś ciotkę – powiedział. – Mieszkała na wsi, na Mazowszu. Byłem w podstawówce, kiedy zmarła, ledwo skończyłem dziesięć lat, ale rodzice uznali, że powinienem pojechać z nimi na pogrzeb, choć wiedzieli, jak ten pogrzeb będzie wyglądał. Nie tak, że przychodzisz do kaplicy, na cmentarz i na obiad. To była tradycyjna, wiejska rodzina.

– I trzymali ją w domu przez kilka dni – domyśliłam się.

– Tak. W pokoju, z którego można było wyjść do ogrodu. Ustawili przy niej świece i ciągle ktoś tam siedział, śpiewali, modlili się. Była wtedy późna wiosna, przyroda zaczęła żyć, ogród wydawał się bujny, pachniał w ten osobliwie ciężki sposób. To zawsze jest ten dziwny czas, kiedy człowiekowi się wydaje, że coś wisi w powietrzu. Jakieś napięcie. Drugiego dnia rozszalała się burza. Wcześniej odmówiłem spania w tym domu, rodzice ulegli i rozbili mi namiot w ogródku. Przez tę burzę kazali mi jednak wejść do domu i poczekać, aż przejdzie. Nie wiedziałem, co jest straszniejsze: burza czy trup. Nie mogłem się też powstrzymać i z ciekawości zajrzałem do tego pokoju, siedziały tam nadal ubrane na czarno wiejskie babki. I nagle...

– Otworzyła oczy? Twoja ciotka?

– Skąd wiesz?

– Słyszałam już takie historie. W ciele zachodzą różne procesy i ono wciąż jakoś tam reaguje na bodźce. Na wyładowania atmosferyczne także. Co zrobiłeś?

– Krzyknąłem, a jedna z babek kazała mi się pomodlić.

– Pomogło ci?

– Tak. O dziwo, tak. Nie chodziło o przeżycie duchowe, przynajmniej teraz wydaje mi się, że nie, wtedy nie byłem pewny. Ale o powtarzalność słów, gestów, pewną melodię, rytm. Podziałało to na mnie kojąco. I jeszcze...

– Wspólnota.

– Właśnie. Byliśmy tam razem. Obecność tych babek, dla których sytuacja była taka naturalna, które w ogóle się nie bały, tylko oddawały się rytualnym czynnościom, podnosiła na duchu. Przypomniało mi się to wszystko, kiedy z tobą po raz pierwszy rozmawiałem.

– Skojarzyłam ci się ze zmarłą ciotką? No to świetnie.

– Nie! Chodzi mi o to, że tak samo się przy tobie poczułem. Podniesiony na duchu. Spokojny.

– W życiu bym nie pomyślała, że działałam na ciebie kojąco, raczej coś przeciwnego.

Roześmiał się, ale atmosfera nagle zgęstniała i miałam wrażenie, że Tomek chce powiedzieć coś jeszcze. Coś, co niekoniecznie w tej chwili chciałam usłyszeć.

Szybko dopiłam kawę.

– Zastanawiam się, co teraz – powiedziałam. – Gdzie szukać kolejnych prezentów od babci, która twoim zdaniem wcale nie była złośliwa. Coś mi chodzi po głowie.

Tomek lekko zmarszczył brwi, ale pozwolił mi na zmianę tematu.

– Jest jeszcze ten VHS – odparł. – Możemy już kupić magnetowid czy nadal czekamy, aż sam spadnie nam z nieba?

– Jeszcze chwilę poczekajmy.

– I jesteś przekonana, że chcesz iść karczować zagajnik, czy masz po wczorajszym dość?

– Chcę, chcę, jasne.

– To najlepiej będzie niedługo się zbierać, na półkach w piwniczce widziałem takie fajne duże nożyce.

Mechanicznie pokiwałam głową, ale myślami byłam gdzie indziej. Nie całkiem wiedziałam gdzie. Półki. Płócienne torby. Fartuchy. Było jeszcze jedno miejsce, którego nie przeszukałam. Choć oczywiście tam zaglądałam. Nigdy nie przeszukujemy zbyt dokładnie miejsc, które wydają nam się prozaiczne i dobrze znane.

– Kami? Masz jedną ze swoich wizji?

Wstałam z krzesła, a Tomek odsunął swój kubek z niedopitą kawą. Spojrzałam na schowek za kuchnią. Podeszłam bliżej i sięgnęłam do klamki. Było tam coś, co tkwiło na widoku, ale nigdy tego nie ruszałam. W każdym domu znajdują się takie rzeczy, patrzymy na nie co dzień, mijamy je, są integralną częścią przestrzeni. Ale dotykać, podnosić, zaglądać pod spód?

Tomek bez pytania o szczegóły ruszył za mną.

Po wewnętrznej stronie drzwi do schowka na wbitym w drewno gwoździu wisiły trzy kuchenne fartuchy. Jeden dość nowy, ode mnie. Lniany, z nadrukiem, który specjalnie dla babki zamówiłam po tym, jak spodobała jej się torba na zakupy. „*Keep calm and drink orzechówka*”. Zdjęłam go i delikatnie przewiesiłam przez krzesło. Drugi fartuch, stary, w kratę, bardzo poplamiony. I wreszcie trzeci, którego używała rzadko. Chyba jakiś prezent od jednej z koleżanek. Na kieszeni z przodu miał niewielki haft krzyżykowy przedstawiający kobietę z profilu. Na głowie kobiety tkwił kapelusz z kwiatkiem. Chwyciłam fartuch i podałam go Tomkowi.

– To jakaś wskazówka?

– Nie wiem. Myślałam, że tak, ale w tych fartuchach nic nie ma.

– Może musisz spojrzeć inaczej.

– Na schowek?

– Tak. Chyba wiem, jak kombinujesz. Może jest tu jeszcze coś, po czym normalnie prześlizgujesz się wzrokiem. Co jest tu od zawsze. I może...

Uniosłam dłoń, a on umilkł. Miał rację.

Podeszłam do półki z książkami kucharskimi babki. Część z nich była odwrócona grzbietami do ściany, nie wiedziałam więc tak naprawdę czy na pewno są to książki kucharskie. Po prostu tak założyłam, bo wszystkie inne tomy dotyczyły gotowania. Zaschło mi w gardle, kiedy ściągnęłam cieką publikację w miękkiej oprawie. Spojrzałam na okładkę. Adam Fischer, *Hypnotyzm i spirytyzm*. Bez słowa podałam ją Tomkowi i sięgnęłam po kolejne. Pół godziny później na stole w kuchni leżało osiem książek zbliżonych do siebie tematyką.

Najnowsze tajemnice i zagadnienia Czarnej magii, Hypnotyzmu, Spirytyzmu i Magnetyzmu.

Świat duchów, czyli Sny, przeczucia i widzenia.

Demonomania. Tajemnice magii i spirytyzmu w świetle nauki.

Ze świata tajemnic: metapsychika, okultyzm, spirytyzm.

Tajemnice czarnej magii. Czy żywi mogą rozmawiać z umarłymi?

Wpatrywałam się w to wszystko i miałam wrażenie, że otwiera się przede mną wielka ciemna otchłań. To nie mogły być książki babki. Babka... Ona była jak ja. Nie wierzyła w duchy, ale nie wykluczała ich istnienia. Lubiła mroczne historie, w których nic nie wydawało się oczywiste, lubiła wszelkie przejawy tego, co trudne do wytłumaczenia, bo każda taka rzecz ukazywała słabość człowieka, który nie powinien nigdy popadać w pychę. A dziadek? S.? Ponoć miał „dar” czy jak to się tam nazywało. Albo przypadłość, konkretną neurologiczną przypadłość. Uszkodzenie mózgu, które oddziaływało na ośrodki mowy i wywołało halucynacje. Naprawdę powinnam porozmawiać o tym z Jaśkiem. Ale jeśli dziadek miał dar czy też medyczną przypadłość – po co mu były wszystkie te książki? Oszukiwał? Babka wiedziała? Jeśli oszukiwał, dlaczego odszedł do lasu,

dlaczego nie potrafił wytrzymać sam ze sobą? Jeśli oszukiwał, dlaczego babka zostawiła mi tę opowieść o człowieku, który rozmawia z umarłymi?

Tomek przekartkował jedną z książek. Widziałam, że nie ma pojęcia, co powiedzieć. Sięgnęłam po *Świat duchów* i przeczytałam fragment na głos.

– „Orygenes w pierwszej swojej księdze przeciw Celsowi, zapewnia że wielka liczba pogan została chrześcijanami, skutkiem widzeń jakie mieli i że Duch Święty zmienił nagle ich usposobienie, tak że nauczeni i pokrzepieni temi widzeniami, bądź we śnie, bądź czuwając, nie lękali się umierać za naukę, do której dotąd wstręt mieli”*

Tomek sięgnął po *Czy żywi mogą rozmawiać z umarłymi?* Przewrócił kilka stron i chrząknął.

– „Wiem, że większość ludzi nie ma zaufania do możliwości porozumiewania się ze światem duchowym – z tymi, którzy umarli i odeszli od nas; większość uważa to za oszustwo. Ale skoro tak wielka liczba ludzi poświadcza ten fakt i to ludzi, którzy nie mają żadnego celu w oszukiwaniu innych, sprawa przedstawia się w całkiem innym świetle. Wiem, że wielu ludzi nie wierzy wcale w istnienie jakichś duchowych istot; ale czyż Jezus Nazareńczyk nie przemawiał do duchów, które są w więzieniu i czyż to nie jest dowodem, że ludzie, którzy przedtem umarli, byli wówczas żywymi i mogli słyszeć kazania Jezusa? A jeśli tak jest, to czyż nie jest rozsądną rzeczą przypuszczać, że umarli mogą się z nami porozumiewać?”**

Odłożył książkę i na chwilę zapadła cisza.

– Cholera – odezwałam się w końcu. – Babka nie chciała mi chyba powiedzieć, że mam to wszystko przeczytać? Żebym na przykład lepiej rozumiała dziadka? Bo to już by była naprawdę gruba przesada.

– A może nie? Może on też próbował zrozumieć?

– Samego siebie? To, co w nim siedzi? Chcesz powiedzieć, że próbował się zdiagnozować, ustalić, czy jest normalny, czy może nie?

– To był twój dziadek, przypominam.

– Tak. Nie ceniony malarz Franz Sedlacek, tylko... jakiś... czubek...

– Proszę cię.

– Wiem, nie powinnam tak mówić. Rozmawiałam z ludźmi, którzy całkiem serio mówili mi, że widzieli duchy. Gdybyś zaprojektował sobie trochę nagrobków i położył tyle co ja po cmentarzach...

– Trochę chodzę – wtrącił.

– Tego jest dla mnie za dużo – jęknęłam. – A jeśli on po prostu był szalony? To najbardziej racjonalne wyjaśnienie. Był szalony, a ja dostałam to szaleństwo w genach.

Nie odpowiedział, tylko kartkował kolejne książki. Nagle potrząsnął jedną z nich i coś wyleciało na stół. Kilka złożonych na czworo arkuszy pożółkłego papieru. Kolejne przesłanie z zaświatów.

– Na szczęście po polsku. Mam przeczytać na głos? – zapytał.

– Tak. Zaparzę dzbanek melisy.

* L. Rogalski, *Świat duchów czyli Sny, przeczucia i widzenia*, Warszawa 1870, s. 9 (pisownia oryginalna).

** J.F. Rutherford, *Czy żywi mogą rozmawiać z umarłymi? Jasne wytłumaczenie spirytyzmu*, New York 1920, s. 6 (pisownia oryginalna).

ROZDZIAŁ 23

S. słyszał nieraz, jak matka rozmawia z sąsiadkami po niemiecku i łowił pojedyncze słowa. Fascynowało go to, że po niemiecku matka mówi o wiele szybciej i pewniej, przez co wydaje się inną osobą, energiczniejszą, pewniejszą siebie i weselszą. Po polsku mówiła zawsze wolno, skupiała się na budowie zdań, doborze słów, a na koniec zawsze patrzyła pytająco, bo nigdy nie była przekonana, czy oddała sens. Wtedy stawała się nieśmiała, krucha, delikatna. Jak dziecko, które odpowiada przed nauczycielem i nie jest pewne swojej wiedzy. Była Niemką, która zakochała się w Polaku. Jej rodzice, co raczej oczywiste, nie zgodzili się na ślub. Nie chodziło o kwestie majątkowe, żadne nie pochodziło z bogatego domu. Robotnicze środowisko, na życie starczało, było gdzie mieszkać i w co się ubrać, ale żadnych ekstrawagancji, nic ponad stan. Nie istniało dla nich coś takiego jak „dodatkowe pieniądze”, liczył się każdy grosz. Jeśli gospodarowało się mądrze, to się nie biedowało. Rodzice matki S. mieli więc problem wyłącznie z narodowością jej wybranka. Polak? A to już Niemców żadnych w mieście nie ma? Może jeszcze jej wywody robi o Piastach, że byli tu pierwsi, że Breslau należy się Polakom?

Musiała być bardzo zakochana, bo opuściła dom i wyszła za mąż bez zgody rodziców. Zmieniła wiarę z ewangelickiej na katolicką. To już pogrzebało ją w oczach rodziców ostatecznie. Przeniosła się do męża, który zdecydował, że syna nauczą najpierw języka polskiego. A niemieckiego to może, jak już pójdzie do szkoły. Nie było to zbyt mądre w sytuacji, gdy posyłało się dziecko do niemieckiej szkoły w niemieckim mieście. S. widział niejednego takiego lebka, co po niemiecku tylko się umiał przedstawić i policzyć do dziesięciu. Patriotyczni polscy rodzice wyświadczaali dzieciom niedźwiedzie przysługi. S. umiał niemiecki dość dobrze, gdy zaczynał szkołę. Podśluchał od matki, a potem poprosił ją, by go uczyła. Robili to w tajemnicy przed ojcem. Ojciec uważał oczywiście, że znajomość niemieckiego i niemieccy koledzy sprawią, że syn się wynarodowi. A S. chciał po prostu mieć przyjaciół. Chciał umieć się porozumieć ze światem. Mieszkali w Breslau, a tu byli głównie Niemcy. Matka się nie sprzeciwiała. Sama żyła na styku światów, odrzucona przez Niemców i nieakceptowana przez Polaków. Pytał ją czasem, czy żałuje. „Mam ciebie – odpowiadała. – Jak mogę żałować?”

S. chodził więc do niemieckiej szkoły, gdzie mówił po niemiecku i przez to miał trochę lepiej od tych, co nie mówili. Ale kiedy kazali zapisywać mu swoje imię po niemiecku, z inną końcówką, odmawiał. Dostał za to parę razy po łapach. Nazywano go „Polacke”. Nic na to nie mówił, bo co miał mówić?

Po zakończeniu szkoły znalazł pracę w domu handlowym Braci Barasch, na stoisku z konfekcją męską. Znajomość dwóch języków zadziałała na plus, dom handlowy odwiedzały chętnie zamożne polskie damy i panowie z „towarzystwa” będący w podróży. S. miał też bardzo dobre ucho, szybko podłapywał jeszcze więcej języków i z wdziękiem wrzucał w rozmowę także słówka francuskie. Poza tym zauważył u siebie zdolność do obserwacji. Widział ludzi. Czytał wiele z ich gestów, tonu głosu, spojrzeń. Wiedział dobrze, która kobieta jest nieszczęśliwa w małżeństwie, która cierpi, bo nie ma dzieci, a która ma ich za dużo. Zauważał zmęczenie, niespełnienie, nerwowość, podskórne lęki. Wykorzystywał to. Umiał sprzedawać towar i sprawić, by klient wrócił. Przekonywał tych ludzi, że wie, czego potrzebują.

Już wtedy czuł, że coś być może jest z nim nie tak. Podczas rozmowy z pewnymi osobami ogarniał go nagły chłód lub pocił się, ścisnęło go w żołądku, w gardle. Wszystko szybko mijało, ale później ta osoba nigdy nie wyglądała tak samo, coś się do niej przyczepiało. Słyszał potem o śmierci, nieszczęściu, wypadku, chorobie, nie zawsze była to wielka tragedia, czasem po prostu seria niefortunnych zdarzeń. Na szczęście nie czuł się tak zbyt często, nie każdego dnia i nie w odniesieniu do wszystkich ludzi, których spotykał. Tylko od czasu do czasu. Ale kiedy już się to działo, było silne, niemal nie do zniesienia.

S. nauczył się mówić z ludźmi o ich przyszłości, prognozować ją. Kobiety śmiały się, że jest wróżem, ale on zaprzeczał, po prostu wyciągał wnioski z obserwacji. Korzystał z nich połowicznie, mówił to, co panie chciały usłyszeć. Nigdy nie czerpał ze swoich złych przeczuć. A miewał je także wobec tych, które pytały, jak potoczą się ich losy. Nie umiał im powiedzieć, że niebawem umrą, stracą pieniądze lub poważnie zachorują. Człowiek nie może wiedzieć takich rzeczy. Oszałałby.

Wybuchła wojna i S. został wysłany na front. Oczywiście w niemieckim mundurze, nie było wtedy Polski. Nie miał wyjścia, musiał jechać. Jego ojciec już wtedy nie żył, matka mówiła, że to w zasadzie dobrze, bo nie widzi. Syn w pruskim mundurze byłby dla niego czymś nie do udźwignięcia. Ona sama wyraziła

współczucie wobec jego polskiej strony osobowości. W jakiś sposób na pewno był dwoisty, dziwny, ani Polak, ani Niemiec. Pojechał na front i stał w okopach. Był zaskoczony tym, że się nie boi. Nie wiedział, skąd się bierze pewność, że to jeszcze nie jest jego czas. Może tak jak umiał przewidzieć śmierć niektórych ludzi, przyjdzie moment, że przewidzi własną. Strzelał i unikał strzałów. Patrzył na innych młodych chłopców, na wielu chłopców znacznie młodszych od niego, i wiedział, po prostu wiedział. Widział mnóstwo cudzej śmierci dookoła. Mnóstwo osób już umarłych za życia, z pustym spojrzeniem albo szaleństwem w oczach, z przekonaniem, że po czymś takim nie ma już żadnej normalności, domu, zwykłych rzeczy. Czasem więc S. mówił takim osobom, że czeka je jeszcze mnóstwo dobrego, że muszą tylko po to sięgnąć. „A ty skąd to wiesz?”, pytali. „Po prostu wiem”. Bawił się w prognozy, przewidywał różne sprawy. Był zdania, że cesarstwo niemieckie się rozpadnie. I Austro-Węgry. Ale nie dlatego, że miał jakiś „dar”. Wyciągał wnioski z tego, co dookoła. Nie lubił się oszukiwać. Ani siebie, ani innych.

Nazywali go jasnowiedzem. „Mógłbyś robić na tym pieniądze”, powiedział ktoś.

Wojna się skończyła i było tak, jak przewidział. Rozpadły się cesarstwa, powstała niepodległa Polska. S. wrócił do Breslau, które dalej było niemieckie, i zastał chorą matkę. Żyła jeszcze przez rok. Opiekował się nią i łapał dorywcze prace. Czasem zachodził pod dom Braci Barasch i widział siedzących przy wejściu okaleczonych weteranów, którzy przelewali krew za Vaterland, a teraz zaczepiali eleganckie damy i zebrali o grosik. Nie starał się o posadę. W pewnym sensie jego koledzy z okopów mieli rację, po „tamtych” nie może być jak dawniej.

Kiedy matka zmarła, spakował się i ruszył do Polski, do Warszawy. Tam szybko zrozumiał, że wcale nie mówi dobrze po polsku, że ma „paskudny szwabski akcent” i albo się go oduczy, albo zrobi z niego atut. Pomyślał o tym, co mówili koledzy. „Jasnowiedz”. „Mógłbyś robić na tym pieniądze”.

Kupił sobie różne książki o spirytyzmie, żeby wiedzieć coś więcej o zjawisku i społecznych wobec niego nastrojach.

Nie czuł się dobrze, kiedy zaczynał. Miał poczucie, że jest w tej działalności coś brudnego i nieprzyzwoitego, że źle wykorzystuje swoją umiejętność wyciągania wniosków i czynienia obserwacji. Ostatecznie jednak nie straszył ludzi śmiercią. Nie mówił im czegoś, co nie mogło się spełnić. Zastrzegal sobie prawo do błędów. I był zaskoczony, jak bardzo ludzie lgnęli do tych rzeczy. Spirytyzm, wywoływanie duchów, media, wirujące stoliki. To wciąż było modne. Słyszał, że na niektórych seansach widywało się znane osobistości, artystów, pisarzy, nawet polityków i wojskowych, jak Wieniawa-Długoszowski. Z pisarzy chadzał Reymont. Zachwycał się ponoć jakąś kobietą medium.

S. był inny. Żadnych wirujących stolików i ogłoszeń w gazecie. Tylko poczta pantoflowa. I zwykła rozmowa, taka z patrzeniem w oczy i trzymaniem za rękę. Zwłaszcza panie to lubiły. S. uznał, że nie jest to najgorsza forma zarobku.

Nadal miał czasem uczucie chłodu lub oblewał się zimnym potem w obecności niektórych osób. Czasem był to strach. Coś nowego. Strach nie o siebie, ale o nie. Mówił im rzeczy, które chciały usłyszeć, a jednocześnie mocniej ścisnął ich dłonie, tak naprawdę pragnął powiedzieć, by nie wychodziły, by zostały, ukryły się, przeczekały. Wiedział, że nie dało się przeczekać. Nie miał pojęcia, co miało się im konkretnie przytrafić, po prostu czuł, że się stanie, niezależnie od tego, co zrobią. Nie mógł ich zatrzymać. Nie powinien mówić. Mówienie o przyszłości, o rzeczach nieuniknionych, wprowadziłoby w ich życie paraliżujący lęk.

Kupował sobie kolejne książki o spirytyzmie. Czytał o mediach, o transie, nawiązywaniu łączności z duchami, wzywaniu ich. I myślał, że to kłamstwo. Bo to tak nie wygląda. Zupełnie nie tak.

Z czasem S. zaczął wyczuwać śmierć w konkretnych miejscach. Na przykład w kamienicy, którą mijał. Nie umiał powiedzieć, czy ktoś już tam zmarł, czy to dopiero miało się stać. Nie lubił swojej przypadłości, która wciąż się pogłębiała i przeobrażała. I nadal nie nazywał jej darem. Chciał spokoju. Ciszy. Niewiedzy. Tęsknił do normalnego życia, do zwyczajnego patrzenia na ludzi. Chwilami bywał wyczerpany, nawet gdy długo spał, gdy pozwalał sobie cały dzień spędzić w łóżku. Rozumiał już, że spokój zależy od tego, co ma się w głowie. I że on sam nigdy nie odpocznie.

Niekiedy widział ich w oknie. Patrzyli na niego i uśmiechali się albo wręcz przeciwnie, byli smutni. Uśmiech pewnej kobiety wydawał mu się dziwny, kąciki ust niemal sięgały uszu. S. dowiedział się, że w jednym z mieszkań tej kamienicy zamordowano kurtyzanę i odtąd wciąż słyszał tam czyjeś kroki, przesuwanie mebli i przedmiotów, czasem głosy. Innym razem przechodził obok domu, w którym wyczuł dużo śmierci, dużo skumulowanego zła, jakąś siłę, która odbiera ludziom chęć do życia. „Panie, tu aktorkę zamordowano.

Kochanek ją zastrzelił. To pan nie wie? A teraz tutaj sami samobójcy, jakby ona każdego za sobą ciągnęła”. Widział to i czuł, coraz mocniej, głębiej.

Niekiedy siadał na ławce w parku i starał się po prostu nie myśleć. Patrzył na młodych ludzi, na dzieci, na wszelkie przejawy życia. Na tym musiał się skupić. Na tym, co tutaj, co ma w sobie krew i oddech. Być może to był właśnie ów „dar”. Docenić życie. Zauważyć jego kruchość i krótkość, ale też je celebrować i smakować.

Niestety, wyczuwał również żalobę. Wiedział, że strata i tęsknota przyklejają się do człowieka i bywa, że nigdy go nie opuszczają. Nie umiał nazwać tego „duchem” czy „zjawą”, ale takim osobom zawsze coś towarzyszyło.

Jak dziewczynie, która płakała za małą pianistką.

I jak jej. Tamtej kobiecie, która kiedyś do niego przyszła.

Był zmęczony, czuł, że ludzie, z którymi spotkał się tego dnia, wyszali z niego resztkę sił. Drżały mu dłonie i cierpła skóra. Ale to nie było to co zawsze, nie przecucie, że kobietę spotka coś złego. Niosła na barkach ciężar, wyraźny i namacalny. Nie płakała. Była po prostu przytłoczona żalem, przygięta do ziemi.

Powiedziała, że nie ma już siły. Że choć jej narzeczony odszedł dwa lata temu, ona wciąż nie może się podnieść po tej stracie. Każdego ranka budzi się z przekonaniem, że on nadal żyje i już za chwilę się zobaczą. To nie mija, za nic nie chce minąć. Mówiono jej, że musi przejść przez żalobę, ale później powinna zacząć nowe życie, jest młoda i ładna, ma rodzinę, przyjaciół, wykształcenie. Świat stoi otworem przed takimi jak ona. Kobieta jednak wciąż budziła się z poczuciem, że jej narzeczony żyje, a kiedy docierała do niej prawda, od razu traciła wszelką siłę. Nic jej nie cieszyło, w niczym nie umiała znaleźć spełnienia. Czekala, aż zakończy się kolejny dzień, by móc obudzić się rano i choć przez chwilę, przez minutę, to czuć. On żyje. Istnieje. Jest dotyk jego dłoni, jego zapach, głos.

„Czy to minie?”, zapytała.

S. spojrział na nią. Na jej ciemne, lśniące włosy, piękną skórę, duże brązowe oczy. Usta bez uśmiechu. I nagle poczuł, że nie potrafi jej okłamać.

„Nie. To nie minie”, odparł.

Pokiwiała głową. Położyła na stole pieniądze, ale ich nie przyjął. Chciał jeszcze coś powiedzieć, że może powinna czerpać siłę z tego wielkiego uczucia, którego doświadczyła, że to coś pięknego, bo wielu ludzi na świecie nigdy nie wiedziało i nie będzie wiedziało, czym jest miłość. Nie zdążył. Wyszła, a on słuchał echa jej kroków na schodach, aż całkiem ucichło.

Myślał, że coś złego się wydarzy, że ona odbierze sobie życie, a on będzie musiał to nieść. Dodatkowy ciężar do tych, które już miał. Ale nic takiego się nie stało. Zresztą – nie czuł tego, nie przewidział, nie dostrzegł nic wokół niej poza stratą i tęsknotą. I tak jednak nie mógł się otrząsnąć po tym spotkaniu. Miał wyrzuty sumienia, że nie dał jej nawet grama nadziei. Wyszła od niego pewna, że nic i nikt nigdy jej nie pomoże. Przyproceedziła ją do niego chęć poukładania życia i odnalezienia szczęścia, a on nie podarował jej nawet jednego dobrego słowa.

Szukał jej w twarzach przechodniów i w twarzach duchów, które patrzyły na niego z okien kamienic. Nie znalazł. Myślał o niej, o tym, jak ją zawiódł. Wciąż miał przed oczami jej twarz, zastygłą jak pośmiertna maska. Najgorsze, że nie wiedział, kim lub czym jest. Czy jest żywa. Czy jeszcze jest.

Pod koniec kolejnej wojny S. spotkał w lesie F. i usłyszał od niego podobną historię, o ciemnowłosej dziewczynie, która znalazła obraz z nietoperzem i pianinem i której F. nie pomógł.

Dopiero po latach S. opowiedział tę historię swojej ukochanej kobiecie, tej, z którą związał własny los. Tej, która oplakiwała małą pianistkę. I dopiero ona pokazała mu to z innej strony.

„A jeśli tamta kobieta nie przyszła po nadzieję?”

Zapytał, po co w takim razie mogła przyjść.

„Po prawdę – odparła. – I dostała ją”.

Mimo to S. nie wiedział. Nie miał pewności, aż do samego końca.

ROZDZIAŁ 24

Jak to się stało, że babka z nim tu przyjechała? Jak to się stało, że miał szkicownik Sedlacka i jego zapiski z bitew nad Isonzo? Kiedy się znowu spotkali z babką po tamtej rozmowie w Łazienkach? Wiedziałam więcej, niby wszystko, a tak naprawdę nadal nic.

Ból w ramionach i nadgarstkach zaostrzył się, ale starałam się go ignorować. Atakowałam nagie, mokre gałęzie i cieszyłam się, że babka miała wśród swoich rzeczy jeszcze tę starą kurtkę, w której chodziła doić krowę. Oby się na mnie nie wściekła, że włożyłam ją na karczowanie lasu.

Pozwoliłam, by Tomek szedł przede mną, i zdusiłam w zarodku uwagi, że to przejaw nierównego traktowania i przekonania, że reprezentuję słabszą płęć, którą należy wyręczać w „męskich” zajęciach, jak rąbanie drewna czy naprawianie dachu, w zamian za kotleta schabowego i jabłecznik. Byłam zmęczona, trochę przeziębiona i bardzo zła na swoich przodków. Poza tym wczoraj karczowałam las samotnie, więc dziś postanowiłam sobie trochę odpuścić. Atakowanie gałęzi i przedzieranie się przez chaszczę, fizycznie wykańczające, pozwalało mi wyładować negatywne emocje. Nawet jeśli nie miałam pojęcia, czy przedzieramy się w dobrym kierunku i cokolwiek z tego wyniknie.

Tomek zatrzymał się na chwilę i podał mi termos z herbatą. Piłam niewiele, małymi łykami, w takiej temperaturze nie zamierzałam biegać za potrzebą w krzaki, nawet jeśli było ich pod dostatkiem.

– Jesteś pewna, że idziemy dalej?

Potwierdziłam.

Westchnął teatralnie i uniósł wielki sekator babki.

– Mam nadzieję, że nie zapłacimy za to mandatu, ale nie do końca jestem przekonany, czy robimy teraz coś legalnego. Tu mieszkają zwierzęta.

– Mnie chodzi tylko o wąską ścieżkę. Ucierpi zaledwie kilka krzaczków. Może kilka...naście – tłumaczyłam się bez większego przekonania.

– Ale krzaczek też jest dla kogoś domem – uciał.

Wiedziałam, że ma rację. Mimo kłopotów z siecią przez wczorajszą śnieżycę udało mi się skorzystać z internetu i poszukać map tutejszych lasów. Nie znalazłam o nich żadnej konkretnej informacji poza taką, że są. Rodzaj zadrzewienia, obszar, w granicach administracyjnych jakich miejscowości się mieszczą, ujęcia wody i tak dalej, i tak dalej. Nigdy wcześniej nie szukałam o tym informacji. Nigdy nie szuka się informacji o tym, co jest na wyciągnięcie ręki i co wydaje się dobrze znane.

Na mapach nie ma tajemnic, zagadkowych śladów, znikających ścieżek, topielców w zarośniętych jeziorach i duchów. Fragmenty lasu, do których ludzie boją się zapuszczać, nie są w żaden sposób zaznaczone. W legendzie nie znajdzie się uwag o tym, że nad jeziorkiem krąży widmo Ann-Katrin. Albo Adama.

Kto zresztą wie, może jeszcze kilka lat temu jacyś ludzie tu zaglądali. Leśnicy? Nie znałam się zupełnie na tym, jak monitoruje się lasy, ale wiedziałam, że w całej Polsce było wiele samotnych, opuszczonych miejsc, które uważano za przekłete. Na przykład leśna droga między Warszawą i Izabelinem, na terenie Kampinosu, gdzie – jak się mówi – po wojnie zaczęły się dziać dziwne rzeczy, nocą słychać szczęk oręza i maszerujące oddziały, ciche mamrotanie krótkofalówki lub radia, widać tajemniczego jeźdźca i kobietę z bezgłowym psem. Silniki samochodów gasną na tej drodze, którą ludzie nazywają „duchną”. Albo las w Kędzierzynie-Koźlu, który wcale nie leży daleko od miejskich zabudowań – wręcz bezpośrednio przy nim wyrosło osiedle, a pogłoski o duchu nie są wcale stare i oblepione wiekowymi legendami, lecz liczą sobie zaledwie dziesięć lat. Ludzie widywali tam ponoć bezwłosą dziewczynkę jeżdżącą na rowerku – ducha dziecka skrzywdzonego pod koniec wojny przez radzieckich żołnierzy lub, według innej wersji, własnego ojca. Była jeszcze góra Wysoki Kamień w lasach sudeckich, od dawna uważana za miejsce nawiedzone, gdzie w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku wybrało się czterech chłopaków, by dla zabawy wywoływać duchy, a później zaginęło bez wieści. Każdy las ma swoje historie i swoje tajemnice.

Mocniej zaatakowałam gałęzie, starając się wyciszyć umysł. Nie miałam pojęcia, dlaczego w środku lasu, w ciemnym zagajniku, zadreżam się upiornymi historiami. Mój dziadek... musiał być chory. Może miał specyficzne umiejętności, pewnego rodzaju talent do obserwacji. Umiał patrzeć na ludzi i wyciągać wnioski, na podstawie których przewidywał później przyszłość. Zresztą – sam przyznawał, że oszukiwał. Mówił ludziom rzeczy, które chcieli usłyszeć. A jednocześnie wiedział – czuł – jeśli miało ich spotkać coś złego.

Widział przyklejoną do człowieka stratę i tęsknotę. Czy zobaczyłby je także u mnie? Czy widziałby przyklejonego do mnie ducha Adama?

– Patrz, Kami!

Wzdrygnęłam się na dźwięk słów, które powieliło echo.

Zmrużyłam oczy. Rzeczywiście między krzakami robiło się jaśniej, jakby przed nami był jakiś prześwit. Polana?

Przedarliśmy się kilka metrów dalej i wreszcie wydostaliśmy się z chaszczki. Choć „wydostaliśmy” mogło być zbyt wielkim słowem. Zarośla znacznie się jednak przeredziły i odsłaniały, dawniej zapewne urokliwą, niewielką polanę. W środku rosły dwa świerki, a za nimi, w tle, tkwiły pozostałości jakiejś budowli. Niewielkiej chaty. Odniosłam wrażenie, że kiedyś, kiedy drzewa były mniejsze, najprawdopodobniej rosły po obu stronach drzwi wejściowych. Teraz odznaczał się między nimi lekko zapadnięty prostokątny kształt. Futryna. Ściana po lewej stronie była całkiem zbutwiała i połamana, ale ściana po prawej zachowała się dość dobrze, dało się zobaczyć zarys okna, oczywiście już – zapewne od dawna – bez szyby, i strzęp powiewającej na wietrze firanki, co wydało mi się tak surrealistyczne, że prawie parsknęłam śmiechem. Ale wesołość szybko mi przeszła. Podeszliśmy bliżej. Przed wejściem odszukaliśmy ślad ścieżki, a nawet kilka ułożonych wzdłuż niej kamieni. Ktoś kiedyś dbał o tę chatę. Znaleźliśmy się koło okna, minęliśmy je i dotarliśmy do futryny. Weszliśmy do „środku”.

– Spójrz – odezwał się cicho Tomek. – Widać, jak to musiało kiedyś wyglądać. Tu była mała sień, wąska, podłużna. Po obu stronach po jednej izbie. Tutaj mniejsza, pewnie służąca do spania. Po drugiej większa, więc pewnie kuchnia, w której stał stół, może jeszcze jakiś mebel. Częsty układ prostego wiejskiego domu. Tutaj komin. I tyle. Całe domostwo.

Nie sądziłam, że znajdę tutaj jeszcze jakieś przedmioty, ale i tak uważnie patrzyłam pod nogi. Natrafiłam na pojedynczy kafel, lekko ukruszony na rogu. Osmalone drzwiczki, pewnie od pieca. Wygrzebałam z ziemi nogę od łóżka. Przeszłam przez „dom” i znalazłam się po drugiej stronie, gdzie dzikie zarośla znowu się zagęszczały. Zobaczyłam zarys kolejnego zabudowania, niestety zachował się tylko fundament. Komórka? Składzik na narzędzia? Torowałam sobie drogę i szłam dalej. Wydawało mi się, że coś zauważyłam, ale kiedy wyteżałam wzrok, punkt mi uciekał. Pochyliłam się i rozgarniałam gałęzie. Czułam się dziwnie w tym miejscu, miałam wrażenie, że coś ciężkiego wisi w powietrzu, jak zapowiedź letniej burzy. A była przecież zima. Śnieżycą minęła, pogoda w porównaniu z wczorajszym dniem prawie nas rozpieszczała. Na niebie nawet dość mocno świeciło grudniowe słońce. Wiedziałam, że nie pocieszymy się nim długo i po czwartej zacznie się robić ciemno, ale i tak była to miła odmiana. Mimo to wciąż czułam tu chłód. Inny chłód. Niezwiązany z temperaturą. Szłam dalej, ostrożnie stawiając stopy. Wreszcie znowu to zobaczyłam. Niewysoki kopiec pośród zarośli. Przyspieszyłam kroku, ale dalej patrzyłam pod nogi, by nie wpaść w jakąś dziurę lub czegoś nie zdeptać.

Kopiec widziałam teraz wyraźnie. Zmieniał kształt, w miarę jak się zbliżałam. Nie był już teraz stożkowaty, lecz... podłużny. Zatrzymałam się gwałtownie, kiedy byłam już w wystarczającej odległości, by wiedzieć, na co patrzę. Grób. To był grób.

Zamiast się przestraszyć, poczułam nagły smutek. Postąpiłam do przodu. Jeden krok, drugi, trzeci, wreszcie czwarty. Uklękłam i poczułam, jak topniejący śnieg przenika przez materiał moich spodni. Nie było mi zimno. Sięgnęłam po nożyce i zaczęłam się rozprawiać z roślinami zarastającymi mogiłę. Odśloniłam ją w końcu i zobaczyłam wciśnięte głęboko w ziemię szare kamyki. Układały się w krzyż. Nic poza tym. Żadnej tabliczki, imienia, dat.

Tkwiłam tak nad grobem, a z oczu kapały mi łzy. Wiedziałam.

Odnalazłam dziadka.

*

– Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? Kami! Poczekaj! Bo jeśli chciałabyś... na przykład się czegoś napić, czegoś mocniejszego, to...

– Później mogę.

– Jesteś przekonana, że chcesz z nim rozmawiać? Bo tak bez zapowiedzi...

– Dzisiaj nie ma żadnego święta.

– Tak, ale zakładam, że księża poza odprawianiem mszy robią też jakieś inne rzeczy...

- Jakie?
- No, parafialne.
- Sprawdzimy.

Musiałam zobaczyć się jeszcze raz z Gandalfem. Musiałam go zapytać. A potem powiem mu prosto w oczy, że chyba z uwagi na piastowany urząd nie powinien kłamać jak z nut.

Przedarcie się przez chaszcze w drodze powrotnej było już dużo łatwiejsze. Szłam przez las, napędzana dziwną energią. Kiedy wpadłam na ścieżkę za domem, niemal już biegłam. Okrążyłam gospodarstwo i przecięłam szosę.

- Hej! – zawołał Tomek. – Nie wchodzimy na chwilę do domu, nie chcesz się przebrać i...
- Nie!
- Ale mamy sekatory!

Puściłam to mimo uszu, ale po namyśle zawróciłam i rzuciłam swój sekator pod płot. I ponownie ruszyłam biegiem. Słyszałam, jak Tomek również rzuca sekator pod płot, a potem rozbrzmiały jego szybkie, energiczne kroki. Dogonił mnie i próbował złapać za rękę, ale się wyrwałam.

- Kamila, do jasnej cholery!
- Idziesz ze mną czy nie?!

Zatrzymałam się tak gwałtownie, że Tomek prawie mnie przewrócił.

- Idę przecież! Chciałem tylko odłożyć ostre narzędzia! Na wszelki wypadek...

Kiedy dotarliśmy na plebanię, dostałam zadyszki i kłuło mnie w boku. Zadzwoiłam do drzwi, a potem od razu mocno zapukałam. W progu stanęła wystraszona pani Lucynka. Usiłowała nie patrzeć na moje zaczerwienione policzki i wściekłość w oczach.

- Czy byli państwo...

– Umówieni? Chyba pani żartuje! Co to jest, jakiś cholerny Wersal?! – krzyknęłam i wepchnęłam się do środka.

Tomek musiał wtargnąć za mną, choć już sobie wyobrażałam jego minę i późniejsze wyrzuty sumienia. Szarpnęłam za klamkę i wpadłam do kancelarii. Gandalf właśnie żegnał się z jakąś parą, prawdopodobnie narzeczonymi. Załatwiali ślub. Zmusiłam się do uśmiechu, ale zapewne wypadło to upiornie.

- Szczęść Boże – zawołał, jak dla mnie zbyt radośnie, ksiądz. – Proszę, proszę do środka.

Tamci, lekko skonsternowani moim najściem i zapewne wyglądem, ulotnili się pospiesznie, a Tomek minął się z nimi w drzwiach i bąknął: „wszystkiego dobrego na nowej drodze życia czy coś...”.

- Przepraszamy, proszę księdza... – zaczął zaraz znowu mamrotać.

– Nie, wcale nie przepraszamy – przerwałam i zatrzasnęłam drzwi przed nosem pani Lucynki. – Grób w lesie! – wyrzuciłam.

Nie zabrzmiało to tak wojowniczo, jak planowałam, bo od razu się rozplakałam. Tomek podszedł do mnie pospiesznie i chciał mnie objąć, ale uciekłam na drugi koniec pokoju.

– Grób! W lesie! – powtórzyłam i pociągnęłam nosem. – To mój dziadek, prawda? Wiedział ksiądz! Od samego początku!

Gandalf wyciągnął z szuflady biurka paczkę chusteczek i drugą, z papierosami. Chyba przestał się bać pani Lucynki albo może mieli na ten temat poważną rozmowę. Wydmuchałam nos i zapaliłam. Przez chwilę mocno zaciągałam się dymem, jak gdybym była starym nałogowcem. Musiałam przyznać przed sobą, że po raz pierwszy straciłam kontrolę nad swoim życiem i całkiem się posypałam. Nie było tak źle nawet po śmierci Adama. Wtedy pozwoliłam sobie na to, by być w żałobie, przez dwa dni płakałam na strychu, rozstałam się z muzyką, kazałam rodzicom sprzedać pianino i zmieniłam szkołę. Zaprojektowałam nagrobek, który nigdy nie został wykonany. Nie unikałam bólu, dopuściłam go do siebie. Zdecydowałam o wszystkim, o zmianie całego życia i planów na przyszłość, o tym, że nie będę zrzucać winy za swoje niepowodzenia i słabości na nieszczęście, które mnie spotkało, bo inaczej nigdy nie dojrzeję, nie dorosnę, nie wezmę odpowiedzialności za samą siebie. Poradziłam sobie. Ale teraz?

Gandalf usiadł na fotelu i wyglądał na bardzo skruszonego. Tomek usiłował trzymać się w odległości odpowiedniej do tego, by móc mnie w razie czego pocieszyć, ale też na czas uskoczyć.

– To mój dziadek – powtórzyłam już spokojniej, choć głos dalej mi drżał. – Babka nie była jakąś specjalnie zaangażowaną katoliczką, zdarzało jej się kłócić z Bogiem i nie chodzić do kościoła, miała też duży dystans do zasad, które wyznaczała instytucja. Mówiła, że większość z tych rzeczy wymyślili ludzie, a nie

Bóg, i że naprawdę trzeba przede wszystkim myśleć samodzielnie. I jeszcze, że ludzie stają się fanatykami ze strachu. Przed piekłem na przykład. Przed karą. Nie lubiła fanatyków, sądzę, że nie lubiła też wielu księży. Z wyjątkami. – Spojrzałam znacząco na Gandalfa, a on pokiwał głową. – Ale nie pochowałaby dziadka bez żadnego rytuału. Bez ceremonii. Bez... niech będzie, bez Boga. Uważała, że człowiek potrzebuje czegoś „duchowego” na koniec. Że coś, ktoś musi go odprowadzić na tamten świat. Że musi istnieć jakaś łączność. I dlatego... wiem, że nie zrobiłaby tego sama. Uważałaby, że to akt pychy. Że dla dziadka powin--na zrobić więcej, choćby na wszelki wypadek. A ponieważ... przynosiła tu dzemy i kłóciła się o ścieżkę...

Urwałam, a Gandalf splótł dłonie.

– Poszedłem tam, kiedy umierał – powiedział wreszcie. – Z ostatnim namaszczeniem. Poprosiła mnie. A później pochowałem... Byłem bardzo młody. Tak dawno temu... Później mnie stąd przenieśli gdzie indziej i nie widziałem się z twoją babką przez całe lata. A potem wróciłem, objąłem probostwo...

– Który to był rok? Chodzi mi o pogrzeb – zapytałam głucho.

– Siedemdziesiąty pierwszy. Grudzień. Powiedziała, że miał dokładnie osiemdziesiąt lat.

– Okłamał mnie ksiądz.

– Nie... ominąłem tę informację. Twoja babcia wiedziała, że sama do tego dojdiesz. Że umiesz znajdować duchy. Chciała, by to było twoje odkrycie. Z jej niewielką pomocą.

– Ludzie wiedzieli, że jest tam ten dom?

– Ci starsi tak. Potem, kiedy umarł, mówili, że dalej go tam widują. Twojego dziadka. Uważali, że nie został właściwie pochowany i dlatego nie odszedł. I się zaczęła legenda o duchu.

– Tę informację też jakoś ksiądz „ominał”.

Nie czekałam, aż odpowie. Wyszłam z kancelarii, z plebanii, z kościelnej ścieżki. Szłam przed siebie, aż znowu dogonił mnie Tomek.

– Poczekaj.

– Idź sobie.

– Zatrzymaj się, do jasnej...

Przyciągnął mnie do siebie i objął tak mocno, że prawie nie mogłam oddychać.

ROZDZIAŁ 25

Po powrocie do domu Tomek włączył radio i zmusił mnie do słuchania świątecznych przebojów. Wiedziałam, że większość tekstów zna na pamięć i będzie śpiewał razem z wokalistami, bo zawsze tak robił, niezależnie od tego, czy siedzieliśmy akurat w naszym „biurze” nad jakimś drzewem genealogicznym, czy jechaliśmy samochodem. Nie wykazywał innych przejawów uwielbienia dla popkultury i komercji, nigdy nie potrafiłam więc zrozumieć tej dziwnej miłości do świątecznych szlagierów. Tomasz cenił ambitne kino i regularnie skłaniał mnie do oglądania razem z nim filmów typu *Gołąb przysiadł na gałęzi i rozmyśla o istnieniu*, o dwóch domokrażcach, którzy na swojej drodze spotykają różnych ludzi i mają w związku z tym przemyślenia. Owszem, film był ciekawy, ale przez cały seans siedziałam lekko podenerwowana i zastanawiałam się, czy dotrwamy w milczeniu do napisów końcowych. Dotrwaliliśmy, choć zaraz po wyjściu z sali Tomek zaatakował mnie pytaniami, czy zauważyłam nawiązania do obrazu Breughla *Myśliwi na śniegu*, do którego odwołuje się już sam tytuł, i czy ja też uważam, że chodzi o obserwację świata i ludzi z pewnej wysokości i dystansu, o zadumę nad zabieganiem, dziwnymi ambicjami, wymyślonymi problemami przesłaniającymi te prawdziwe. Byłam gotowa na taką dyskusję i od razu przeszłam do motywu przemijania i śmierci – do wypchanych zwierząt w gablotach i szkieletów, upudrowanych na blado twarzy aktorów i czarnego humoru. Tomek zawsze doceniał mój wkład w rozmowę, zahaczający o funeralne smutne branże. Byliśmy sobie warci, choć ja lubiłam też od czasu do czasu zaaplikować sobie solidną dawkę popkultury, najlepiej w postaci serialu *Kości* albo *Przyjaciele*, albo w zasadzie prawie każdej poza świątecznymi hitami. A on odwrotnie.

Kiedy śpiewał *Santa Can You Hear Me*, znowu myślałam o babci. O babci, dziadku duchu i o tym miejscu. O rzeczach, których nigdy wcześniej nie widziałam, nawet jeśli na nie patrzyłam. Ponownie przyszło mi do głowy, że z czymś się rozminęłam. Jako młoda dziewczyna nie myślałam o tajemnicach, lecz o fortepianie, wiecznie miałam w głowie muzykę. A później prawdopodobnie byłam już za stara, by rozwiązywać zagadki związane z miejscem, które wydawało mi się znane, oswojone i nudne. Przyjeżdżałam do babki i wystarczało mi bycie z nią. Albo jej pomagałam, albo słuchałam jej opowieści, albo siedziałyśmy w ciszy, albo czytałam książkę – w sadybie w słoneczne dni, na strychu w deszczowe. I czasem chodziłam na spacer. Babka nigdy mnie nie pytała o te wyprawy ani się do nich nie odnosiła. Wciąż wracało do mnie to przekonanie, że nie zadałam jej pytań. Nie chciałam z nią porozmawiać tak, jak się rozmawia z kimś, kogo dopiero poznajemy, kto wydaje się nam ciekawy i pełen tajemnic czekających na odkrycie. Babka była babką. Kimś obok, kimś, kogo się nie zauważa. Nie umiałam spojrzeć na nią z zewnątrz, tak jak nie umiałam z zewnątrz spojrzeć na to miejsce. Dlatego w różnych innych lasach nieraz trafiałam na zarośnięte bluszczem pozostałości domów, stare studnie, krzyże pokutne, osobliwe i zapomniane figurki Matki Boskiej, kurhany i drzewa o dziwnie poskręcanych konarach, a nie umiałam na to trafić tutaj. Nie odnalazłam domu i grobu dziadka. Nie szukałam go.

Przestałam płakać i się nad sobą użalać. Teraz czułam się winna, co prawdopodobnie też nie było dobre. Nie mogłam jednak pozbyć się poczucia straty. Nie tylko straty związanej ze śmiercią babki, lecz także straty związanej z przekonaniem, że nigdy jej tak naprawdę nie poznałam.

Być może powinnam to na chwilę odłożyć. Upiec ciasto. Albo przynajmniej zacząć od zaparzenia herbaty. Poszłam do kuchni i nastawiłam czajnik. Na dużej drewnianej tacy, przykryty lnianą ściereczką, leżał piernik Tomka. Tyle mieliśmy na święta. Poszperałam w szufladach i wyjęłam na blat składniki na korzenne ciasteczka, które w grudniu zawsze piekła babka. Wszystko było, musiałam to tylko połączyć i włożyć do piekarnika. Zalałam wrzątkiem torebki herbaty. Kiedy w wielkiej misce wyrobiłam już papkę na ciastka, wyłożyłam blachę folią i sięgnęłam po łyżkę, w kuchni zjawił się Tomek.

– Tak ci dokuczył mój repertuar, że aż zaczęłaś piec?

– Pomyślałam, że powinnam mieć jakiś swój wkład w te święta. Będziemy jeść ciastka i pić herbatę.

Babcia w grobie się przewraca.

– Zawsze powtarzałaś, że nie rozumiesz całego tego nażerania się na święta.

– Bo nie rozumiem.

– Ale tak naprawdę chyba... lubiłaś przyjeżdżać tu w grudniu?

– Babka zapraszała też ciebie i nigdy nie skorzystałaś. Twoja matka naprawdę nie ma nic przeciwko

temu, że nie przyjedziesz w tym roku na święta z jedną ze swoich dziewczyn?

– Chyba raczej odetchnie z ulgą.

– Moją mamę też zawsze męczyło biesiadowanie. Nigdy się mu nie sprzeciwiała, ale wiedziałam, że się zmusza i że nie chce tu być. Dlatego teraz, z nowym mężem, siedzi na Kanarach.

– Moglibyśmy pójść jutro do sklepu.

– I tak musimy, kończy się chleb.

– Moglibyśmy kupić majonez.

– Majonez? Masz na myśli, że na sałatkę?

– Nie ma świąt bez sałatki.

– To prawda.

Uśmiechnęłam się, po raz pierwszy tego dnia, i nagle, mimo ucisku, który wciąż czułam w piersi i który utrudniał mi oddychanie, nagle poczułam się lepiej. Sałatka jarzynowa, korzenne ciastka, parująca herbata w kubkach, nawet imbryk w grochy – to wszystko kojarzyło mi się z bezpieczeństwem i – chyba – miłością. Na chwilę utraciłam równowagę, ale zawsze miałam na tym świecie coś swojego, własne miejsce, ludzi, rzeczy, do których mogłam wracać.

– Jeśli zostało tu jeszcze coś do odnalezienia, odnajdziemy to – powiedział cicho. – I magnetowid. Jeśli nadal uważasz, że on sam do nas przyjdzie, to w końcu na niego trafimy.

Potrząsnęłam głową.

– Po prostu może przez chwilę o tym nie mówmy.

Tomek chwycił drugą łyżkę i razem przełożyliśmy masę na blachę. Nie odzywaliśmy się do siebie, ale on co chwilę na mnie zerkał i czułam się z tym nieco niezręcznie.

– Jeśli chcesz zmienić temat – odezwał się w końcu – to jest coś, co próbowałem ci już wcześniej...

Ktoś zapukał do drzwi i z ulgi zakręciło mi się w głowie. Domyślałam się, co zamierzał mi powiedzieć, i chciałam odwlec ten moment. Odkąd się tu pojawił, coś wisiało w powietrzu. Coś dobrego, miłego, ale i przytłaczającego zarazem. Coś, czego się mimo wszystko nie spodziewałam.

Oplukałam ręce i poszłam otworzyć. Przed drzwiami stał Jasiek. Strzepywał śnieg z kaptura i popatrywał w niebo.

– Znowu sypie – powiedział krótko.

Przez ramię miał przewieszoną płócienną torbę.

– Rozumiem, że jesteście zajęci, widziałem przez okno – odezwał się znowu, bo z jakiegoś powodu jeszcze nie wpuściłam go do środka. – Przyniosłem ci tylko jakieś witaminy na wzmocnienie i leki, gdybyś po wczorajszym spacerze czuła się przeziębiona albo...

– Wejdz. – Przesunęłam się w progu, a Jasiek wciągnął za sobą do sieni chmurę śniegu. – Możesz się do nas dołączyć, właśnie myśleliśmy o jakiejś kolacji – dodałam, prowadząc go do kuchni.

– Tak? – zapytał Tomek, który wkładał właśnie blachę z ciastkami do piekarnika. – Myśleliśmy o kolacji?

– Ja jestem głodna. Jadłeś? – zwróciłam się do Jaśka.

Dolałam wody do czajnika i sięgnęłam po trzeci kubek.

– Jeszcze nie – odparł i rozejrzał się nerwowo po kuchni. – Ale nie chciałbym przeszkadzać.

– Nic ważnego nie robimy – powiedziałam i zobaczyłam, że Tomek się zaczerwienił. Może to od piekarnika. A może ze złości. – Jasiek przyniósł mi jakieś leki, myślał, że może się wczoraj przeziębiam.

– Takie leki można chyba kupić w każdym kiosku – rzucił, zerkając do torby, którą Jasiek powiesił na krześle. – Ale to faktycznie miłe z twojej strony. Jeśli nie macie nic przeciwko, pójdę się położyć, to był długi dzień – rzucił.

Chciałam zaprotestować, że jest dopiero ósma i co prawda wiele się dziś wydarzyło, ale przecież możemy jeszcze chwilę razem posiedzieć. Tomek jednak zerknął po raz ostatni do piekarnika, czy wszystko w porządku z ciasteczkami, a później odwiesił schludnie ściereczkę na wieszak i wyszedł z kuchni. Powoli kielkowało we mnie poczucie winy, choć przecież niczego złego nie zrobiłam. Chciałam za nim pójść, ale wtedy przyznałabym, że w moim zachowaniu coś było nie w porządku.

– Wyłączyć radio? – zapytałam Jaśka i wskazałam drzwi do salonu.

Nie orientowałam się w jego guście muzycznym, ale piosenka o reniferze Rudolfie zaczęła mi już działać na nerwy.

– Mnie nie przeszkadza, dość lubię wszystkie te przesłodzone przeboje. Kiedy takich słuchać, jak nie przed świętami? Ale jeśli nie możesz wytrzymać, to śmiało wyłącz.

Nie chciałam wyjść na niespełnioną artystkę snobkę i nie wyłączyłam. Jasiak odsunął krzesło i po namyśle usiadł, ale na samej krawędzi, jak gdyby nadal nie był pewny, czy powinien tu być. Zrobiłam mu herbatę i podsunęłam cukiernicę.

– Szału w lodówce dzisiaj nie ma – powiedziałam. – Dopiero jutro wybieramy się na zakupy. Ale kanapki się skleci. Jadasz mięso? Ja nie przepadam, choć na rybę mam czasem ochotę. Tomek natomiast jak najbardziej je, więc mamy szynkę...

– Nie jadam mięsa, odkąd poszedłem na studia.

Spojrzałam na niego z zainteresowaniem.

– Leczyć, nie zabijać, nie szkodzić żywym organizmom?

– Coś w tym stylu – potwierdził. – Poza tym nigdy nie przepadałem. Jak się mieszka na wsi, to niestety widzi się wiele egzekucji na kurach, świniaach... Moja matka... Zresztą nieważne, nie będę przecież mówić takich rzeczy przy stole. Przebywanie wśród lekarzy mocno mnie znieczuliło, my umiemy rozmawiać o raku i operacjach mózgu przy drugim śniadaniu i nikomu to nie przeszkadza.

– Mnie też niespecjalnie. Ja z kolei przy drugim śniadaniu prawie zawsze omawiam projekty nagrobków ze swoją asystentką.

Umilkłam i podniosłam na niego wzrok. Uśmiechał się.

– To co? – przerwałam chwilową ciszę. – Kanapki?

– Z jakimś serem, jeśli masz...

Przygotowałam kanapki z żółtym serem, pomidorem i świeżym szczypiorkiem z donicy babci. Nie był to szczyt moich kulinarnych możliwości i nie byłam z siebie zadowolona, ale po pierwsze improwizowałam, po drugie alternatywnie mogłam podać jedynie makaron. Z radia płynęła instrumentalna wersja *Happy Christmas (War Is Over)*, w jazzowej aranżacji, grana nieco szybciej niż oryginał. Ten utwór akurat lubiłam, ale wydawało mi się, że połowa – a może więcej – ludzi na świecie nuci go razem z radiem, nie mając pojęcia, czego tak naprawdę dotyczy. A to przecież opowieść o wojnie w Wietnamie. Protest song. Lubiłam wszelkie takie rozbicia odgórnie ustalonych narracji na temat świąt, każdy sposób, by zwrócić ludziom uwagę na to, że coś gdzieś dzieje się źle, świat ma pęknięcia.

Nie zjedliśmy dużo, ale Jasiak dzielnie przelknął dwie kromki, prawdopodobnie głównie z uprzejmości. Zrobiłam więcej herbaty i po namyśle opowiedziałam mu, czego się dowiedziałam o dziadku. Kiedy przeszłam do fragmentu o tym, że S. widział duchy, Jasiak wcale nie zaczął patrzeć na mnie z politowaniem. Wręcz przeciwnie, wydawał się bardzo zaintrygowany.

– Wiedziałeś o lesie? – zapytałam na koniec.

Na pewno słyszał napięcie w moim głosie.

Zamieszał herbatę i odłożył łyżeczkę na spodek.

– Tylko takie... wiejskie legendy. Że zagajnik za domem twojej babci i ten drugi, za jeziorem, są nawiedzone. Starsi ludzie chyba naprawdę w to wierzyli, w każdym razie nikt z nich nigdy tam nie chodził. Ale nie wiem, czy przez „ducha”. Podejrzewam, że duch czy szaleniec, mogło na jedno wychodzić. Widzieli tam jakieś niebezpieczeństwo. Coś dziwnego, czego nie rozumieli.

– Anomalię – powiedziałam, a on pokiwał głową.

Mała grupa społeczna z trudem znosi anomalie. Wszelkie inności, rozłam, odrzucenie reguł, nawet odstęstwa w wyglądzie. Z drugiej strony małe wiejskie społeczności zawsze łatwiej przyjmowały wiarę w zjawiska nadprzyrodzone niż duże, szybciej laicyzujące się społeczności miejskie.

– Myślisz – podjęłam – że on... mój dziadek... miał jakieś zaburzenia neurologiczne? Że był chory?

Jasiak spojrzał mi w oczy i nieznacznie przysunął dłoń do mojej, jakby chciał ją chwycić, ale nagle się rozmyślił. Chrząknął z zakłopotaniem i splótł palce.

– Jako lekarz neurolog mogę powiedzieć tyle, że halucynacje przybierają czasem różne formy. Dziwne formy. Aż trudno w to wszystko uwierzyć, kiedy zdajemy sobie sprawę, jak tajemniczy i skomplikowany jest mózg i ile o nim jeszcze nie wiemy. Jednocześnie jest też fascynujący. Czasem halucynacje dotyczą osób od lat lub od urodzenia niewidomych. Człowiek nie widzi świata na zewnątrz, ale przed oczami mogą mu się pojawić rozmaite postaci, czasem fantastycznie ubrane, i nie jest to wyobrażenie. Pacjent jest przekonany, że naprawdę je widzi.

– Czytałam książki Olivera Sachsa – wtrąciłam.
– Naprawdę? Interesuje cię to?
– Jak mówiłam, nasłuchiłam się wiele o duchach, kontakcie z przodkami, o rozmaitych objawieniach, sytuacjach, w których człowiekowi pokazuje się Bóg, anioł, zmarły krewny, że nigdy nie mogłam wykluczyć...

– Halucynacji?

– Właśnie.

– Tak, to wielka niewiadoma. Czy członkowie afrykańskich plemion naprawdę rozmawiają ze zmarłymi przodkami, czy też odurzają się i wprowadzają w trans na tyle, by wywołać u siebie halucynacje? I na ile halucynacje bazują na pragnieniach, wewnętrznych potrzebach, procesach myślowych skoncentrowanych wokół osoby, którą chciałoby się zobaczyć lub też której widok chciałoby się wywołać. Czasem śnimy o rzeczach, o których myśleliśmy w dzień. Mózg przetwarza informacje, emocje, robi to po swojemu, ma własne sposoby. W transie i pod wpływem różnych odurzających środków można wywołać halucynacje i prawdopodobnie wyraźnie zobaczyć swoich przodków, bliskich zmarłych, ukochaną żonę i tak dalej. Bo człowiek tego chce. Bo tego właśnie potrzebuje i niejako kształtuje procesy myślowe, nawet jeśli sądzi, że całkowicie je uwalnia.

– Może tak być. Ale nawet jeśli jest – odezwałam się – sądzę, że oni mają większą odporność psychiczną i fizyczną na podobne rzeczy, niż my mielibyśmy w takiej sytuacji. Akceptują istnienie duchów. Jest ono dla nich oczywiste. Wierzą, że śmierć niczego nie kończy, jedynie przedłuża istnienie, wierzą też, że kontakt ze zmarłymi jest możliwy. Nikogo to nie dziwi ani nie przeraża. Niezależnie od tego, czy widzą duchy, czy też wywołują u siebie halucynacje, psychicznie i fizycznie są w stanie to udźwignąć. Nie popadają w obłęd, nie dostają zawału serca ze strachu. Spodziewają się tego, nie są zaskoczeni. My... my w większości nie uznajemy duchów, a halucynacje to dla nas objaw chorobowy. Już sam fakt, że widzimy rzeczy, których nie ma, nas przeraża.

Jasiek ponownie spojrzął mi w oczy i tym razem już nie wydawał się zakłopotany.

– Nie wiem, czy twój dziadek miał halucynacje – powiedział powoli, nie odwracając wzroku.

– Ale jako neurolog...

– Jako neurolog powiem, że prawdopodobnie tak. Ale jako człowiek o otwartym umyśle, który dopuszcza do siebie ewentualność, że nie wszystko da się wyjaśnić naukowo...

– Nie wyklucasz istnienia duchów.

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. To naprawdę było moje ulubione zdanie. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę w milczeniu. Za oknami wirowały płatki śniegu, z głośnika radiowego płynęły coraz bardziej nastrojowe utwory. Po raz pierwszy od lat pomyślałam, że mogłabym coś zagrać. Mogłabym usiąść do fortepianu, położyć dłonie na klawiszach. Wyobraziłam to sobie i przeszedł mnie dreszcz. Gdzieś tam w środku naprawdę grałam. Czułam pod palcami klawisze, ich wyraźny, charakterystyczny kształt.

– Czy moja babcia – zaczęłam niepewnie – mówiła ci...

– Powiedziałem ci wtedy prawdę. Tamtego dnia, kiedy przywiozłem choinkę. Twoja babcia nic nie mówiła mi o twoim dziadku. Wiem, że ochrzaniłaś księdza. Że poczułaś się przez niego oszukana.

– Cała wieś już o tym wie?

– Do jutra na pewno będzie – odparł z uśmiechem i zaraz spoważniał. – Ja w każdym razie cię nie oszukałem. I mogę ci się przyznać do czegoś kompletnie głupiego.

– Do czego?

– Twoja babcia mówiła mi tyle o tobie, że czułem się trochę tak, jakbym cię znał. Kiedy byłem młodszy, wyobrażałem sobie nawet, że przyjdę tu, gdy przyjedziesz na lato. I że tak po prostu zaczniemy rozmawiać, że naprawdę będziemy się znać. Nie tylko w mojej głowie. Chyba się nawet zakochałem.

– We mnie? – zapytałam z zaskoczeniem.

– W wyobrażeniu.

– I co? Daleko od niego odbiegam?

Odchylił się na krześle.

– Masz jakieś plany na jutrzejszy poranek?

ROZDZIAŁ 26

Nie mogłam spać i już o piątej rano byłam na nogach. Zaparzyłam kawę i ugotowałam owsiankę w dużym garnku, tak jak robiła to babka. Była gęsta, dodałam do niej miód, orzechy i rodzynki. Taką owsiankę mogłabym jeść przez cały dzień, na każdy posiłek. Nie czekałam, aż ostygnie, i poparzyłam sobie język. Mój wzrok wciąż biegł do tego miejsca za oknem, gdzie wczoraj stał samochód Jaśka. Odprowadziłam go, choć padał gęsty śnieg i było bardzo zimno. Wspomniałam o poszukiwaniach, o wskazówkach, które zostawiła mi babka. O tym, że nie wiem, co zrobić z kasetą VHS. Uśmiechnął się tajemniczo i powiedział, że kiedy wybierzemy się z Tomkiem do sklepu po majonez, powinnam zagadnąć o magnetowid Anetkę. Bo ona „może mieć”. Zanim wsiadł do auta, nachylił się i pocałował mnie w usta. Delikatnie, krótko, niemal nieśmiało. „No to będę rano o siódmej, cześć”, rzucił i jeszcze raz, przelotnie, spojrzął mi w oczy.

Teraz, nad gorącą owsianką, wspominałam ten pocałunek, który był czymś zaskakującym, świeżym, innym w moim życiu, czymś prostym i miłym, czego nie musiałam i nie chciałam nawet analizować. Uznałam, że po prostu się temu poddam i zobaczę, co się stanie. Ale ważne było też to, co powiedział. Powinnam zagadnąć Anetkę ze sklepu. Bo ona „może mieć magnetowid”. Oczywiście nie spodziewałam się, że będzie mi z czymkolwiek łatwo.

Dokończyłam śniadanie i poszłam umyć zęby, a później usiadłam w kuchni i czekałam na Jaśka, zupełnie nie mając pojęcia, co dla mnie zaplanował.

*

Znałam to wzgórze, ale nie przychodziłam tu od lat. Było najwyższe w okolicy, rozciągał się z niego widok na sąsiednie wioski, płynącą w oddali rzekę, pola i lasy. Zabudowania w dolinach spowijała teraz gęsta mgła, z której wyłaniały się dachy domów i smukłe kościelne wieże. Wyteżyłam wzrok i uśmiechnęłam się. Zobaczyłam znajome zarysy Gór Kamiennych i maleńki fragment Sokołowska. Gdzieś tam było schronisko Andrzejówka i szlak prowadzący na Waligórę. Niecałe trzydzieści kilometrów stąd. Pewnego dnia latem wybraliśmy się z Adamem do Sokołowska na rowerach, dwoje muzyków o silnych dłoniach i ramionach, ale raczej słabych mięśniach nóg. Daliśmy jednak radę, to było dla nas coś nowego, coś, czego nie robiliśmy w życiu zbyt często. Nie mieliśmy telefonów komórkowych i internetu, jedynie papierową mapę. Zgubiliśmy się wśród drzew, na ścieżkach, które dla nas okazały się kompletnie nieczytelne i tajemnicze. Można było sobie wyobrazić, że ciągną się i ciągną w nieskończoność, nie tylko przez konkretną przestrzeń, ale i przez czas, że godziny i minuty przestają płynąć, a w górach każdy fragment dziejów toczy się jednocześnie. Mieliśmy termos z mocną herbatą od babci, słodkie bułeczki i kanapki ze świeżego chleba. Nawet nie rozmawialiśmy o muzyce. Dwoje przepracowanych nastolatków, których życie podporządkowane było konkretnej idei, wreszcie wyrwało się na wolność. Musiałam przyznać, że świat jest dość ładny.

Jasiek wyciągnął termos i nalał mi kawy. Pachniała i smakowała doskonale.

– Przepraszam, że wyciągnąłem cię na wschód słońca. Wydaje mi się, że niewielu ludzi rzeczywiście lubi je oglądać, zwłaszcza zimą.

– Ja lubię.

– To świetnie. Za godzinę z hakiem muszę porozwozić ostatnie choinki, więc to jedyny spokojny moment.

– A później wolne?

– Tak. Obaj z bratem zawsze się obawiamy tego wolnego.

Jasiek spojrzął na mnie ze smutnym uśmiechem.

– Wasz ojciec przyjeżdża na święta?

Pokręcił głową.

– Nie robi już tego od lat. Myślę, że lepiej i łatwiej żyje mu się bez nas, że nigdy tak naprawdę nie nadawał się na ojca i męża, a wszedł w te role, bo w świecie, w którym żył...

– Wszyscy w nie wchodzili? Wielu tak robi. Nie masz teraz do niego żalu? Że was niejako zostawił?

– Miałem. Miałem przez długi czas, zwłaszcza gdy mój brat... wiesz. Wiele razy dzwoniłem do ojca z awanturą. A raz nawet płakałem. Płakałem do telefonu, że nie daję rady. Powiedział mi wtedy, że nie umie pomóc. Nie wie, co mógłby jeszcze dla nas zrobić. Mój ojciec. Nie umie pomóc i nie wie, co ma jeszcze zrobić,

jak gdyby zrobił już wszystko, co należało, spłodził nas, karmił przez ileś lat i opłacał nasze rachunki. Wywiązał się z obowiązku, my jesteśmy pełnoletni, on odzyskał wolność. Tak, przez jakiś czas nawet go nienawidziłem. To straszne uczucie, Kami, kiedy nienawidzisz własnego rodzica. Nie niszczy wcale tej drugiej osoby, tylko niszczy ciebie.

– Chyba zawsze tak jest z negatywnymi uczuciami, że najbardziej niszczą nas samych.

– Jak tęsknota i bezsilność? Że ktoś, kogo kochałaś, odszedł, a ty nic nie mogłaś zrobić?

Odwrociłam się do niego i oddałam mu pusty kubek po kawie.

– Tak – odparłam. – Właśnie tak. Ja też długo miałam pretensje, sama nie wiem do kogo, może do losu.

Tłumiłam je, nie wypuszczałam na zewnątrz. Byłam... szczelna. Nie chciałam, żeby moja złość, moje rozczarowanie światem uderzyło w innych ludzi. Oni nic nie byli winni. Moja babcia, rodzice, rodzice Adama. Nasi przyjaciele ze szkoły muzycznej. Moje emocje były moimi emocjami i musiałam się z nimi uporać, sprawić, by nie przeszkadzały mi w poukładaniu własnego życia i budowaniu więzi z innymi.

– I udało ci się – raczej stwierdził, niż zapytał.

– Nadal czuję się zraniona i mam wrazenie, że gdyby Adam nie umarł, moje życie wyglądałoby inaczej.

Ale jestem zadowolona z tego, jak nim pokierowałam. Z decyzji, które podjęłam. A twój ojciec...

– Ja też uporałam się z własnymi emocjami. Tyle że tu jest inna sytuacja, Kami. Adam umarł i nikt nie był winny. Mój ojciec natomiast winny w pewnym sensie był. Nie porzucasz dziecka, nawet jeśli jest pełnoletnie. A w każdym razie ja bym nie porzucił. Bycie rodzicem, moim zdaniem, to praca na całe życie. Można mieszkać w różnych stronach świata i dzwonić do siebie raz w miesiącu, ale miłość i odpowiedzialność nie znika. I kiedy dzieje się coś złego, to po prostu jesteś. Pewnego dnia więc, kiedy czułem się na siłach, powiedziałem mu, że już go nie potrzebuję i że powinniśmy pójść każdy własną drogą. Kocham go na swój sposób, ale nie chcę się z nim więcej widywać.

– A jeśli będzie potrzebował pomocy?

– Udzielę mu jej.

Ponownie uśmiechnął się smutno. Schował termos i kubki do torby, a później milczeliśmy wspólnie, patrząc na mgłę w dolinie. Zerkałam na niego dyskretnie. Na to, jak odgarnia piaskowe włosy z twarzy i wciska je pod czapkę, na to, jak bawi się wełnianymi rękawiczkami. Z jednej strony wciąż tkwił w nim tamten skrzywdzony chłopiec opuszczony przez oboje rodziców. Z drugiej był już dojrzałym, odważnym mężczyzną, na tyle pogodzone z sobą i własnymi doświadczeniami, że nie zamierzał w przyszłości wykorzystywać swojej przewagi i odmawiać pomocy ojcu, który odmówił tej pomocy jemu. Nie zamierzał się mścić. Zamierzał być mądrzejszy. Bardziej wielkoduszny.

Pomyślałam w tej chwili, że chciałabym mieć kogoś takiego w swoim życiu.

– Ten twój przyjaciel Tomek... – zaczął cicho.

Przysunęłam się do niego i delikatnie chwyciłam jego dłoń.

– Jest tylko moim przyjacielem – powiedziałam.

– Naprawdę?

Jego uśmiech dotarł do oczu i zdałam sobie sprawę, że uwielbiam ten widok i prawdopodobnie już wkrótce, na początku stycznia, będę za nim tęsknić. Nie chciałam zmarnować tej chwili.

– Naprawdę – potwierdziłam.

Jasiek objął mnie w pasie i przyciągnął do siebie. Pocałował mnie, najpierw znowu delikatnie, jak wczoraj wieczorem, a później mocniej i zdecydowanie. Przyłgnęłam do niego, a on wodził dłońmi po mojej talii i plecach. Żałowałam, że mam na sobie kurtkę, że ta scena nie rozgrywa się latem i nie nosimy lekkich ubrań, które szybko można zrzucić. Wsunęłam dłonie pod płaszcz Jaśka i dotknęłam jego wełnianego swetra. Zachęcony tym rozpiął moją kurtkę i musnął palcami obojczyki, a później piersi ukryte pod ciepłą bluzą.

– Cholerna zima – mruknęłam.

Parsknął śmiechem i pokiwał głową. Byliśmy zaskoczeni niespodziewaną namiętnością, którą sobie okazaliśmy. Niechętnie odsunęliśmy się od siebie i zaczęliśmy schodzić ze wzgórza.

*

Kiedy wróciłam do domu, Tomek siedział w kuchni, ubrany, uczesany i po śniadaniu. Nalałam sobie kawy i zaczęłam mówić o Anetce, że musimy podejść do sklepu i zapytać ją o magnetowid. Dopiero po chwili zorientowałam się, że jest dziwnie milczący. Ja również umilkłam.

– Przepraszam. Za focha wczoraj – powiedział.

– W porządku – odparłam.

Podeszłam do okna i znowu spojrzałam na to miejsce, w którym żegnałam się z Jaśkiem. Tomek w swoim „przepraszam” zawarł tak naprawdę więcej. Rozumiałam go. Chciał powiedzieć, że zareagował źle, że za dużo sobie zaczął wyobrażać, choć sytuacja między nami w ogóle się dla mnie nie zmieniła, było jak zawsze. Nie bardzo chciałam nawet, by mnie pocieszał, choć wcześniej ja nieraz pocieszałam jego, byłam dobrym kumplem, z którym piło się wódkę w chwilach załamania, a wino i szampana w chwilach radości. On też zawsze dla mnie był. Przyjaźniliśmy się. Nic między nami nigdy nie zaszło. Teraz również spaliśmy w osobnych pokojach, a wspólnie jadałymi posiłki i pracowaliśmy nad rozwiązaniem kolejnej zagadki. Jak wielokrotnie wcześniej. Różnica polegała tylko na tym, że sprawa była osobista, a ja nie umiałam zachowywać się obiektywnie. I nic więcej. On wiedział, że jego złość na mnie nie miała podstaw, a ja wiedziałam, że nie powinnam czuć się winna.

Coś się jednak zmieniło. Zawisła między nami jakaś trudna do zniesienia ciężkość. Bałam się, że wkrótce przerodzi się w rezerwę, a on się ode mnie odsunie.

*

Przed śmiercią babki byłam w sklepie Anetki tylko kilka razy w życiu – i wtedy nie był to jeszcze sklep Anetki. Kiedy miałam jedenaście lat, pewnego letniego poranka obudziłam się z myślą o smakowej bitej śmietanie. Toffi i orzechowa. Wiedziałam, że zaczęli takie sprowadzać, a nie od zawsze tak było, wcześniej przez całe lata królowały jakieś zwykłe śnieżki, których babka nie pozwalała mi kupować i powtarzała, że bitą śmietaną sama umie zrobić, nie będzie w jej domu żadnego sproszkowanego barachła. Podejrzewam, że smakową bitą śmietaną też by umiała zrobić, ale tamtego dnia uparłam się na sproszkowane barachło. Babka zawsze dawała mi na każde zakupy pieniądze i mówiła, bym zachowała sobie kieszonkowe od rodziców „na gorsze czasy”, ale wówczas nie zobaczyłam od niej grosza. -Jeśli chciałam się truć sproszkowanym barachłem, to na własny koszt. Bitą śmietaną kupiłam, później samodzielnie przyrządziłam, choć babka schowała mikser i musiałam go długo szukać, zjadłam całą porcję, a potem mnie zemdliło.

Teraz też mnie mdliło. Tomek, nadal o wiele bardziej zdystansowany niż wczoraj, zdobył się na uśmiech i lekko poklepał mnie po ramieniu. Ten gest jeszcze bardziej mnie przytłoczył. Spojrzałam na niego, a potem chwyciłam za rękaw kurtki, gdy chciał wejść do sklepu.

– Poczekaj – poprosiłam. – *A propos* twojego „przepraszam”.

– To chyba nie jest odpowiedni moment, Kami.

– To jest właśnie bardzo odpowiedni moment. Jeśli nie chcesz, nie musimy tego tematu rozwlekać. Nie musimy o tym rozmawiać teraz ani dziś, ani jutro, ale pewnego dnia możemy. W tej chwili jednak potrzebuję cię, potrzebuję swojego przyjaciela Tomka. Tego, na którego zawsze można liczyć. Nie bądź świnią i nie zostawiaj mnie w takiej chwili, dobrze?

– Przecież cię nie zostawiam.

– Zostawiasz. Zostawiasz mnie takimi gestami jak ten. Bardzo zostawiasz. Nie poklepuj mnie jak swojego wujka na imieninach.

– U nas w rodzinie nie obchodzi się imienin. – Kąciki ust nieco mu się uniosły. Przewrócił oczami i wskazał sklep. – Zróbmy to.

Między półkami kręciły się dwie osoby, starszy pan i kilkunastoletni chłopak. Zwrócili na nas oczywiście uwagę, bo byliśmy obcy. Tomek gładko wszedł w swoją rolę i grzecznie się przywitał, a ja poczułam ulgę, niewielką, ale zawsze. Anetka kręciła się za ladą i poprawiała wódkę na półce. Sklep jako jedyny we wsi musiał być dobrze zaopatrzony we wszystko, z powodzeniem pełnił więc także funkcję monopolowego. Teraz była zima, ale ciekawiło mnie, jak Anetka radzi sobie z podsklepowymi żulami w ciepłe dni. Nie wyglądała na taką, która pozwala, by do jej interesu przyczepiła się jakaś patologia. Odwróciła się na dźwięk staromodnego dzwonka przy drzwiach i na nasz widok lekko zbladła.

Podeszłam bliżej i wyciągnęłam rękę.

– Kamila.

Zamarła. Ostrożnie wyciągnęła swoją.

– Aneta – mruknęła.

Patrzyłam, jak z jej twarzy znika napięcie. Roześmiała się wreszcie i powachlowała ręką.

– Przepraszam za tamto – powiedziała wesołym tonem i nagle wydała mi się zupełnie inną osobą. – Czasem mam niewyparzoną gębę. Ale tutaj to się przydaje. Po prostu twoja babcia...

– Wszyscy ją lubili, co? Wielu rzeczy dopiero teraz się dowiaduję.

– Tak... Zawsze, kiedy mnie widziała, powtarzała, że powinnam ubierać się w niebieskie bluzki, bo niebieski podkreśli kolor moich oczu, i powinnam w ogóle nosić żywsze barwy, a nie tylko te szare golfy. Wtedy na pewno Mateusz, co ma w sąsiedniej wsi, tu blisko, warsztat samochodowy, wreszcie się odważy... Ale co ja ci będę mówić, wiesz, jaka była twoja babcia. Nie miałam własnej, więc... trochę sobie ją od ciebie pożyczałam. Teraz już nikt mi nie udziela porad kolorystycznych i odzieżowych.

Ścisnęło mnie w gardle i miałam wrażenie, że za chwilę znowu się rozplączę. Przez kilka ostatnich dni płakałam więcej niż przez całe miesiące, a nawet lata. Chciałam powiedzieć, że nie, nie mam w sumie pojęcia, jaka była moja babcia. I na dodatek Aneta sprawiała teraz wrażenie całkiem miłej, a mnie robiło się wstyd. Nie wiedziałam w ogóle nic. Nic o świecie. A przecież wydawało mi się, że wiem już o nim całkiem sporo.

Zerknęłam na Anetkę i przestąpiłam z nogi na nogę.

– Słuchaj... masz może jakimś cudem w domu magnetowid?

Uśmiechnęła się szeroko.

– Tak się składa, że mam.

Spojrzałam triumfalnie na Tomka, ale on tkwił oparty o ścianę, w pozycji zrezygnowanego Sokratesa. Anetka sięgnęła po telefon.

– Zaraz zadzwonię po brata, ma teraz wolne, to do niego podejdziecie i on wam wyda.

– Dzięki.

– Nie ma za co. Twoja babcia miała różne oryginalne pomysły. No, nie mogę powiedzieć. Była z niej dziwaczka, ale taka pozytywna. Super babeczka, jak na kogoś krzyczała, to tak, że portki z dupy leciały. Wszystkich żuli mi spod sklepu pousuwała. Myślałam, że jej pójda szyby w nocy wybić, ale nie, z daleka się kłaniali. Taki szacunek był.

Pokiwałam głową. Tak. Babcia umiała różne rzeczy. O wielu dowiedziałam się właśnie teraz. Na przykład o tym, że wcale nie była odludkiem, lubiła ludzi ze wsi, a oni lubili ją. Poza tym przygotowywała się na swoje odejście już od dawna. Zebrała opowieści, które czekały na odpowiedni moment. Czekwały na mnie. Cała misternie posplatana historia jej życia.

Oczy wypełniły mi się łzami, a Tomek odkleił się od ściany i stanął obok. Wiedziałam, że ma ochotę mnie objąć, ale tego nie zrobił.

– Tu macie adres – Aneta podała mi kartkę. – Niedaleko. Ale lepiej iść po samochód, bo magnetowid to takie stare pudło, przypominam, może nie waży tony, ale na pewno nieporęczne. Niewygodnie będzie targać aż do was pod las.

ROZDZIAŁ 27

S. nigdy nie mówił, co się działo po wybuchu wojny, przez co opowieść o nim zawierała wielką lukę. A przecież istniał także i wtedy. Nie wspominał o żadnych konkretnych wydarzeniach, w ogóle z każdym kolejnym rokiem po wojnie osuwał się w samego siebie i swoje myśli. A także szukał słów. Języka. Po raz pierwszy tak naprawdę pomyślał o słowach i języku w lesie, kiedy wracał do domu, do miasta, które jak mówili – spłonęło i zamieniło się w kupę dymiących kamieni. S. nie chciał w to wierzyć, uważał, że miasta nie da się tak całkiem zetrzeć na proch. A ci wszyscy ludzie? Co z ludźmi? Musiał wrócić, zobaczyć to, musiał coś zrobić. Później o wojnie mówił tylko tyle, że był to czas zablakanych duchów, które szukały drogi do domu. S. chwilami nie mógł na nie patrzeć, bo wydawały mu się smutne, zbyt smutne, by dało się znieść ten widok. Świat stał się pełen zagubionych zjaw o zablakanych, przerażonych oczach, zjaw szukających swojego miejsca, zjaw nie całkiem pewnych, czy to już piekło, czy może jeszcze nadal świat. W tamtym czasie prawdopodobnie można było przegapić moment przejścia.

S. skrył się w lesie, bo przez kraj wciąż szło wielu Niemców, a także Ruscy, trudno stwierdzić, kogo właściwie należało się bać. Zastanawiał się czasem nad swoim życiem, nad zdarzeniami, które rzucały go z miejsca na miejsce, nad wyborami, których dokonał, i nad wypowiedzianymi kłamstwami. Zastanawiał się, ile rzeczy w życiu da się naprawić i czy są takie, których się nie da.

Tamtego dnia w lesie był też F. On także się ukrywał. Siedział pod drzewem, skulony, roztrzęsiony i spocony. Dopiero po chwili S. zauważył, że na gałęziach tego samego drzewa są wisielcy. Rozpoznał niemieckie mundury. Jeszcze raz spojrzął na F., rozebranego do podkoszulka, i wyciągnął wniosek. A w zasadzie dwa wnioski. F. był niemieckim żołnierzem. F. wkrótce zamarznie. Był luty. Mróz, aż paliło w płucach. S. zrzucił z ramienia tobolek i wygrzebał z niego stary dziurawy sweter. Płaszcz nie zamierzał mu dawać, ale sweter mógł. Miał jeszcze koc. Wygryziony przez mole i myszy, szorstki i brudny, niemniej zawsze koc. Kradziony. A w zasadzie – wzięty, zabrany komuś, kto już go nie potrzebował. Podszedł z tym wszystkim do F.

F. był tak skostniały z zimna, że nie mógł się podnieść. S. pomógł mu wstać i się ubrać. Zagadał. F. podniósł wzrok i na chwilę w jego oczach zamigotała nadzieja. „Niemiec?” S. pokręcił głową. „Polak”. Wróciły do niego te chwile, kiedy w Breslau uchodził za Polaka, choć dzięki matce bardziej czuł się Niemcem, i kiedy w Warszawie wszyscy brali go za Niemca, a on chciał uchodzić za Polaka. Znowu nie bardzo wiedział, kim jest. Za kogo go uznają, kiedy wróci do miasta.

S. niechętnie odpowiedział, że urodził się w Breslau i mieszkał tam przez prawie trzydzieści lat. F. znowu spojrzął na niego z nadzieją. „Ja też urodziłem się w Breslau”, powiedział. „A później?”, zapytał S. „A później mieszkałem w Linzu i w Wiedniu. Jestem chemikiem. Ale przede wszystkim malarzem. Może słyszałeś...” S. gwizdnął cicho, kiedy padło nazwisko. Oczywiście, słyszał. Jak mógł nie słyszeć o najbardziej szalonym malarzu na świecie? Jego obrazy były prawie jak to, co każdego dnia widział we własnej głowie i w snach. F. spojrzął na niego dziwnie. Zerknął do góry, na gałęzie, i zaczął płakać. S. przypomniał sobie jeden z jego obrazów, rzeczywiście niemal identyczny z tym, co teraz. Trupy na gałęziach. Trupy przyklejone do gałęzi jak upiorne ptaki.

„Chodźmy gdzie indziej”, powiedział. Nie miał pojęcia, czy gdzie indziej będzie lepiej, ale tutaj nie mogli zostać.

Weszli głębiej w las i znaleźli niewielką polanę. S. postanowił zaryzykować i rozpalić małe ognisko, głównie dlatego, że nie wiedział, jak inaczej mieliby się ogrzać. Oczywiście mógł odejść. Zostawić go. Był Polakiem w starym płaszczu i spodniach, które nosił od połowy wojny. Wystarczyło tylko unikać Niemców i nie mówić zbyt głośno po niemiecku. Niekoniecznie wspominać miejsce urodzenia, nie przy Ruskich. Nie miał przy sobie dokumentów, które by cokolwiek poświadczały, więc nikt mu nie mógł nic udowodnić. Pomyślał, że to ciekawe, bo doświadczył już w swoim życiu starć z Niemcami jako Polak w niemieckim mieście, z Polakami jako Niemiec w polskim mieście, ale z Ruskimi jeszcze nigdy żadnych starć nie doświadczył. Nie żeby się bał. A może? Czuł coś osobliwego w środku, jakieś rozedrganie, że nigdy i nigdzie nie da się zapuścić korzeni. Bo nawet jak się próbuje, coś w głowie i tak przeszkadza. Głosy, wrażenia, kształty. Poczucie, że jest się wzywany. Niepokój. Wieczny niepokój, że to nie jest to, jeszcze nie.

F. wyciągnął dłonie nad ogień. Nadal się trząsał. „Zobacz, odmrożone”, mówił. S. kręcił głową, wcale nie odmrożone, tylko po prostu zziębnięte. „Jak będę malować?” „Schowaj w rękawy swetra”. S. ciągle się

rozglądał. Byli w lesie, mówili po niemiecku. Niebezpieczne, bardzo niebezpieczne. A S. musiał wrócić do miasta, coś tam na niego czekało.

Wyjął kawałek suchego chleba i niechętnie podzielił się z F.

„Miałem przyjaciela. Na tamtej pierwszej wojnie...” F. chciał opowiedzieć jakąś historię, która była dla niego ważna, ale szczykał zębami i głos mu bardzo drżał. S. usiadł obok niego i potarł dłonią jego plecy.

„Miałem przyjaciela...”

„Na tamtej wojnie, już wiem. I co dalej?”

F. zaczął opowiadać o młodym chłopaku, którego poznał na froncie nad rzeką Isonzo. F. również był wtedy młody, dwadzieścia sześć lat, może nie jak tamten, który dopiero odrósł od ziemi, ale jednak. Chłopak miał siedemnaście. Jeszcze buzia gładka, nawet nie musiał się golić. W nocy przez sen wołał mamę. F. opiekował się nim jak starszy brat, ale na wojnie trudno trzymać kogoś ciągle za rączkę, nie da się. Kiedy więc się rozdzielali, F. zawsze się zastanawiał, czy tamten da radę, czy przeżyje ten kolejny dzień, jeszcze jeden. I ciągle mu powtarzał, że każdy kolejny dzień przybliży koniec wojny. Co było głupie, bo nikt nie wiedział, kiedy wojna się skończy. Trwała cztery lata, które wydawały się wiecznością. A teraz przyszła kolejna, jeszcze dłuższa.

„Sądząc po twoich wczesnych szkicach i tym, że się rozebrałeś do gaci z munduru, w tej wojnie chciałeś walczyć. Za swojego Adolfa”.

„Znasz moje wczesne szkice?”

S. skinął głową, a F. miał nieodgadniony wyraz twarzy, w zasadzie trudno było powiedzieć, czy żałuje swojej niechęci wobec Żydów i tego, że włożył mundur Wehrmachtu, czy też nie. Wyglądał jak człowiek, który rozumie, że coś poszło za daleko. Coś, w czym on również brał udział.

Mówił dalej. Że chłopak miał mały domek niedaleko Breslau, mieszkał z rodzicami i siostrą, bardzo ładną i mądrą, chciała się uczyć na pielęgniarkę i iść na front, ale ojciec nie pozwolił. Front niebezpieczny. A na pielęgniarkę po co? Dziewczyna ma być w domu. Nie w ich rodzinie jakieś nowoczesne fanaberie emancypacyjne, że dziewczyna sama na siebie zarabia. Została więc. Chłopak twierdził, że kiedy wyjeżdżał walczyć, nie była szczęśliwa. Ale ogólnie jako rodzina byli. Na pewno byli szczęśliwi. Żyli skromnie, dobrze, cieszyli się z prostych przyjemności. Ciasto w niedzielę do kawy po obiedzie. Sanki zimą. Latem duszny zapach trawy i owoców w sadzie, słońce, które cieszyło i rozleniwiowało. Chciał wrócić. Marzył o tym, by jeszcze to wszystko zobaczyć, by nie zginąć daleko od domu. „Jeśli człowiek ginie daleko od domu, to jak znajduje potem drogę?”, pytał.

A później zaczął mówić o tym, co kiedyś usłyszał od ojca. Że jest taka opowieść o trzech postaciach duszy. Jedna postać w chwili śmierci człowieka od razu odlatuje do Boga. Druga postać odchodzi dopiero po roku. A trzecia na zawsze zostaje przy ludzkich szczątkach. Dlatego kości są święte i nie wolno ich ruszać. Jeśli więc chłopak umrze tutaj, a ta opowieść jest prawdziwa, jego kości muszą zostać. Trzeba się z tym pogodzić. Jeśli umrze tutaj, nigdy nie wróci do domu.

F. słuchał jego opowieści z coraz większą niechęcią. Chłopak nosił krzyżyk na szyi i codziennie odmawiał katolicką modlitwę. Skąd więc ta opowieść?

„To Żydki wierzą w trzy postacie duszy – powiedział pewnego dnia. – Jesteś Żydkiem?”

„Ja nie, ale moi pradiadkowie...”

F. nie zajmował się już dłużej tym chłopakiem. Nie chodziło o to, że jego pradiadkowie byli Żydami, choć o to też. Chodziło o to, że on najwidoczniej nadal się tym interesował. Żydostwem. Inaczej nie mówiłby takich rzeczy.

F. zajął się swoim szkicownikiem, rysował makabryczne sceny, obrazki wędrujących przez pustkowie zjaw, duchów na drzewach, zagubionych i nieszczęśliwych upiórów. To wszystko i tak było mniej straszne od rzeczywistości dookoła, od pourywanego głowa, szczyka, poodcinanych kończyn i podziurawionych płuc. F. już to słyszał, wszystkie opinie, że jest szalonym malarzem, podczas gdy on na własne oczy widział... Myślał o tym chłopaku, czasem. Niekiedy go widział, jego smutne oczy. Niekiedy słyszał pytania, dlaczego F. już z nim nie rozmawia. Unikał odpowiedzi. Nie mógł. Po prostu nie mógł otaczać go opieką, dbać o niego, o kogoś takiego jak on, skoro sam wierzył w czystość rasową niemieckiego narodu. Czystość rasowa niemieckiego narodu wymagała poświęceń, również osobistych. Sentyment nie był wskazany.

Pewnego dnia jeden żołnierz podszedł do F. i dał mu kieszonkowy zegarek oraz złoty krzyżyk.

„Zastrzelony. Głowę mu oderwało prawie... Przyjaźniliście się, więc...”

F. chciał powiedzieć, że wcale się z nim nie przyjaźnił, ale milczał. Zastrzelony. Głowę mu prawie oderwało.

Tamtej nocy płakał. Długo płakał, wciskając twarz w derkę. Żeby nikt nie zauważył.

Po wojnie zawiózł zegarek i krzyżek rodzicom chłopaka. Poznał też jego siostrę, która ciągle była wściekła, choć ojciec rzucał ostrzegawcze spojrzenia. Zjadł z nimi obiad. Potem deser. Ciasto i kawa, tak jak się spodziewał. Później wdychał ciężki zapach trawy i owoców w sadzie. Później dał się rozleniwzić słońcu. Poszedł na jego grób. Symboliczny grób, ale ciała wielu chłopaków nie wróciły przecież po wojnie do domu, nie chodziło tylko o tę bzdurę na temat podziału duszy. Nie chciał o tym myśleć. Złe zrobił, opuszczając go nad Isonzo. Powinien był zostać przy nim i dalej mu tłumaczyć, że każdy kolejny dzień to bliżej końca wojny.

Śniła mu się później zjawą wędrująca przez pustkowia. Zjawą, której głowa wciąż opadała na plecy.

Potem była nowa wojna i ta dziewczyna, w Norwegii. F. nie podał szczegółów, wciąż powtarzał tylko, że nie zdążyła się przedostać do Szwecji, a właśnie tam oni uciekali. Żydzi. Z jakiegoś powodu nie wyjechała, kiedy robiła to większość. Coś ją powstrzymywało, może jakaś osoba, a może nadzieja, że nie będzie trzeba. Że można przeczekać. Kiedyś musi się to przecież skończyć. W pewnym sensie myślała tak jak F. podczas poprzedniej wojny – że każdy kolejny dzień przybliży ich do końca. Ale koniec może wyglądać różnie, może na przykład oznaczać śmierć. Albo wywózkę w inne miejsce, takie miejsce, z którego potem nie będzie można ruszyć kości. Ona na pewno też tak uważała, że kości nie wolno ruszyć, przy nich zostaje część duszy. W miejscu, w którym ją spotkał, rosły drzewa. Może był to park, może niewielki las, S. się nie dowiedział. Tylko tyle, że były drzewa. F. wciąż o nich wspominał, jak gdyby na tych drzewach znowu widział swoje blade upiory. Wiedziała, kim jest. Malarz. Szalony malarz. „Tata chciał kupić obraz z pianistą i nietoperzem”. F. był zaskoczony i z tego zaskoczenia aż zapytał, dlaczego ostatecznie jej tata nie kupił tego obrazu. „Nie wiem”, odparła i wzruszyła ramionami. Było coś dziecięcego w tym geście i F. pomyślał o swoich córkach.

Dziewczyna wspominała potem, że lubi Morze Norweskie latem, o zachodzie słońca. Jest jak z jego obrazów, czerwona poświata, lekka mgła, kanciaste, ostre skały, klify, rozpościerająca się w oddali pustka, przerażająca i piękna jednocześnie. Lubiła zimny wiatr i smak soli na ustach. Poza tym lubiła też myszy, uważała, że są urocze, nie rozumiała, dlaczego ludzie zastawiają na nie pułapki. F. poczuł się nieswojo, strużka zimnego potu spływała mu po skroni. „Jak pan sądzi – mówiła – czy długo jeszcze?” Wiedział, że już za chwilę ktoś tu przyjdzie i ją zobaczy. Ona też to wiedziała i dlatego w końcu zadała to pytanie. „Czy mogę iść?” Nie patrzyła mu w oczy. Cieszył się z tego, nie udźwignąłby jej spojrzenia. Okazałby słabość, a słabość nie była dobra, wojna musiała się skończyć na ich zasadach, a to wymagało konsekwencji. Inaczej wiara w idealne społeczeństwo, którą pielęgowali przez lata, wiara w społeczeństwo bez skazy, pójdzie na marne. Nie wygrają. Nie wygrają nie tylko wojny, ale nie wygrają w ogóle świata. F. wierzył w to przecież, że naród można oczyścić. Ale ona... ona była zwykła. Miała co prawda czarne włosy, ciemne oczy i gęste brwi, nie była jasna, białobłękitna, a jednak mówiła jak zwykły człowiek, miała zapewne te same organy w środku, w jej ciele zachodziły takie same reakcje chemiczne jak w jego. To było dziwne, nagle o czymś takim myśleć. „Czy mogę iść?” Nie odpowiedział, czekał. Widział, jak ona przestępuje z nogi na nogę, jak zaczyna się niecierpliwić. Może bać. Może wreszcie zrozumiała. Nie zamierzał jej pomóc.

Słyszał później, że kilkuset Żydów, którym nie udało się uciec do Szwecji, wywieziono do wielkiego obozu zbudowanego w Polsce. I ją na pewno też. Widział, jak ją zabierają, jak zostawia za sobą drzewa. Widział jej gruby czarny warkocz wahadłowo przesuwany się po plecach. W prawo, w lewo, w prawo, w lewo...

Później wysłali F. na wschód, do Stalingradu, a jeszcze później trafił pod Toruń, od którego nie zdążył daleko odejść, chyba nie. Czy S. nie sądzi, że wciąż są blisko Torunia? S. nie odpowiadał, czuł zimno rozchodzące się po całym ciele i słyszał nocne odgłosy lasu. Ciemność sprawiała, że wszelkie światło stawało się bardziej widoczne. Powinien zgasić ogień. Powinien odejść. Zostawić go.

Siedział dalej.

Słuchał.

F. mówił o Toruniu.

Niemcy przegrywali i raczej jasne stało się, że w tej wojnie los już się nie odwróci. Ale dowódcy dalej myśleli o walce, o fortach, twierdzach, zyskaniu na czasie. F. wykonywał rozkazy, jechał tam, gdzie kazali mu jechać. Pod powiekami przynosił różne obrazy, ziemi żłobionej pociskami, wybuchów, krwi, chudych ciał, przerażonych oczu, pięknych zachodów słońca nad niepiękną śmiercią, ciemnych oczu, wahadła czarnego

warkocza. „Tata chciał kupić obraz z pianistą i nietoperzem”.

Obrona Torunia więc, budowa umocnień, przygotowania do walki. Było ich mniej niż Sowietów. Sowieckie samoloty, niemieckie posiłki, odgłosy artylerii, cofanie się, walki, budzenie w sobie głupiej nadziei, że stawianie oporu ma sens. Nowy dowódca garnizonu przyjeżdża do Torunia i mówi, że ma rozkaz od Himmlera. Bronić miasta do ostatniego żołnierza. Jak łatwo poświęcić ludzi, myśli F., jak łatwo powiedzieć: „do ostatniego żołnierza”, są pionkami na szachownicy, są po prostu elementami, maszynami, mają strzelać, zabijać, jak najdłużej zabijać i jak najdłużej nie umierać, bo honor nakazuje do ostatniego, nieważne, czyje to życie, nieważna cała historia pojedynczego człowieka, którą nosi pod skórą i która jest niewidzialnym pancerzem broniącym przed szaleństwem. Przed szaleństwem. Nie przed śmiercią. F. wie więc, że już stąd nie wróci. Nie zobaczy żony i córek. Nie będzie się zastanawiać, czy dobrze zrobił, opuszczając chłopaka nad Isonzo i tamtą dziewczynę z warkoczem, czy dobrze zrobił, nie pomagając im, skazując ich na samotny koniec.

F. zostanie tu i będzie walczył, bo tak kazał Himmler, będzie walczył za Himmlera i za Hitlera, za lepszy, czysty rasowo, wyższy naród, będzie do końca wierzył, że tak trzeba, bo inaczej pancerz chroniący przed szaleństwem pęknie.

A jednak nie, jednak nie do ostatniego żołnierza, Himmler i Hitler zgadzają się na wyprowadzenie garnizonu z miasta na zachód i północny zachód, mają jeszcze uderzyć na Sowietów, maszerują więc, wychodzą, nie myślą o uderzaniu, ale nie myślą też za wiele o niczym innym. Pada śnieg, jest mróz, straszliwy mróz, choć mówią, że dla Ruskich to normalna zimowa pogoda. Później znowu są jakieś walki, jakieś śmierci, jakaś przegrana, ktoś mówi, by uciekać, bo Ruscy biorą do niewoli, a do ruskiej niewoli to podziękować. F. nie bardzo wie, co się dzieje, ale biegnie, biegnie do lasu, a potem idzie, idzie przed siebie, coraz dalej i dalej, i niewiele już myśli. Rozumie tylko tyle, że jest zimno, że nie ma jedzenia i picia, że to koniec, koniec, koniec. A potem są drzewa, różne drzewa i to jedno z wisielcami. Idzie już długo, słońce zachodziło i wschodziło dwa razy, ledwo unosi stopy, jest głodny i słaby i wszystko miało wyglądać inaczej. Wisielcy mają niemieckie mundury. On też ma niemiecki mundur. Może go zdjąć i się nie odzywać, i wtedy jest szansa... Tylko po co jeszcze żyć? Co teraz będzie?

S. wierci się przy ognisku i zerka na boki. Nie wie, co ma powiedzieć, jest teraz w takim stanie ducha, że nie umie tak całkiem współczuć F., choć gdzieś tam, w głębi serca, rozumie, że coś może się wydawać z pozorów dobre, a wcale takie nie jest. I że zrozumienie przychodzi za późno.

„Jest taki dom, we wschodnich Niemczech. Mały wiejski dom. Mieszkała tam rodzina tego chłopaka znad Isonzo – mówi F. – Pojeźdź tam, jak już się wszystko uspokoi. Nie wiem, czy ktoś tam jeszcze żyje, ale może tak, może dziewczyna, była młoda. Może teraz została w końcu pielęgniarką, jak marzyła. Zawieź tam ten zeszyt. Jemu podobały się te rysunki. Te z początkowych stron. Teraz jest tam tego więcej, też na pewno by mu się podobały. I jest tam wspomnienie o naszej pierwszej wojnie, o rzece, czystej rzece, nad którą nie powinno się nikogo zabijać. Powiedz im, że przepraszam”.

„Sam im to powiedz”, odpowiada S. F. śmieje się, skrzekliwie, nieprzyjemnie, a potem kaszle. Podaje mu niewielki zeszyt, pomięty, poplamiony. W środku faktycznie są szkice. Piękne. Szalone. Jest też złożona na pół kartka z opowieścią o rzece i druga z adresem.

„Muszę na stronę”, mówi F. i odchodzi w krzaki.

S. czeka. Po namyśle przydeptuje trochę ognisko, zostawia małe płomyk, a i to wśród nagich drzew i śniegu widać pewnie z daleka. Czeka, czeka. Nie słyhać kroków, nie słyhać nic. S. mógłby za nim iść. Sprawdzić. Ale zostaje na miejscu, jeszcze zostaje i zastanawia się nad ogniem. Nasłuchuje. Wreszcie wstaje i patrzy. Kręci głową, przeklina pod nosem. To nazista, myśli. Niemiecki żołnierz. Esesman. Jest za to odpowiedzialny, jest za to współodpowiedzialny, nie tylko przyzwolił, lecz i wziął udział. A jednak S. idzie za nim, idzie i szuka.

Znajduje go dobre kilkadziesiąt kroków od ogniska. F. przeszedł spory kawałek, zanim upadł. Jego ciało jest zimne, usta i palce sine. S. dotyka jego szyi, szuka pulsu, ale pulsu nie ma. Oczy F. są szeroko otwarte, wpatrują się w korony drzew, w gałęzie. S. nie podnosi głowy i nie patrzy w to samo miejsce. Boi się tego, co może zobaczyć. Tego, co na pewno tam teraz jest.

Wraca do ogniska i zbiera swoje rzeczy. Bierze też zeszyt i chowa go pod płaszcz. Jeszcze nie wie, czy ma zamiar spełnić jego prośbę. Ale bierze. Bo może kiedyś. Pewnego dnia.

ROZDZIAŁ 28

Na kasecie były dwa nagrania, jedno po drugim. Mogliśmy obejrzeć to drugie od razu, Tomek nawet to proponował. Kiedy babka skończyła opowieść o S., który zostawia martwego F. w lesie, przez chwilę nie wyłączyła kamery, wpatrywała się w obiektyw i milczała. Jak gdyby faktycznie po prostu chciała nawiązać ze mną kontakt wzrokowy. Nagrała to dziesięć lat temu. Poznałam po fryzurze, bo właśnie wtedy, zresztą również w grudniu, po raz pierwszy i ostatni w życiu ścięła włosy bardzo krótko, na chłopaka. Tak jej doradził fryzjer, co było błędem – miała bardzo szczupłą, pociągłą twarz, która przy takim cięciu jeszcze się wydłużyła. Babka powtarzała potem, że wygląda jak koń. Miałam wtedy dwadzieścia pięć lat i otworzyłam własną firmę, byłam przerażona i nie wiedziałam, jak ułoży się moje życie, czy mi się uda, czy też poniosę porażkę. Pracowałam po kilkanaście godzin dziennie. Przyjechałam jak zwykle na święta i przespałam prawie całą pierwszą dobę. Nie miała pretensji, że nie pomagam w gotowaniu. Pozwoliła mi wypocząć, a później lakonicznie zapewniła, że choć się dziwi temu całemu projektowaniu nagrobków i nie do końca rozumie mój wybór, wierzy we mnie i na pewno odniosę sukces. Wzruszyły mnie jej słowa. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, tak bardzo ich potrzebowałam.

Kojarzyłam sweter, w który była ubrana na nagraniu. Niebieski. Ja mówiłam, że to kolor kobaltowy, ale ona, że niebieski to po prostu niebieski i nie trzeba dorabiać filozofii. Nie miałam pojęcia, skąd wzięła kamerę, czy była to właśnie ta jej stara wielka „krowa”, ani co z nią później zrobiła. Myślałam o tych dziesięciu latach. Wytrzymała tyle. Nagrała, a potem czekała. Nie czuła pokusy, by pokazać mi ten film wcześniej, by o nim ze mną porozmawiać. A może czuła. Może myślała o tym każdego dnia i walczyła ze sobą – zwłaszcza wtedy, gdy tu przyjeżdżałam.

Tomek zapytał, czy chcę od razu obejrzeć drugie nagranie. Widziałam, że sam miał na to wielką ochotę, ale potrząsnęłam głową. Resztę dnia spędziłam na sprzątaniu domu, odśnieżaniu podjazdu i przeglądaniu przepisów kulinarnych babki. Odebrałam telefon od Jaśka i powiedziałam, że choć mam wielką ochotę przejść się z nim na spacer, jestem dziś zbyt zmęczona. Nie była to prawda i ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Słyszałam rozczarowanie w jego głosie. Zbliżały się święta, po nich przyjdzie Nowy Rok, a po Nowym Roku on wróci do Warszawy, ja do Wrocławia, zaczniemy dzwonić do siebie coraz rzadziej, coraz rzadziej odpisywać na wiadomości... Asekurowałam się. Zakładałam, że nic nam z tego nie wyjdzie. A przecież mogło wyjść. Poranek, który ze sobą spędziliśmy, to, jak się potrafiliśmy razem śmiać, to, co czułam, kiedy mnie całował, było warte starania. Dawno nie przeżywałam takich emocji i zapomniałam już, jak bardzo za nimi tęskniłam. A jednak nie poszłam z Jaśkiem na spacer. Zostałam w domu, wśród opowieści, tajemnic i z głosem babki w uszach.

Wieczorem siedzieliśmy z Tomkiem w salonie i oglądaliśmy szkicownik Sedlacka, a także jego zapiski znad Isonzo. Wszystko układało się w całość. Mój dziadek – jasnowidz, medium, szaman albo człowiek chory – spotkał w lesie Franza Sedlacka, austriackiego malarza, artystę o wielkiej wyobraźni i niezaprzeczalnym talencie, ale jednocześnie antysemitę, członka NSDAP i żołnierza Wehrmachtu. Działo się to po walkach o Toruń i zapewne gdzieś nieopodal tego miasta. Sedlacek nie mógł odejść daleko. I w ogóle jak to się stało, że odszedł? Zostawił innych żołnierzy, znalazł się sam w lesie? A może tam, na drzewie, wisieli jego koledzy? Byli jak duchy z jego obrazu. Może to poczuł – poczuł, że spełnia się jego mroczna wizja?

Tomek czytał mi z internetu wiadomości o obronie Torunia. Mówił, że wszystko się mniej więcej zgadza, że jeśli chcę, możemy spróbować jeszcze go poszukać, jeśli faktycznie Franz Sedlacek tu był, brał udział w tych walkach, to może jednak, wbrew wcześniejszym ustaleniom, znalezienie go, natrafienie na sensowny ślad, który zaprowadzi nas dalej, jest możliwe. Pokręciłam głową. Musieli go szukać. Rodzina musiała. Dopiero w siedemdziesiątym drugim Sedlacek został uznany za zmarłego. Dwadzieścia siedem lat po wojnie. Chyba że go nie szukano i po prostu czekali, aż wróci. Ale nie, przecież tak nie mogło być. Miał dwie córki. Dla byłych nazistów nastał po wojnie niekorzystny czas, a jednak nie wszystkich uznano za zbrodniarzy wojennych i nie wszyscy uciekali z Europy czy ukrywali się pod zmienionymi nazwiskami. Sztuka Sedlacka nie została uznana przez nazistów za „zdegenerowaną”, ale nie nosiła też żadnych znamion politycznych. Wspominało się o wczesnych antysemitycznych karykaturach, mimo to jego późniejsze, dojrzałe obrazy nie budziły takich skojarzeń. Austria ponadto przez lata utrzymywała narrację, że anszlus był formą okupacji i nikt tam Hitlera z otwartymi ramionami nie witał. A teraz wystarczy zobaczyć zdjęcia z przemówienia Hitlera na

wiedeńskim Heldenplatz. Spojrzeć na ten tłum, wiwatujący tłum, na chorągwie ze swastykami, na małe dzieci usadzone na ramionach ojców, którzy z dumą wskazywali wodza. Przez lata po wojnie byli naziści zajmowali stanowiska w austriackich urzędach, a nawet angażowali się w politykę, co podniesiono w publicznej dyskusji dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Sedlacek mógł wrócić do domu. Mógł uznać, że się pomylił. Albo przynajmniej udawać... jeśli nie zmienił poglądów. Zastanawiałam się nad tym, jeszcze zanim zobaczyłam to nagranie. Czytałam, że zaginął po obronie Torunia, ale że ponoć ktoś go widział w obozie jenieckim w pobliżu Ostendy. Mógł to być błąd, ale ostatecznie nie musiał. Sedlacek był trochę jak polska aktorka Ina Benita, którą ostatni raz widziano w powstaniu warszawskim, a później mnożyły się teorie, czy przeżyła wojnę, czy wyjechała do Niemiec i tam połączyła się ze swoim kochankiem – niemieckim oficerem. Czy zabrała syna, czy zmieniła nazwisko, kiedy zmarła. Sedlacek również mógł zginąć pod Toruniem, mógł dotrzeć do Ostendy lub też mógł się znaleźć zupełnie gdzie indziej, zmienić nazwisko, zacząć od nowa. Tyle że to oznaczałoby również porzucenie rodziny. Odcięcie się od córek. Widziałam jedno zdjęcie w internecie, rodzinną fotografię, Sedlacek, jego żona, dwie dziewczynki. Wszyscy patrzą w obiektyw, poza Sedlackiem. Jedna córka ma skrzywioną minę i właśnie na nią spogląda malarz. Nie karci jej, tylko ciepło się uśmiecha. Jak gdyby chciał powiedzieć, że to przecież nic strasznego, tylko kilka pstryknięć na pamiątkę i dziewczynka będzie mogła wrócić do swojej zabawy. Pod wpływem tego widoku nabrałam przekonania, że Franz Sedlacek nie odszedłby od nich dobrowolnie.

Powiedziałam Tomkowi, że nie będziemy go szukać. Nie będziemy próbowali niczego się o nim dowiedzieć. Jeśli ta opowieść jest prawdziwa, F. został w lesie, ze swoimi zjawami nad głową. A jeśli nie jest, niech ma swoje własne zakończenie.

Kartkowałam szkicownik i kilkanaście razy czytałam jego zapiski z pierwszej wojny światowej. Chciał, by to tu wróciło. By znalazło się w domu, w którym mieszkał Rolf Heckmann, chłopak z odstrzeloną głową, który wierzył, że kości zmarłego są święte i nie należy ich ruszać. I S. dotrzymał obietnicy.

Nadal nie miałam pojęcia, co mój dziadek robił podczas wojny, gdzie był – czy w obozie, czy w wojsku. Jak wrócił i gdzie ponownie spotkał moją babkę. Być może wyjaśniało to drugie nagranie i jednocześnie ostatnia opowieść, ostatni klucz do rozwiązania zagadki. A jednak pozwoliłam sobie zostać jeszcze na chwilę z pytaniami, na które nie znałam odpowiedzi. Tomek zagadywał, czy na pewno nie chcę ponownie poszukać swojego dziadka, poznać jego prawdziwego nazwiska, dowiedzieć się, kim byli moi pradziadkowie. Sama powtarzałam przecież zawsze, jak wielkie znaczenie ma dla człowieka zbudowanie własnego drzewa genealogicznego. Znałam historię swojej drugiej babki, matki mojej matki, i drugiego dziadka, wszystko było tam proste i klarowne, mieszkali we Lwowie, po wojnie przenieśli się do Wrocławia, jak wielu lwowian – czy też jak prawie wszyscy. Wiedziałam, co robili przed wojną i w jej trakcie, wiedziałam, gdzie były ich groby. Zmarli, zanim się urodziłam. Nie znałam ich, ale znałam ich historie, miałam bazę. Miałam dokumenty. Akty chrztów, ślubów, świadectwa szkolne, dokumenty z zakładów pracy, adresy, zdjęcia. Słyszałam rodzinne opowieści. Czulałam się tak, jakbym znała również ich samych. Była między mną a nimi więź. Babcia Matylda natomiast istniała w moim życiu osobiście i namacalnie. Długo myślałam, że przez tajemnicę związaną z dziadkiem jest we mnie jakiś brak, jakieś puste miejsce, którego niczym nie umiem wypełnić. Że skoro go nie poznałam, potrzebuję papierów. Dokumentów, aktów, świadectw. Muszę wiedzieć, że istniał, mieć na to dowód. W przeciwnym razie będzie trochę tak, jak gdybym ja sama istniała tylko w części. Teraz nadal nie miałam papierów i mocnego dowodu. Ale miałam opowieść. Miałam wypełnienie dla swojej luki.

*

Następnego dnia rano po śniadaniu poprosiłam Tomka, by poszedł ze mną nad jezioro. Zdziwił się, ale od razu zgodził. Po drodze rzucaliśmy urywane zdania o tym, że jutro Wigilia, że pierogi można zrobić dzisiaj, może nie tylko z kapustą, lecz i ruskie, bo oboje takie wolimy. Sałatkę z majonezem jutro rano, będzie świeża, do wieczora składniki się przegryzą, a nic nie zdaży się zepsuć.

Ścieżkę za domem przysypał śnieg, który teraz przyjemnie skrzypiał pod stopami. Wkrótce odpuściliśmy sobie rozmowę o gotowaniu i delektowaliśmy się piękną zimową pogodą. Od rana niebo było czyste i przybrało tę barwę, którą ja określiłabym jako kobaltową, a moja babka po prostu jako niebieską. Słońce świeciło intensywnie i śnieg w jego blasku stawał się oślepiająco biały. Nie wzięłam okularów słonecznych i moje oczy szybko zaczęły łzawić. Mroźne powietrze zamieniało oddech w parę. Idealna pogoda

na święta. Białe Boże Narodzenie.

Weszliśmy do małego zagajnika, a później między nagie drzewa. Spojrzałam na gałęzie i usiłowałam myśleć o wzorze, jaki tworzą na tle nieba, nie o duchach Sedlacka. Kiedy zbliżaliśmy się do jeziora, nie czułam strachu. Teraz szło się łatwiej, znaleźliśmy już drogę i przetarliśmy szlak.

Wodę skuwała cienka warstwa lodu. Ogarnęła mnie dziwna pokusa, by postawić na niej stopę, poczuć trzeszczenie, może wsłuchać się w ten dźwięk, którego wtedy nie słyszałam. Może nawet poczuć więcej. Pęknięcie. Zapadanie. Czułam to wtedy i tak, tylko inaczej, w środku.

– Chciałbym cię znać. W tamtym czasie – powiedział nagle Tomek, kiedy staliśmy na brzegu.

Wiedziałam, który etap w moim życiu ma na myśli.

– A ty? Co wtedy robiłeś? Byłeś klasowym kujonem czy amantem, który co tydzień zmieniał dziewczynę?

– Oglądałem po sto razy *Indianę Jonesa* i marzyłem o tym, by zostać archeologiem.

Spojrzałam na niego z zaskoczeniem.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

– Tak jak ty nie mówiłaś mi o wielu rzeczach.

Nie powiedział tego z wyrzutem. Był spokojny, nawet się lekko uśmiechnął. Pomyślałam o tym, że dziesięć lat to w gruncie rzeczy wcale nie tak dużo. Nie znaleźliśmy się długo. Tomek miał swoje życie przede mną, tak jak ja miałam swoje życie przed nim.

– No dobra. To jesteśmy kwita – odparłam. – I dlaczego nie zostałeś archeologiem?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Chyba się przestraszyłem pod koniec liceum. Że po archeologii skończę na kasie w Biedronce. Po historii sztuki też mogłem, jasne, wtedy wielu humanistów obstawiało kasy, teraz zawsze można iść do korpo, co jest prawdopodobnie lepszą opcją. Moja matka tak mówiła, że po co mi ta archeologia, będę po niej całe dni kasować chleb i puszki z piwem. Potem trochę się dowiadywałem, że jeśli się chce pojechać na „prawdziwe” wykopaliska, na przykład do Turcji, by badać dziewięć warstw Troi, trzeba być naprawdę dobrym. I pomyślałem, że wcale nie wiem, czy będę dobry. Czy umiem całymi dniami kłęczeć na kamieniach i piasku, dłużyć w ziemi, machać pędzelkiem. Do ogrodnictwa zacięcia nie miałem, więc... Oczywiście, była jeszcze zagadka w ziemi. Żeby rozwiązać zagadkę ukrytą w ziemi, prawdopodobnie dałbym radę kłęczeć i dłużyć. Ale posłuchałem matki. Uznałem, że pójdę na prawo...

– Żartujesz!

– Jako alternatywę wziąłem tę historię sztuki, zawsze byłem w tym dobry, chyba rozumiałem obrazy. I artystów. Tak sądzę. Uznałem, że w razie czego w historii sztuki też jest mnóstwo tajemnic do odkrycia, wiele zagadek ukrytych nie w ziemi, lecz na płótnie.

– Dostałeś się na to prawo?

– Dostałem się. I tu, i tu. Z prawa zrezygnowałem.

– Twoja mama musiała być szczęśliwa...

– Moja matka jest matematykiem, wykłada na uczelni. Ojciec był chemikiem, wiecznie robił jakieś doświadczenia. Oboje świetni naukowcy i bardzo, aż tak do bólu, ściśle umysły. Matka po prostu nie rozumie, że można myśleć inaczej. Chyba w ogóle nie rozumie, że można nie być ścisłowcem, nie rozumieć liczb. Jej zdaniem wszyscy humaniści tylko udają humanistów.

– Ciekawa jestem, czy w ogóle uznaje, że studia na ASP to prawdziwe studia. Wielu nie uznaje.

– To by było ciekawe spotkanie. Wasze.

– Nigdy do niego nie doszło.

– Gdańsk nie jest na końcu świata.

– Nigdy mnie nie zaprosiłeś.

– Wiem. Nie mam pojęcia dlaczego. Ale jeśli zrobię to teraz, będzie inaczej, niż gdybym zrobił to pół roku temu, prawda? Inaczej to zinterpretujesz. I ja będę miał inne intencje.

Skinęłam głową.

– Dziesięć lat temu – mówił dalej – wiedziałem albo przeczuwałem, że myślisz o nas, o czymś więcej.

I udawałem, że tego nie widzę.

– Bo nie czułeś...

– Czułem.

– Słucham?

– Czuję do ciebie to samo. Po prostu bardzo się cieszyłem z naszej znajomości i na naszą współpracę. Wydawało mi się, że sensowne rzeczy mogą z tego wynikać. I bałem się, że jeśli coś nie wyjdzie między nami, nie wyjdzie nam też współpraca.

– Pewnie tak by było.

– Wiem, to wszystko jest głupie. Szczeniackie.

– Nie jest. Miałam takie same obawy, dlatego nic nie zrobiłam.

– A teraz? Jest za późno?

Delikatnie postawiłam stopę na lodzie, tylko na chwilę, zaraz ją cofnęłam, ale Tomek i tak mocno złapał mnie za rękę.

– Teraz... – odpowiedziałam. – Nie wiem, czy za późno. Ale myślę, że to znowu nie jest dobry moment.

Nie zadawał kolejnych pytań i nie drażył tematu. Odniosłam wrażenie, że ta odpowiedź nieco go uspokoiła. Była mniej definitywna niż „jest za późno”, w zasadzie niczego nie wykluczała, zostawiała otwartą furtkę.

Postaliśmy jeszcze chwilę nad jeziorem i ruszyliśmy w drogę powrotną. Kiedy minęliśmy zagajnik i weszliśmy na ścieżkę prowadzącą do domu, Tomek nagle się zatrzymał.

– Wiesz, Kami...

Stanęłam i spojrzałam na niego. Był dziwnie zakłopotany.

– Ja też mam jedną osobę w rodzinie, która zapadła się pod ziemię.

Podeszłam bliżej i położyłam mu dłoń na ramieniu.

– Tomek, sprawdziliśmy wszystkich twoich dziadków i wszystkie babcie, chciałabym, żeby w mojej rodzinie tak skrupulatnie zbierano pamiątki i dokumenty. Masz wszystkie daty, miejsca...

– Mój dziadek miał kuzynkę. Opowiedział mi o niej przed śmiercią. Nie dawało mu to spokoju. Rodzice ją oddali, coś z nią było nie tak.

– Co?

– Nie wiem. Jakiś defekt przy urodzeniu prawdopodobnie. Ta rodzina była z Pomorza.

– Niemcy?

Potwierdził.

– Czyli jesteś trochę Niemcem.

– Mniej niż ty, jak się okazuje. – Uśmiechnął się słabo.

– No, dziadek S. uważał się za Polaka.

– Albo i nie całkiem.

– Albo i nie całkiem – powtórzyłam.

– W każdym razie... mój dziadek znał ją. Tę dziewczynę, kuzynkę. Nie wiem, czy jego rodzina wzięła ją do siebie, czy ją odwiedzał. Powiedział tylko tyle, że źle wobec niej postąpili. Że próbował jej pomóc, że jej szukał, ale za późno się do tego zabrał. I że gdyby zabrał się do tego wcześniej, nie przepadłaby podczas wojny.

– Tak powiedział?

– Tak.

– „Przepadła”? To nie to samo co „zginęła”.

– Wiem.

– Twój dziadek...

– Na zwierzenia wzięło go też trochę za późno. Miał już problemy z pamięcią, mylił swoje dzieci, moją matkę z jej siostrą nagminnie. Nikt nie traktował poważnie tego, co mówił.

– Poza tobą.

– Poza mną.

– Masz nazwisko tej kuzynki?

– Tylko imię.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Imię. To już było coś. Czasem imię i trop prowadzący do krewnych wystarczały, by odszukać przodka. Czuję, że to się może udać. Chciałam spróbować. Chciałam, by Tomek mnie do tego włączył, by mi zaufał.

– Czyli co? – zapytał. – Latem? Będzie trochę czasu w wakacje.

Wzięłam go pod rękę i ruszyliśmy do domu.

ROZDZIAŁ 29

Dochodziła dziewiąta wieczorem, kiedy wrzucałam do garnka ostatnie pierogi. Tomek mamrotał coś nad radiem, że dzisiaj „śnieży” i że słabo działa internet, a ja udawałam, że z tego powodu jest mi bardzo przykro. Nie miałam nastroju na świąteczne hity, choć Jasiak nie mylił się, mówiąc, że jeśli kiedykolwiek jest odpowiedni moment na ich słuchanie, to właśnie teraz. Pomyślałam nawet o jazzowej wersji *Happy Christmas (War Is Over)* i o przesłaniu tej piosenki. Wielu ludzi toczy w środku swoje prywatne wojny, które nigdy się nie kończą. Jak moja babcia. Nie wyrzuciła ubrań mojego dziadka, nigdy. Nie zmieniła niczego w jego pokoju. I stała przy oknie. Patrzyła na las i najprawdopodobniej za nim tęskniła, bardzo, niewyobrażalnie. Jak miała nam wszystkim o tym powiedzieć? Nie mogła. Nie istniały odpowiednie słowa.

Próbowałam odtworzyć w pamięci wszystkie momenty, w których niespodziewanie znikła. Stała obok mnie i coś mówiła, ale nagle jakby jej nie było, traciła uwagę, nie patrzyła już na mnie, lecz w głąb siebie, a może nie, może na niego. Może w swoją przeszłość albo w alternatywną wersję życia. Była dzielna. Każdego dnia wstawała z łóżka i robiła swoje, bez narzekania, bo babka nigdy na nic nie narzekała. Chyba że na bitą śmietaną w proszku. Musiała się zastanawiać i zadawać pytania, musiała choć raz pomyśleć o tym, że chciałaby, aby został. Że mógł jej nie zostawiać i razem ze wszystkim by sobie poradzili. Ale ona nie namawiała, nigdy nikogo na nic nie namawiała, szanowała samodzielne wybory, pozwalała ludziom popełniać własne błędy. Chciałabym zobaczyć, jak mówi Anecie ze sklepu, by włożyła coś niebieskiego. Jak przegania żuli, a oni potem z daleka się jej kłaniają. Przypominałam sobie wszystkie te chwile, kiedy była z innymi ludźmi, tutaj, w swoim gospodarstwie. „Pani Matyldzia”. Tak na nią mówiono. Kiedy byłam młodsza, sądziłam, że brzmi to głupio.

Tomek stanął w drzwiach.

– Skończyłaś? Mogę myć gary?

Wskazałam na gotujące się pierogi.

– Dopiero wrzuciłam ostatnie.

Włożył fartuch kuchenny mojej babki, ten z wyhaftowaną kobietą w kapeluszu, i zaczął sprzątać brudne naczynia. Umówiliśmy się, że gdy ze wszystkim tu skończymy, obejrzymy drugie nagranie. Chciałam, by ten moment już nastąpił, a jednocześnie próbowałam go odwlec.

Przed dom zajechało auto. Tomek odchylił się od zlewu i zerknął w okno.

– Chyba twój chłopak.

– To nie jest mój...

– Idź otworzyć.

Nie chciało mi się dyskutować, więc faktycznie poszłam otworzyć drzwi. Jasiak trzymał w ręku torebkę prezentową i uśmiechał się przepraszająco.

– Nie chcę ci przeszkadzać przed samą Wigilią – powiedział, wchodząc do sieni. – Przyniosłem tylko... prezenty.

– Prezenty?

Zaprowadziłam go do salonu. Tomek mruknął znad zlewu zdawkowe powitanie, ale nie podniósł wzroku. Jasiak nie usiadł, nie zdjął nawet kurtki. Wręczył mi torebkę, po czym z powrotem wyjął ją z moich rąk.

– Przepraszam, ja jeszcze muszę wyjaśnić. To jest od mojego brata.

Podał mi kopertę. W środku było zdjęcie. Spojrzałam na nie i poczułam, że muszę usiąść. Jasiak pochylił się nade mną i odgarnął mi włosy z twarzy.

– Wszystko w porządku?

Potaknęłam. Gardło miałam ściśnięte ze wzruszenia. Zdjęcie przedstawiało moją babcie, zrobiono je jakieś piętnaście lat temu. Pozowała na nim w swojej najładniejszej granatowej sukience, siedziała na krześle w sadzie, a tuż obok stała jej ulubiona suczka, duży, puchaty owczarek. Babka nazwała ją Jadzia. To było ostatnie lato Jadzi. Ja też przyjechałam tutaj w tamtym czasie, ale nie widziałam, kto i kiedy zrobił to zdjęcie.

– Mój brat je zrobił – powiedział Jasiak, jak gdyby czytał mi w myślach. – Przyszedł podziękować, to było po jego drugim...

– Rozumiem.

– Zatrudniła go wtedy do zbierania owoców, które pospadały z drzew, żeby miała na dżem.
– Ja to z nią zawsze robiłam. Ale tamtego lata, kiedy pochowaliśmy Jadzię... nie przypominam sobie...
– Chciała, żeby miał zajęcie, żeby nie siedział w domu. Zapłaciła mu. Twoja babcia... mogła dużo zarabiać, miała w niesamowity sposób głowę na karku. Ale chyba nie lubiła pieniędzy. Głupio się czuła, kiedy miała ich za dużo. Zaraz się zastanawiała, kogo do czego można zatrudniać. Połowę z tych rzeczy spokojnie była w stanie zrobić sama, zresztą i tak po wszystkich poprawiała.

– Jak to ona. Nasza księgowa Wioletka też jest zdania, że babcia nie chciała odnieść sukcesu.

Jasiek przysunął sobie w końcu krzesło i usiadł obok mnie.

– Może myślisz, że mogłaby jednak zbić tę fortunę i zostawić ci...

– I tak dużo mi zostawiła. Ten dom, spory kawałek ziemi, duży sad. To i tak więcej, niż jestem w stanie sama zużytkować.

– Sprzedasz tę ziemię?

To było pytanie, które sama sobie stawiałam. Nie miałam pojęcia, co zrobić. Wiedziałam, że nie zamieszkać tu na stałe. Miałam firmę, poza tym do życia potrzebne mi było miasto. Ale sprzedać? Sprzedaży sobie nie wyobrażałam. Nie wyobrażałam sobie sytuacji, w której to miejsce nie jest moje. Musiałam nadal móc tu wracać. Ktoś nowy na pewno nie uwierzy w nawiedzony las. Nie zrozumie, ile dla mnie znaczy grób dziadka i jezioro. Że to nie tylko zwykłe miejsce, w którym rośnie parę drzew.

Potrząsnęłam głową.

Jasiek uśmiechnął się i podał mi drugą kopertę.

– A to jest...

– Od ciebie?

– Od twojej babci.

– Słucham?

– Od twojej babci.

Wsunął mi kopertę do rąk i pocałował mnie w policzek.

– Otwórz po Wigilii. Wesołych świąt. I... daj mi szansę, Kami. Proszę.

Kwadrans po wyjściu Jaśka nadal siedziałam w salonie z kopertą w ręku. Nie otworzyłam jej i nie wyjęłam listu, choć miałam na to wielką ochotę. Postanowiłam jednak dać sobie ten prezent faktycznie na święta. To było dla mnie, coś tylko dla mnie od niej.

Wciąż wracałam do zdjęcia mojej babci w sadzie. Ona i Jadzia, w tle owocowe drzewa. Babcia się uśmiecha. Ma elegancko uczesane włosy i sandały na koturnie. Między palcami trzyma papierosa. Jest szczupła, umięśniona, ze zmarszczkami na całej twarzy. Ma piegowate policzki i dłonie. Niemal słyszałam jej głos. Niemal słyszałam, jak mnie woła, jak wypowiada moje imię.

– Kami?

Wzdrygnęłam się. W drzwiach stał Tomek, nadal w fartuchu mojej babci. Zaśmiałam się nerwowo i głęboko odetchnęłam.

– Jesteś gotowa na seans?

ROZDZIAŁ 30

S. powrócił do miasta wiosną. Dziewczyna również.

Dziwnie słuchało się ptaków śpiewających nad głową, chciało się im powiedzieć, by zamilkły, bo przecież na dole pełno jest śmierci. Dziewczyna miała teraz krótkie włosy i wiecznie czerwone dłonie z popękaną skórą. Dłonie miała spracowane już wcześniej, bo przecież szyla i zajmowała się domem, ale teraz wewnętrzną stronę pokrywały długie, ciemne wyżłobienia. Od narzędzi, od skaleczeń, od sznurków, którymi podwiązywała krzaki pomidorów, sznurków, które wrzynały się w skórę na tyle głęboko, że później trudno je było odkleić. Dziewczyna wcale się tego nie wstydziła, nie wstydziła się również tego, że chodzi w jednym zniszczonym ubraniu i nie ma co jeść. Chyba było jej już wszystko jedno.

Dopiero w mieście dowiedziała się, że matka i ojciec zmarli, choć wcale jej to nie zaskoczyło. Matka... cud, że w ogóle żyła tak długo, była przecież chora, cierpiąca, leżała i dziewczyna musiała w nią wlewać supę. Ojciec... już na początku wojny nie umiał się odnaleźć, wtedy, gdy jedni płakali, bo kończył się dla nich świat, który znali i kochali, on bał się, że wojna ograniczy i tak już trudny dostęp do gorzałki. Kiedy zaczęła się okupacja, znalazł tych, którzy pędzili bimber, ale niewola zmieniła nieco relacje między ludźmi, oznaczała między innymi to, że niczego nie dostanie się już tak po prostu, za dobre słowo i towarzystwo przy pićiu. I zrobiło się drożej. Ojciec jakoś jednak znajdował drogę do alkoholu, są ludzie, którzy zawsze ją znajdują. O tym myślała dziewczyna, kiedy trafiła na łapankę. Że bez niej sobie nie poradzą.

Kiedy ją wywieziono i kazano pracować, pracowała. Później pozwolili wysłać kartkę do domu. Wysłała. Nikt nie odpisał. Ani na pierwszą, ani na następną. Nie spodziewała się więc, że będzie do kogo wracać, ale wróciła i tak. Miasto było jedyną rzeczą, którą kiedyś знаła, do niego sprowadzały się wspomnienia. I w mieście była tamta panienska, tamto okno i muzyka. Dziewczyna chciała jej powiedzieć, że już wie, co to za muzyka. Chciała być może odwiedzić grób, bo wcześniej nigdy się na to nie odważyła. Pomyślała, że pójdzie do tamtej kamienicy, zapyta dozorcę albo sąsiadów. Niczego nie będzie od nich chciała, tylko wiadomości, gdzie jest grób. Wojna przecież musiała ludzi zmienić. Bogaci nie mogli tak samo bać się biednych jak dawniej. Na pewno nie będą na nią krzywo patrzeć, krzywo patrzeć na jej lachmany. Po drodze, kiedy wracała do domu, mówiono, że miasto zniszczone, że straszne walki były. Że czegoś takiego jeszcze nikt tam nie widział. A kiedy dotarła do celu, zrozumiała, że nie pójdzie do kamienicy i nie zapyta o panienską. Nie było już kamienicy.

Jedni mówili, że miasto nigdy nie podniesie się z gruzów, a drudzy, że się podniesie, jeśli wszyscy się do tego wezmą. I wszyscy się wzięli. Dziewczyna patrzyła, jak ochoczo zbierają gruz, jak podają sobie cegły i nie zwracają uwagi na pęcherze na rękach, na sączącą się z nich ropę i krew. Zgłosiła się gdzieś, do jakichś ludzi, których twarzy i nazwisk teraz już nie pamięta, i dostała przydział na kawałek podłogi w kamienicy za rzeką. Poszła. Z jednym tobołkiem, w którym niosła chustkę, grzebień do włosów od saksońskiej Frau – Frau nieco zmiękła, kiedy kończyła się wojna – i przedwojenne świadectwo ze szkoły krawieckiej, które miała ze sobą podczas tamtej łapanki i którego jej nie odebrali.

Za rzeką dostała stare łóżko w rogu izby. Mieszkanie składało się z czterech pokoi i kuchni, przebywało w nim teraz szesnaście osób. Po cztery na pokój. Przed wojną mieszkali z rodzicami w jednym we trójkę, więc nie była to dla niej aż tak wielka zmiana. Ktoś miał maszynę do szycia, ale nie umiał jej używać. „Wziął sobie” ze Śródmieścia, leżała na chodniku. Co tak miała leżeć? Dziewczyna przeszła się po sąsiadach i zorganizowała trochę nici. Potem naprawiała odzież dla całej kamienicy, szyla ubranka dla dzieci z obrusów i zasłon, przerabiała stare lachmany tak, że wyglądały niemal elegancko. Dostała za to ciepły koc i poduszkę, częstowano ją też jedzeniem, codziennie cienka zupa i ziemniaki ze smażoną cebulą. Pomyślała, że to błogie uczucie mieć wreszcie pełny brzuch.

Chodziła na lewy brzeg, do ruin miasta. Mówili, że w wielu budynkach są jeszcze ludzie i że trzeba ich teraz wyciągać. Nie szło oczywiście o żywych ludzi. To było dziwne uczucie dla dziewczyny. Myślała o tym, że pod spodem, pod gruzami, jest cały osobny świat tych, dla których zatrzymał się czas. Jej ojciec nie był wierzący, ale matka owszem, matka wierzyła bardzo. Zawsze mówiła, że najgorsza jest nagła śmierć, taka, która przychodzi, zanim człowiek zdąży się pojednać z Bogiem. Dziewczyna nie rozumiała i nie dzieliła tego strachu. Zbyt wielu ludzi na świecie umierało niespodziewanie i nagle, by wszystkich ich za to karać. A małe dzieci, które zasypiają na zawsze w swoich łóżeczkach? A ci, którzy odchodzą tak jak tutaj? Bo zaplątali się

w historię?

Gdzieniedzie ludzie się modlili. Za dusze. Za zaginionych. Na Starym Mieście była cała kamienica z nieżywymi. Dom z martwymi mieszkańcami w środku. Dziewczyna nie wiedziała, czy można im jeszcze urządzić normalny pogrzeb, czy to się liczy jako odprowadzenie do lepszego świata, skoro tak długo byli tutaj. A jeśli utknęli pomiędzy? Jeśli nie istnieje już dla nich żadna inna droga? Jeśli po prostu zawsze tu będą, w swoim mieście, niezależnie od tego, jak się zmieni? Czy tak ogromna liczba dusz – duchów – może istnieć obok żywych?

W lipcu upały sprawiały, że w mieście unosił się trupi odór. Ale ludzie – żywi – osiedlali się już w zrujnowanych kamienicach, wstawiali szyby w okna lub zasłaniali je kartonami, przynosili dobytek – swój własny i kradziony. Ci z biura odbudowy miasta mówili, że nie wolno się wprowadzać, że planowanie przestrzeni teraz jest, nie można ot tak, na dziko. Ale ludzie chcieli urządzić się po swojemu. Chcieli być w domu, nawet jeśli w chłdzie i głodzie. Dziewczyna zazdrościła im, że mają chociaż grzyby, do których mogą wrócić. Że jeśli ukradną... jeśli wezmą sobie czyjś garnek, to mają dla kogo ugotować w nim garść makaronu. Zresztą – jeśli po garnek nikt nie wrócił, dlaczego go zostawić na zmarnowanie?

W pewien niedzielny lipcowy wieczór rozszalała się burza. Huragan łamał drzewa, podrywał w górę przedmioty i ciskał nimi w domy, w ludzi, uderzył w jedną z kamienic i połamał gołe ściany na wyższych piętrach, które spadając, miażdżyły kolejne piętra. I mieszkańców. Tych, którzy przeżyli wojnę i wrócili do swojego miasta, tych, którzy chcieli urządzić się po swojemu i wyrwali dla siebie na nowo kawałek świata. Jedna burza, jeden huragan, kilka ścian.

Takich tragedii było później więcej. Latem, jesienią, zimą.

Pewnego dnia przed kupą osmolonych kamieni dziewczyna zobaczyła tamtego człowieka z Łazienek, który powiedział jej, że można przywołać zmarłych. Miał rozchelstaną koszulę i palił papierosa. Dziewczyna nie wiedziała, dlaczego to robi, ale podeszła do niego. Bez słowa wyjął papierosa z ust i podał jej. Zaciągnęła się. Powiedział, że jest z batalionów odbudowy, sam się zgłosił, choć w zasadzie szukali młodszych. Był w ekipie od ekshumacji. Tej roboty nikt nie chciał, nawet za dużą ilość wódki. Mężczyzna – S. – nie pił wódki, więc oddawał innym. To ją zainteresowało. Mężczyzna, który oddawał wódkę innym, był dla niej nowością. Mówił o tym, co pisali w gazetach, że do pierwszego maja ani jeden trup w mieście nie będzie niepochowany. Taki cel. Hasło. Był duży cmentarz, komunalny. Bezwyznaniowy. Każdego można tam zawieźć. I zawożono, czasem ciało, czasem kości, czasem tylko prochy. Prochy zmieszane ze sobą, niemożliwe do oddzielenia. Zmarłych chowano w grobach indywidualnych i masowych. Imiennie lub bezimiennie. S. nie mógł się z tym pogodzić. Cały czas mówił, że człowiek potrzebuje swojego imienia, tożsamości. Że to jest ważne, by zostawić ślad. Co więcej można zrobić, by odcisnąć się jakoś na ziemi? Mówił też, że być może ta burza i huragany to tak naprawdę zmarli. Krzyczą, że dla nich to wszystko dzieje się za szybko. Nie są gotowi. Nie rozumieją. S. powtarzał, że całe to pragnienie, by wyciągać zmarłych z ruin i ich chować, jest też po części drogą do zapomnienia. Być może zmarli myślą, że żywi chcą o nich zapomnieć. Chcą się ich pozbyć, bo bez tego nie da się zbudować nowego świata. Dziewczyna pytała, czy w takim razie należałoby ich w jakiś sposób zatrzymać. I że przecież to niemożliwe, niezdrowe, niedobre dla odbudowy miasta. S. kręcił głową. „Oni potrzebują rozmowy. Trzeba im to wytłumaczyć”, mówił. Dziewczyna uważała, że S. jest trochę szalony. Nienormalny. Patrzył na wszystko na pewno inaczej niż ona, jak gdyby coś więcej widział. Jak gdyby więcej wiedział. Mogła przysiąc, że zauważyła, jak czasem mamrotał coś do siebie pod nosem. Albo... nie do siebie.

Raz tylko nawiązał do ich spotkania w Łazienkach. „A nie mówiłem, że jeszcze się spotkamy?” Nie pytała, skąd wiedział. Wiedział w ogóle różne rzeczy, na przykład za którą ścianą znajduje się ciało. Mówił, że trzeba tam szukać, po czym zabierał się do pracy, a inni stukali się w czoła albo rysowali kółka nad skronią. Stuknięty. Świr. Zawsze jednak miał rację. Jak gdyby ktoś go wołał. Pewnego dnia S. stał nad chłopcem, który wciąż ścisnął w dłoni przedziurawiony i zakrwawiony hełm. Na ramieniu miał brudną opaskę, nadal dało się odczytać litery. WP. S. stał nad nim nieruchomo i patrzył. Pytali go, czy zamierza się modlić, ale on tylko unosił dłoń i wszyscy milkli. W końcu robotnicy chcieli zabrać chłopca, czekała dalsza praca. S. nie pozwolił. Odsunął tylko na bok ciałko i nakrył je. Kazał dziewczynie pilnować, a sam wrócił do pracy. Dziewczyna stanęła przy chłopcu i już wkrótce przyszedł ktoś, kto chciał jego buty. Zmarłemu niepotrzebne. A może ten hełm, na pamiątkę. Takie rzeczy powinny być w muzeum. Co ona w ogóle ma do tego chłopaka, nic mu nie przyjdzie ze złotego krzyżyka na łańcuszku. Bała się. S. kilka razy wychynął z gruzów i przegonił szabrowników, ale cały czas nie mógł przy niej stać. Chwyciła wielki bądył i zaczęła kłamać, że to jej brat. Kilka razy nawet się tym

badylem zamachnęła. Wczesnym wieczorem przyszła kobieta, młoda, ale wyglądająca na starą. Powiedziała, że to jej syn.

S. wiedział, że ona przyjdzie. Dziewczyna nie miała pojęcia skąd, ale wiedział.

Nie od razu rozumiała, że to miłość. Był od niej sporo starszy, dwadzieścia siedem lat. Dokładnie dwa razy. Wydawało jej się wtedy, że sama też jest już stara, zresztą jeszcze przed wojną i wywózką. Zawsze była. Z nim nie musiała nawet rozmawiać, po prostu sobie razem siedzieli albo chodzili, albo patrzyli w tym samym kierunku. Czasem coś tam o sobie przebąkiwał, wtedy ona rewanżowała się własnymi historiami i poznawali się nawzajem. Już wtedy powiedział jej, że nie jest pewny, czy któregoś dnia nie będzie musiał odejść. Dla jej dobra, tylko i wyłącznie dla jej. Wtedy gdy sytuacja stanie się nie do zniesienia i wymknie się spod kontroli. Lepiej więc, by była wolna, by w razie czego mogła zacząć nowe życie z kimś innym. Powiedziała, że nie chce zaczynać z kimś innym, ale on tylko się uśmiechnął. „Jesteś taka młoda”. Nie, nie była, ale nie chciała się klócić.

Cieszyła się z ciąży. Pomyślała, że nigdy nie zostanie już sama i że jeśli urodzi jego dziecko, on nie odejdzie. Nie rozumiała, dlaczego to wszystko mówił. Nie rozumiała, że miał rację, że przewidział, co się może stać.

Pewnego dnia wręczył jej klucz i jakiś papier. Powiedział, że ma nie pytać, tylko jechać, że wszystko jest załatwione, przydział do pracy w mleczarni, domek na wsi. Po Niemcach. Teraz to się nazywa „ziemie odzyskane”. Dołączy do niej. Najpierw niech jedzie sama, dziecko grzeczne, dużo śpi, ona ma pokarm, poradzi sobie. Tylko na trochę. Małego da do żłobka, jak inne pracownice mleczarni, albo weźmie kogoś ze wsi do pomocy. Jest obrotna, we wszystkim się rozezna. Spodoba jej się tam.

Miał rację, była obrotna i samodzielna, musiała być, nigdy na nikim nie mogła polegać. Wiedziała, że owszem, poradzi sobie, i nie bała się przeprowadzki. To z nim nie chciała się rozstać. Miała wrażenie, że wszystko spełni się teraz. Teraz odejdzie. Teraz będzie ten moment.

A jednak przyjechał. W ciepły poranek, gdy rozwieszała pranie przed domem. Zdążyła już postawić nowy płot i pomalowała go na niebiesko, bo tylko taką farbę udało jej się dostać. Synek spał w wiklinowym koszu pod drzewem. Była późna wiosna, powietrze miało już tę ciężkość nadchodzącego lata.

Miała mu dużo do powiedzenia. Chciała, by wiedział, jak ten dom wyglądał, kiedy go po raz pierwszy zobaczyła. Że wylaniał się z ośnieżonych drzew, a tło tworzyła ściana lasu. Święteczne choinki, pomyślała. Wcale nie trzeba ich ścinać. Chciała mu powiedzieć o imbryku w grochy i starym kredensie, o drewnianych schodach, które trzeba naprawić, o spiżarce przy kuchni, gdzie stoi duży regał, a na nim wciąż kilka książek kucharskich. Niczego nie wyrzuciła. Nie musiał prosić, by nie wyrzuciła, i tak by tego nie zrobiła. Ale tak jak prosił, poszła na cmentarz. Cmentarz jeszcze tam był, ale już tablice nagrobne zdejmują. Ksiądz nie pozwolił wyrzucić, zawiesi się je na murze. Zapaliła świece. I nad jezioro też poszła, puściła wianek, jak prosił. Uplotła ze stokrotek. Na pewno się spodobał. Między kwiatki włożyła krzyżyk, który wystrugała z kory. Dla Ann-Katrin.

To wszystko dziewczyna chciała mu powiedzieć i czekała, czekała, aż otworzy furtkę i podejdzie. Skrzypnęły zawiasy, a ją zalała fala ciepła. S. uśmiechnął się szeroko.

ROZDZIAŁ 31

Na ostatnim nagraniu babka była stara i młoda jednocześnie. Nie chciałam się już zastanawiać nad tym, skąd wzięła kamerę i gdzie ją potem schowała. Na filmie babka miała jednocześnie lat sto i dwadzieścia siedem. Jednocześnie była kimś, kto ma małe dziecko i dorosłą wnuczkę, kto wraca po wojnie do miasta w jednej sukience na grzbiecie i posiada ładny mały domek ze sporym gospodarstwem, kto właśnie się zakochał i dawno temu utracił swoją miłość. Kto zadaje mnóstwo pytań i nie pyta o nic. Widziałam w niej tamtą kobietę, która patrzyła na gruzi Warszawy. Widziałam blask w jej oczach. Widziałam, jak czeka, aż człowiek, którego kocha, otworzy furtkę. Czułam jej emocje, kumulację wrażeń i potrzebę podzielenia się nimi. Jak zwykle na własnych zasadach. Własnymi słowami. Nie mogłam oczekiwać od babki innej opowieści. Musiała być właśnie taka. Baśń, bajka. Rzecz o dziewczynie bez imienia.

W wigilijny poranek zjedliśmy śniadanie w milczeniu, a ja usiłowałam nie wzruszać się zapachem kawy i chleba, choć być może nie powinnam się powstrzymywać. Było mi wolno się wzruszać. Cieszyć się tak prostą rzeczą jak zapach, jak smak. Jak świadomość, że jestem w domu.

Zrobiliśmy z Tomkiem sałatkę jarzynową z majonezem. Chwilę spieraliśmy się o to, czy ma być z groszkiem, czy z kukurydzą, ale poszliśmy w końcu na kompromis i przygotowaliśmy obie wersje. Potem śledzie w śmietanie, sałatkę grecką, quesadillę, pomidory z mozzarellą, pizzę, penne z brokułami i pesto. Co kto lubi, nieważne, czy „tradycyjne”, czy nie. Upiekliśmy też sernik. Wiolka przywiozła obiecane ciasto czekoladowe. Mieszmasz bardzo w stylu babki. Zajęło nam to wszystko kilka godzin, ale było warto. Jako pierwsza do drzwi zapukała Anetka ze sklepu. Jej brat stał za nią zakłopotany i od razu zapytał, czy to na pewno nie kłopot i czy jesteśmy przekonani, że chcemy przyjąć na wigilię całkiem obcych ludzi. Zaprosiłam ich gestem do środka i zbyłam te pytania milczeniem. Nie, nie byłam przekonana. To Tomek zapytał mnie, czy chcę kogoś zaprosić, czy mam może taką potrzebę, by w tym domu pojawił się jeszcze ktoś poza nami i by było tu głośno, ciasno jak w każde inne poprzednie święta. Pod wpływem impulsu powiedziałam, że faktycznie, chciałabym. Zadzwoiłam do Anetki i zapytałam, czy ona i jej brat do kogoś się wybierają, czy też może zamierzają siedzieć sami w domu. Bo jeśli zamierzają siedzieć sami, to mam dużo jedzenia. Była zaskoczona, ale od razu się zgodziła. Teraz wykladała na stół w kuchni kolejne ciasta, jeszcze jedną sałatkę, miskę pierogów i kutię.

Ponownie rozległo się pukanie do drzwi i tym razem Tomek poszedł otworzyć. Panowie przywitali się zdawkowo i krótko. Pomagałam Anetce przekładać jedzenie na talerze i czekałam. Jako pierwszy podszedł do mnie Karol, brat Jaśka.

– To dosyć niespodziewane... ale miłe. Dziękujemy za zaproszenie.

– Daj spokój. Rozkwaślałam ci nos.

Karol skrzywił się lekko na wspomnienie ataku przy furtce.

– Należało mi się.

– Dziękuję za prezent. Za to zdjęcie. Jest piękne.

Przeczesał z zakłopotaniem włosy i wziął od Anetki miskę z sałatką, którą zaniósł do salonu. Ona sama taszczyła kopiaste talerze pierogów, a jej brat wziął koszyk ze sztućcami i poszedł za nimi. Zostaliśmy z Jaśkiem sam na sam.

– Przeczytałaś? – zapytał.

– Jeszcze nie.

Pokiwał głową.

– Dzięki za zaproszenie. To naprawdę miłe z twojej strony. W zasadzie nie pamiętam, kiedy tak się z czegoś ucieszyłem. W Wigilię oglądamy zazwyczaj z Karolem *Szklaną pułapkę*.

– Dla wielu to wymarzone święta.

– Tak, masz rację.

Przełożyłam na talerz kawałki ciasta. Jasiak podszedł bliżej i znowu – jak wtedy przy samochodzie – lekko pocałował mnie w usta. A później wsunął dłoń w moje włosy i pocałował mnie znowu, mocniej i pewniej.

– Co powiesz na jutrzejszy spacer? Wezmę termos z grzany winem – zaproponował, nadal mnie obejmując.

– Brzmi świetnie.

*

Nadszedł czas, w którym dawni Słowianie rozpoczynali świętowanie Szczodrych Godów – narodziny nowego słońca. Czas zimowego przesilenia był triumfem światła nad ciemnością, celebrowanym hucznie i radośnie. Stare słońce ustępowało miejsca nowemu, następowała zmiana warty, odzyskanie młodości i sił witalnych, odrodzenie się życia. Zwycięstwo światła było dla ludzi obietnicą nowych plonów i przyszłego urodzaju, a zatem pokarmu, bezpieczeństwa i dobrobytu. Zima się skończy, nadejdzie kolejna wiosna, kolejne lato, wraz z nimi ciepłe i jasne dni, powietrze ciężkie od zapachu kwiatów i owoców. Słowianie zawieszali pracę i obowiązki, zapraszali bliskich, przyjmowali i wręczali prezenty, bawili się, tańczyli i śpiewali. Wśród całego tego świętowania nigdy nie zapomniano o zmarłych. To właśnie wtedy, jak wierzą, zmarli mieli możliwość nawiązania kontaktu z żywymi. Duchy zapraszano na ucztę, palono dla nich ognie, których światło rozświetlało drogę, by nie zabłądziły. Puste miejsce dla wędrowca. Puste miejsce dla ducha.

Myślałam o tym wszystkim, kiedy Tomek przekomarzał się z Anetką na temat mechanika samochodowego z sąsiedniej wsi, Karol z przymkniętymi oczami odpoczywał w fotelu babki, a Jasiak chwycił pod stołem moją dłoń i zamknął ją w swojej. Mieliśmy wszystko. Jedzenie, które smakowało każdemu, ozdoby na choince z różnych stron Polski i świata, w tym bombkę z Linzu, gdzie mieszkał F. Pod sufitem zawiesiłam gałązki świerka, a na parapecie, w oknie, z którego widać było ścieżkę prowadzącą do lasu, ustawiłam miniaturowy, symboliczny snopek zboża, tak jak zawsze robiła to babka. Diduch. Symboliczny przodek. Może dziadek. Pod obrus wsunęłam siano, a w kuchni nakryłam do osobnego stołu i ustawiłam puste talerze. Nie jeden, lecz kilka. Dla każdego. Były więc miejsca dla zmarłych rodziców Anetki, dla ojca Tomka, dla matki Jaśka, miejsce dla mojej babki, dla dziadka i dla F. Po namyśle dodałam jeszcze cztery. Dla Heckmannów.

Kto chciał, ten się modlił i śpiewał kolędy. Kto chciał, ucztował inaczej, na przykład Tomek uznał, że możemy potańczyć do kilku kiczowatych świątecznych piosenek z radia. Kto chciał, ten po prostu jadł i milczał. Brat Anetki włączył *Kevina*. Przed północą wszyscy poza mną i Tomkiem zaczęli się zbierać na pasterkę. Ja miałam inne plany. Chciałam iść do lasu.

– Potrzebujesz towarzystwa? – zapytał Tomek, kiedy zostaliśmy sami.

– A będziesz siedział cicho?

– Szedł. Będę szedł cicho.

Wręczyłam mu latarkę i włożyłam kurtkę.

Naprawdę szliśmy w ciszy. Światła laterek przecinały ciemność i wydobywały fantastyczne, lekko przerażające cienie. Mróz wyciskał łyżę z oczu, napinał mięśnie i wysuszał skórę na policzkach. Ale niebo było czyste. Żadnej chmury, tylko delikatna księżycowa poświata i trochę gwiazd. Spojrzałam w górę i przez chwilę wypatrywałam upiora z opowieści mojej babki. Niebo pozostało czyste i piękne. Przyjazne.

Nad jeziorem zgasiłam latarkę i z płóciennej torby ostrożnie wydobyłam iglaste gałązki. Według opowieści babki Ann-Katrin wołałaby pewnie wianek, ale o tej porze roku trudno mi było taki upleść. Poza tym – za późno się dowiedziałam. Gałązka więc. Jedna dla Ann-Katrin, druga dla mojego dziadka, trzecia dla babki, czwarta dla F., piąta dla Rolfa, szósta i siódma dla jego rodziców. Dla każdego, kto w jakiś sposób związał się z tym domem i miejscem. I ósma. Dla Adama.

Rzuciłam je na zamarznąjącą taflę.

Staliśmy chwilę obok siebie, w milczeniu, niemal w bezruchu. A później odwróciliśmy się i poszliśmy do domu.

ROZDZIAŁ 32

Kochana Kamilko!

Nie wiem, czy odebrałaś już wszystkie wiadomości, które dla Ciebie zostawiłam. Nie wiem, czy odebrałaś w ogóle chociaż jedną. Poprosiłam Jaśka, by przekazał Ci ten list niezależnie od tego, czy przyjechałaś do grudniowego domu, czy nie. I czy zaczęłaś poszukiwania. Wczesną jesienią byłam już pewna, że nie dotrą do tych świąt. Jasiiek miał dostarczyć Ci list w Wigilię, dałam mu na wszelki wypadek Twój adres. Mam nadzieję, że to dobry prezent. Być może jesteś teraz w swoim mieszkaniu i szykujesz kolację. Gdybym żyła, siedziałabyś teraz u mnie w kuchni i podgrzewała barszcz. Później przyglądałabyś się krytycznie pierogom i mówiła, że nie wyszły wszystkie tej samej wielkości. Zawsze wytrącało Cię to z równowagi, a ja nigdy nie rozumiałam Twojego umiłowania dla symetrii. Pedanteria owszem, ale symetria niekoniecznie. Odrobina szaleństwa i chaosu też jest w życiu ważna. Trudno uwierzyć, że to akurat ja piszę takie słowa, prawda? Mam nadzieję, że nawet jeśli jesteś w swoim mieszkaniu i polerujesz właśnie widelce na błysk, Jasiiek i tak dostarczył Ci list. Jeśli tego nie zrobił, może się mnie niebawem spodziewać. Nie będę w dobrym nastroju, musi wystrugać mi dużo krzyżyków z kory i upleść dużo wianków ze stokrotek. Zimą? Powodzenia!

Tak na marginesie – Jasiiek to miły chłopiec. Bardzo dużo rozmawialiśmy o halucynacjach. Nigdy nie doszłam do tego, czy Twój dziadek miał szczególny dar, czy też po prostu był ciężko chory. Jasiiek też nie zna odpowiedzi na to pytanie. On najprawdopodobniej uważa, że mózg Twojego dziadka nie działał jak trzeba, ale by stwierdzić taką rzecz na pewno, musiałby go zbadać. Przez grzeczność mówi, że nie wyklucza daru, choć jest człowiekiem nauki i uznaje to, na co można znaleźć dowód. Nazywam to „darem”, bo nie wiem jak inaczej. Nigdy nie umiałam powiedzieć, kim właściwie był Twój dziadek. Na pewno kimś wyjątkowym.

Jeśli znalazłaś moje wiadomości, nie będę się tu powtarzać. Wszystko, a przynajmniej to, co najważniejsze, już wiesz. Jeśli ich nie znalazłaś, teraz masz motywację, by szukać. Ja chciałabym powiedzieć Ci teraz o czymś innym, o czymś, o czym nie miałam odwagi mówić wcześniej, gdy jeszcze... żyłam. Dziwnie to brzmi, prawda? Ale ty zrozumiesz. Ciebie nic nie zdziwi.

Chciałabym powiedzieć Ci parę słów o muzyce. Dzięki niej wskrzesiłaś dla mnie coś ważnego. Nawet nie kogoś, bo nie chodzi o konkretną osobę. Wskrzesiłaś fragment mojego życia, który wydawał mi się absolutnie doskonały. Fragment, w którym odkryłam się na nowo, rozumiałam, że są we mnie pokłady nieznannej wcześniej wrażliwości, jest świat uczuć, wyobrażeń, przeżyć dotąd mi niedostępnych. Byłam kimś, kto żyje z dnia na dzień. Kto nigdy nie myślał o tym, że można by chcieć więcej. Nie chodzi mi tu o pieniądze i przedmioty, Kami. Chodzi mi o głębszy rodzaj poznania. O wiedzę, doświadczenie, wolność. O dostęp. Dostęp do różnych rzeczy, o możliwość nauki i rozwoju dla każdego. Tylko wtedy, gdy masz do tego dostęp, możesz się sprawdzić. Inaczej nigdy się nie rozpozna własnych talentów, umiejętności, predyspozycji i pasji. Skąd wiesz, że coś kochasz, jeśli tego nie znasz? To dlatego pomogłam Jaśkowi. Powiedział Ci o tym, prawda? Nigdy bym sobie nie darowała, gdyby nie poszedł na studia. Lubił się uczyć, znał na pamięć anatomię człowieka, każdy mięsień i kosteczkę. Gdyby został we wsi... Byłby jak ja pod tamtą kamienicą, rozumiesz? Ja, która słucha muzyki i wie, że „panienka” robi to doskonale. Myślałby o gabinecie z białymi kafelkami i tomografie. O zdjęciach rentgenowskich. O mózgu i jego chorobach. Myślałby o rzeczach, które mógłby robić, ale których nie robi, bo nie dostał szansy. Byłoby dla niego za późno, tak jak dla mnie było.

Czułam wielką dumę, kiedy grałaś. Nie chodziło o to, że spełniałaś moje ambicje, naprawdę nie o to. Raczej o to, że właśnie ja (to byłam ja!) rozpoznałam Twój talent. Taki słuch to dar. Każdy jakiś ma i nie każdy go w porę odnajduje, jak już wiesz. A Ty swój odnalazłaś. I to właśnie chciałam Ci powiedzieć. Kiedyś wspomniłaś, że muszę być Tobą rozczarowana, bo porzuciłaś muzykę. Powiedziałaś to mimochodem, w sędzie. Pamiętasz? Zrywałyśmy gruszki. Chciałaś, by brzmiało to jak luźna uwaga, coś, co niewiele dla Ciebie znaczy. A przecież znaczyło bardzo dużo. Nie patrzyłaś na mnie, sięgałaś po kolejne owoce. Szukałam słów. Chciałam Ci powiedzieć to, co od dawna chodziło mi po głowie, i rozumiałam w tamtej chwili, że czekasz na te słowa. I wtedy uźdłłiła Cię pszczoła. Krzyknęłaś i przycisnęłaś dłoń do ramienia. Pobieglyśmy do domu, zajęłam się żądłem, raną, Ty zaciskałaś zęby i udawałaś, że Cię nie boli. Zawsze udawałaś, że Cię nie boli. Myślę, że były dwa powody. Nie chciałaś pokazywać słabości, ale również nie lubiłaś robić problemu.

Kiedy odszedł Adam, byłaś właśnie taka. Zaciskałaś zęby. Wszystko zatrzymałaś w środku. A gdy mimo to nie umiałaś powstrzymać płaczu, zabarykadowałaś się na strychu, by nikt Cię nie widział. Jak ja Cię dobrze

rozumiałam! Byłam dokładnie taka sama!

Po tamtej historii z pszczołą temat się urwał. Nie umiałam do niego wrócić. Bałam się, że jeśli wrócę, coś rozdrapię, a widziałam, że starasz się trzymać, że znalazłaś sposób, by sobie poradzić. To był wspaniały chłopak, Kami. A kiedy razem graliście... możesz się śmiać, ale naprawdę dla mnie otwierało się niebo. Słyszałaś już miejscowe plotki o klątwie Ann-Katrin, która przyciąga zagubionych wędrowców do leśnego jeziora? O naszym nawiedzonym grudniowym domu, który nikomu nie pozwala na szczęśliwe życie? Otóż to nie duchy są problemem. W życiu po prostu dzieją się czasem rzeczy, których sensu od razu nie widzimy. Ale ja zawsze wierzyłam, że wszystko jest po coś. Możesz się śmiać. Nie, nie będziesz się śmiać, bo wiesz, jak działa świat, wiesz, w co wierzą ludzie, jak postrzegają życie i śmierć. Ja również płakałam za Adamem. Płakałam za tym, co z Ciebie odeszło razem z nim. Niemniej teraz jesteś sobą. Oswajasz śmierć. Szukasz ludzi, o których zapomniano, i przywracasz im ich historie. Nie chodzi o daty, Kami. Wiesz o tym przecież. Życie każdego wpisuje się w jakieś daty, opatrzone jest imionami i nazwiskami, miejscami. A najważniejsze jest pomiędzy. Opowiedź. To, kim jesteśmy. Nasz odcisk w świecie.

Twój dziadek też miał daty, imię, nazwisko i miejsca. Możesz je znaleźć, jeśli chcesz. Ty akurat będziesz potrafiła to zrobić. Ale najważniejsze już wiesz. Urodził się za wcześnie, by patrzeć, jak dorastasz. Niemniej jestem pewna, że nie tylko kochałby Cię, lecz także, że bardzo by Cię lubił. Pomyśl o tym, ile godzin przegadalibyście o duchach. Na pewno oboje mówilibyście o tym, że puste miejsce przy stole wcale nie jest dla zbłąkanego wędrowca, lecz dla zmarłego z rodziny. Wiem, że zostawiłaś dzisiaj dla mnie takie miejsce. Powiedziałaś wszystkim, że ma to związek z kultem przodków, że to wyjątkowy czas, w którym możemy do Was wrócić. Prawda? Wracam więc. Znowu jestem z Tobą.

Nigdy mnie nie rozczarowałaś. Odrzuciłaś muzykę, bo ona zawsze była sposobem na przywołanie Adama. A przywołując go wciąż od nowa, nie mogłaś ruszyć z miejsca. Odrzuciłaś więc łącznik. Odrzuciłaś też swój własny talent, ale znalazłaś inne powołanie. I nawet jeśli nigdy nic już nie zagrasz, i tak to miałaś. Siebie w muzyce. Swoją własną opowieść.

Teraz też to masz. Swoje prawdziwe życie, świadome i zgodne z własnymi wyborami. Jest tak, jak zdecydowałaś. Wszystko ma znaczenie, każda chwila, każda minuta, każde zdarzenie i każdy człowiek. Jestem dumna i szczęśliwa, że zdążyłyśmy pobyć razem.

Całuję Cię

Twoja babcia

Od autorki

Grudniowy dom jest opowieścią fikcyjną, ale powstał z inspiracji prawdziwymi wydarzeniami. Tak się w moim życiu układało, że często miałam przyjemność myszkować po starych mieszkaniach, domach i strychach, przeglądać rzeczy gromadzone w starych, używanych przez wiele lat meblach. Moja własna babcia zostawiła po sobie dużo różnych pamiątek i dokumentów – w tym papiery swojej matki, a mojej prababki, które w tej chwili liczą już sobie ponad sto dziesięć lat. Jest to dla mnie niezmiennie źródło inspiracji i wielkiej fascynacji wciąż nie do końca zbadaną przeszłością mojej rodziny.

Mieszkam w małym poniemieckim domu w dzielnicy Wrocławia, która kiedyś nosiła nazwę Neukirch. W domu tym mieszkali Niemcy, Rosjanie i wreszcie Polacy. W dachu przez jakiś czas tkwiła aliancka bomba. Spacerując po okolicy, zawsze mijam całkiem już zrujnowaną, ale wciąż niezwykle piękną willę Hamburger, której historia jest dla mnie nadal na poły zagadkowa. Ruiny poniemieckiego domu w samym środku dużego miejskiego osiedla to element lokalnego folkloru, ale i rzecz całkiem osobliwa, dziwna, budząca ciekawość i lekki niepokój. Zwłaszcza że willa stoi naprzeciwko cmentarza i – również poniemieckiego – kościoła. Historia Wrocławia i całego Dolnego Śląska, tajemnic dotyczących tego regionu, których wciąż nie odkryliśmy, jest dla mnie od lat niewyczerpanym źródłem inspiracji. Wieś, w której mieszkała babka głównej bohaterki, nie ma w książce nazwy, bo wykreowana została na bazie kilku poniemieckich, dolnośląskich wiosek, które często odwiedzam. Mur z tablicami zdjętymi z niemieckich grobów znajduje się w Świerzawie, przy trzynastowiecznym, najstarszym w Polsce kościele obronnym, który po wojnach husyckich był otoczoną murem twierdzą. Na wrocławskim osiedlu Jerzmanowo – dawniej Herrmansdorf – znajdują się tuż obok siebie dwa kościoły, obecnie oba katolickie, dawniej jeden z nich był kościołem ewangelickim. Obecnie wiele ewangelickich kościołów na Dolnym Śląsku popadło w ruinę.

Dom dziadka głównej bohaterki, ukryty na leśnej polanie, powstał na kanwie historii innego domu, zbudowanego na Mazurach, po którym zostały już tylko porośnięte mchem kamienie. Należał do pewnego mężczyzny, który w krótkim czasie stracił żonę i dziecko, a później nie był już w stanie sam mieszkać wśród tych ścian. Porzucił dom i nic z niego nie zabrał. Przez lata budynek zniknął za ścianą drzew i gęstych krzewów. Sama postać dziadka głównej bohaterki jest luźno inspirowana postacią nieżyjącego już jasnowidza Filipka ze wsi Stary Waliszów na Dolnym Śląsku, który potrafił wskazać, gdzie znajdują się zwłoki zaginionego chłopca, przewidział powódź z 1997 roku, zarzę, narodziny trojczków, a nawet wybuch trzeciej wojny światowej, która ma być najstraszniejszą ze wszystkich w dziejach świata. Żył samotnie na odludziu.

Franz Sedlacek, najbardziej szalony malarz świata, jest postacią autentyczną. W książce trzymałam się jego życiorysu oraz informacji o zaginięciu po obronie Torunia. Fikcyjna jest historia Rolfa Heckmanna i Żydówki z norweskiego lasu, choć Sedlacek walczył zarówno na froncie nad Isonzo, jak i w Norwegii podczas drugiej wojny światowej. Jego powojenny los pozostaje tajemnicą do dziś.